WYDANIE SPECJALNE – NA NOWY ROK

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 1/559 7 STYCZNIA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

- Piotr Semka O ZAMACHU NA PUBLICZNE MEDIA
- Ostra rozmowa z GRZEGORZEM BRAUNEM
- Studium kłamstwa – Krzysztof Masłoń o JERZYM URBANIE
- Z CZEGO śmieją się Rosjanie

Czy w 2024 r. grozi nam trzecia wojna światowa?

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład: 52 000 egzemplarzy

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

POTĘGA POLSKIEGO RYCERSTWA – ZAWISZA CZARNY I INNI LEGENDARNI RYCERZE

Ostatni sprawiedliwy jesieni średniowiecza – Jacek Komuda o słynnym Sulimczyku z Garbowa

Czaszki w niemieckich magazynach – Na początku XX w., zanim ktokolwiek pomyślał o Hitlerze, Niemcy dokonali w Afryce dwóch ludobójstw i zbudowali tam obozy koncentracyjne

Bezczelny „ateński lew" – Ateński arystokrata Alkibiades zdominował swoją osobowością drugą połowę wojny peloponeskiej

Niemiecki pociąg Lenina – Pomysł Aleksandra Parvusa przekuty został w jedną z najbardziej błyskotliwych i udanych operacji niemieckiego wywiadu

Apokalipsa Jerozolimy – Ostatnia rozpaczliwa walka z Rzymianami miała zadecydować nie tylko o losie miasta i jego mieszkańców, lecz także o przyszłości dwóch religii...

Egzekucja rosyjskiego „Białego Domu" – Zachód poparł wówczas brutalną akcję Jelcyna, co dziś odbija się czkawką całemu NATO

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl c5017bbff7

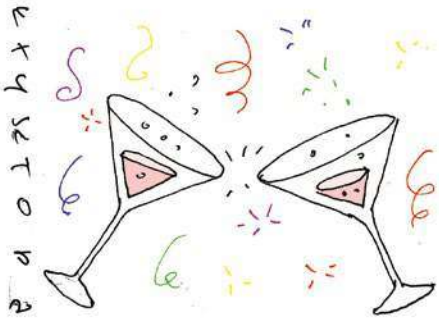

Nowego -2024- roku
pełnego pokoju i spokoju
oraz wyłącznie dobrych emocji
życzy Redakcja „Do Rzeczy"

W RZECZY SAMEJ

Sukces Tuska i Morawieckiego

PAWEŁ LISICKI

Polska dostanie 5 mld euro zaliczki w ramach Krajowego Planu Odbudowy – oświadczyła na początku grudnia przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. Obok niej stał uśmiechnięty premier Donald Tusk, który nie omieszkał stwierdzić, że to jego pierwszy wielki sukces. Zwolennicy PiS uznali, że to nieprawda, bo wcześniej wszystko załatwił premier Mateusz Morawiecki. Jak jest naprawdę?

Po pierwsze, te 5 mld, podobnie jak następne mityczne dziesiątki miliardów, nie są w ogóle żadnym sukcesem, ale sposobem na ściślejsze podporządkowanie Polski, polskiej gospodarki, wielkiemu klimatycznemu projektowi Unii. Nikt tego zresztą nie ukrywa. Te pieniądze – zgadzają się wszyscy – mają pomóc Polsce przeprowadzić prace dekarbonizacyjne i walczyć ze zmianą klimatu. A więc ostatecznie zrezygnować z wydobycia węgla, akurat tego surowca, którego Polska ma pod dostatkiem i którego wydobycie mogło przyczynić się do niezależności energetycznej Polski. Walka ze zmianami klimatycznymi zaś do złudzenia przypomina to, co kiedyś nazywano walką z wiatrakami.

Po drugie, cokolwiek mówiliby zwolennicy PO (wielkie zwycięstwo Tuska) i zwolennicy PiS (kunszt dyplomatyczny Morawieckiego), fakt, że Unia ogłosiła przyznanie tych pieniędzy Warszawie po wyborach i po przejęciu władzy przez antypisowską koalicję, pokazuje, że od początku Bruksela używała funduszy unijnych jako środka nacisku. W 2020 r. rząd premiera Morawieckiego miał w ręku asa. Bez jego zgody Unia nie mogła zaciągać wspólnych długów, nie mogła zatem również stworzyć tzw. funduszu odbudowy.

Morawiecki tego nie wykorzystał. Zgodził się na zaciągnięcie wspólnego długu i jednocześnie przystał na to, by Komisja Europejska decydowała o przyznaniu funduszy unijnych poszczególnym państwom członkowskim w oparciu o arbitralny mechanizm „pieniądze za praworządność". Następnie zaś ogłosił, że owe unijne pieniądze dostał, obwieszając całą Polskę billboardami, na których chwalił się „otrzymanymi" 770 mld zł.

Tym samym znalazł się w pułapce: Komisja Europejska żadnych pieniędzy PiS-owskiemu rządowi dawać nie zamierzała. Grała na zwłokę i dawała do zrozumienia, że pieniądze pojawią się, jeśli wybory wygra Donald Tusk. Było to szyte tak grubymi nićmi, że dzisiejsze oburzenie niektórych polityków PiS – „Unia nas oszukała" – świadczy jedynie o ich niedojrzałości. Bruksela chciała wymienić w Polsce rząd i dokonała tego w dużym stopniu przy pomocy samego PiS.

Ten miał dwie możliwości. Z pierwszej, najlepszej, czyli weta, nie skorzystał. Pozostała mu druga droga: należało minimalizować znaczenie pieniędzy unijnych, wskazując, zgodnie z prawdą, że jest to kredyt i to przekazany pod ściśle określonymi, ideologicznymi warunkami. Premier Morawiecki postąpił odwrotnie: porównując unijne środki do planu Marshalla, co zrobił w Sejmie w 2021 r., uruchomił mechanizm, który musiał ostatecznie pozbawić PiS władzy. Skazał się na poniżające zabieganie o fundusze w Brukseli, których i tak nie mógł dostać, i jednocześnie przekonał Polaków, że są one kluczem do rozwoju gospodarczego. Wystawił po prostu piłkę Tuskowi, którą ten wbił do pustej bramki. Obaj, dialektycznie, zrobili to, co chciała osiągnąć Unia. Ograniczyła suwerenność Polski i dokonała zmiany gabinetu. ©℗

NASTĘPNY NUMER TYGODNIKA „DO RZECZY" UKAŻE SIĘ W PONIEDZIAŁEK 8 STYCZNIA

eprasa.pl c5017bbff7

TEMAT TYGODNIA

14 PIOTR SEMKA
A JEŚLI KIJÓW PADNIE?
Czy w 2024 r. grozi nam trzecia wojna światowa?

17 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ZEMSTA WSCHODU

20 LECH MAŻEWSKI
WOJENNE SCENARIUSZE DLA POLSKI

24 ROZMOWA Z DR MAGDALENĄ ZIĘTEK-WIELOMSKĄ
CIEŃ IV RZESZY

KRAJ

28 ŁUKASZ WARZECHA
NIE POLEXIT, A ROZPAD UE?
Przyszłość europejskiej wspólnoty

31 JAN FIEDORCZUK
PIERWSZY ROK „DEPISYZACJI"

34 ROZMOWA Z KS. TOMASZEM TRZASKĄ
MŁODYM TRZEBA STAWIAĆ WYMAGANIA

37 ŁUKASZ ZBORALSKI
UNIA KONTRA KIEROWCY

KULTURA

40 WIESŁAW CHEŁMINIAK
SZTUKA DLA NOWYCH CZASÓW
Pierre-Auguste Renoir

43 PIOTR GOCIEK
TRIUMF ALBO ZGON

46 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
BICZ SATYRY NA SARMATÓW

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 ROZMOWA Z GRZEGORZEM BRAUNEM
JESTEM ETATOWYM POTWOREM
Polacy są obiektem bezczelnej napaści

58 JERZY KARWELIS, MARIUSZ JAGÓRA
NOBEL PANDEMICZNY

62 PAWEŁ CHMIELEWSKI
TERLIKOWSKI, KĘDZIERSKI I PERMISYWIZM SEKSUALNY

HISTORIA

64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BOHATER PODŁYCH CZASÓW
Biografia Urbana

70 JACEK KOMUDA
ZAPOMNIANA DREWNIANA POLSKA

ŚWIAT

74 AGNIESZKA GOLAŃSKA-BAULT
FRANCJA – ZIEMIA MISYJNA
Czy katolicka imigracja jest szansą dla Francji?

78 MACIEJ PIECZYŃSKI
Z CZEGO ŚMIEJĄ SIĘ ROSJANIE

EKONOMIA

82 JAKUB WOZINSKI
NADSEKRETARZ LUDZKOŚCI
Wielka przebudowa międzynarodowego ładu

86 ROZMOWA Z PROF. DR. HAB. INŻ. WŁADYSŁAWEM MIELCZARSKIM
OZE DESTABILIZUJĄ SYSTEM

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK
MODA W OPARACH MARKETINGU
Wycisnąć z gwiazd, ile się da

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (61), PRZYBYLSKI (77), GABRYEL, WARZECHA (81), KOMUDA (93), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (96), SIEDLECKA (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl c5017bbff7

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Wyrzuceni poza miasto", Krystian Kratiuk, „DRz" nr 51/2023

Nie wiem, czy to przypadek, że tekst Krystiana Kratiuka ukazał się niedługo po dramie z udziałem posła Brauna, ale dobrze się stało, że się właśnie wtedy ukazał. Nie znajduję usprawiedliwienia dla takiego zachowania, zwłaszcza Posła na Sejm Rzeczypospolitej, ale nie możemy przymykać oczu na to, jak wygląda szacunek Żydów do innych narodów i przedstawicieli innych wyznań.

Wstrząsające są przykłady prześladowania (bo tak należy to nazwać) chrześcijan w Izraelu przytoczone przez redaktora Krystiana Kratiuka. Nie wolno odpłacać nienawiścią za nienawiść, ale nie można na nią przymykać oczu. Wołajmy głośno, bo niewątpliwe cierpienia, których w przeszłości doświadczyli Żydzi (ale przecież nie tylko oni), nie mogą być usprawiedliwieniem każdej ich teraz podłości.

Bądźmy tolerancyjni, ale nie ulegli.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Krótka refleksja o Tusku

Cel Tuska to materializacja hasła „Polska nierządem stoi". Nic innego nie umie. I nie chce. Zebrał niewielką ekipę podobnych do siebie: Sienkiewicz, Siemoniak, Sikorski, Bodnar, Neuman i sług: Joński, Budka, Mroczek, Kierwiński… Idzie z nim kilkuset zauroczonych pożytecznych idiotów: Hołownia, Kobosko, Kosiniak-Kamysz, Zgorzelski, Zalewski… i paskudy typu Kołodziejczak, Gawłowski, Brejza, Grodzki, Nitras, Jachira, Sterczewski, lumpenelita kultury… Co wśród tych ludzi robi Sawicki?

Podobny do Tuska był Urban. Kochał zło, łgał i miał talent pisarski. Tusk ma talent do tworzenia zła i podłoty, wiecowego bełkotu. W pisaniu aż kłują jego nieporadność i pustka intelektualna.

Jak małpa wyciągająca kasztany z ognia rękoma innych będzie rozwalał infrastrukturę społeczną, gospodarczą i polityczną. Już były promocja ustawy wiatrakowej (dzisiaj nazbyt bezczelnie szkodliwa, więc jeszcze nie jej czas), uchwała o mediach jako źródło prawa, zmiana konstytucji przez rozporządzenie Bodnara, tweet do prezydenta: „Nie mam pańskiego płaszcza i co mi Pan zrobisz"… Czeka pełzający zanik suwerenności i siły kraju. Z pretekstem lub bez (PiS mu nie będzie potrzebny) Tusk na dowolnym polu sprowokuje warcholstwo, pogardę dla państwa, pogardę dla prawa, rozedrganie społeczne przez pobudzanie jałowych sporów… byle niszczyć, anarchizować, byle ludzie zobojętnieli na zło systemowe, które jak pleśń wgryzie się w Polskę i Polaków.

Z czasem zostanie się Polakom sznur. Tusk przejdzie do historii jako jego dostawca. Wedle recepty Lenina. Jeńców brać nie będzie. Jeniec może poczuć wolność i odsłonić zło. Tusk barbarzyńca.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Już to gdzieś widziałem

Jak to szybko poszło! Tydzień wystarczył „koalicji 13 grudnia", żeby powróciły obrazki, które były początkiem końca ekipy PO-PSL w 2015 r. Gdy oglądałem nagrania z przepychanek w siedzibie TVP (na szczęście Internetu nam jeszcze nie wyłączyli, ale niektóre strony w Internecie – jak widać – bez wahania), tak bardzo przypomniały mi sceny z akcji służb w siedzibie tygodnika „Wprost". Chcieli, żeby było, jak było. I jest. Tylko bardziej.

Bezapelacyjnie media publiczne wymagały zmiany. Wiele innych rzeczy w państwie wymaga zmiany. Ale – na Boga – nie można jej przeprowadzać w taki sposób! Zaczyna w Polsce pachnieć anarchią, podział między plemionami coraz wyraźniejszy. A jak reagują zwolennicy obecnej koalicji rządzącej? Ci, którzy krzyczeli „Praworządność!" i „Konstytucja!"? Czy się oburzają? Ależ skąd! W dużej części albo milczą, albo wręcz przyklaskują temu, do czego nie powinno dochodzić w żadnym cywilizowanym państwie.

Mam wrażenie, że politycy podzielili nas tak bardzo, że jesteśmy dziś w stanie zaakceptować nawet czołgi na ulicach. O ile wyprowadzone zostaną na „tych drugich". Opamiętajmy się!

Lech z Poznania

eprasa.pl c5017bbff7

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Sześć wniosków po akcji „Rympał”

1. Skok na media publiczne dokonany 20 grudnia przez koalicję pod wodzą Donalda Tuska pokazuje, jak szybko postępuje proces tworzenia „demokracji ustawianej” w ramach Unii Europejskiej. Komisja Europejska i Parlament Europejski zignorowały drastyczny przykład łamania prawa w wykonaniu ekipy w Warszawie. Jakby dla szyderczego potwierdzenia przyznania Tuskowi tego swoistego „talonu na przemoc” akurat w dniu akcji Warszawę odwiedziła Věra Jourová – unijna komisarz do spraw sprawiedliwości, wiceprzewodnicząca KE. Pani komisarz milczała na temat tego, co działo się w Polsce. Można tylko spekulować, czy Tusk uzyskał akceptację swojej operacji w trakcie niedawnej wizyty w Brukseli i czy tylko przypadkiem zbiegła się ona z uchwaleniem ustawodawstwa unijnego na temat redystrybucji uchodźców. Tak czy inaczej wniosek jest bardzo jasny. Ekipa, która żyje dobrze z Brukselą, może łamać prawo na domowym podwórku.

2. Dlaczego Tusk zdecydował się na tak prostacką akcję? Odpowiedź jest banalnie prosta: bo mógł. Po pierwsze, miał pewność, że wspiera go cała koalicja; po drugie, jest przekonany, że czyny, których dokonał 20 grudnia, nie zostaną ukarane przez sądy; po trzecie, korzystał z parasola ochronnego ze strony większości liberalno-lewicowych mediów. Festiwal rechotu i wsparcia dla pacyfikacji TVP i radia publicznego był na tyle dominujący, że niektórzy publicyści protuskowi pozwalali sobie wręcz na cyniczną szczerość. Przykładowo Michał Danielewski z OKO.press pisał: „Sprawa jest raczej prosta: 1. Jedyne prawo, wg którego dokonywane są zmiany, to prawo emanacji siły politycznej. 2. To niesie ze sobą odpowiedzialność: jeśli machanie łomem ma się obronić, za 4 lata muszą być nowe, dobre media publiczne – merytorycznie, prawnie i finansowo. Tyle”.

Data 20 grudnia 2023 r. jest cezurą ustrojową w dziejach Polski po 1989 r. Bezprawna operacja polityczna została oparta na uchwale sejmowej przy lekceważeniu wszystkich norm prawnych. To jednak kopernikański przewrót w obyczajach politycznych. Publicysta Robert Mazurek trafnie to podsumował: „Nowa władza właściwie unieważniła Sejm. Jeśli każdy wykwit jego pracy – ustawę czy konstytucję – można unieważnić uchwałą, to po co parlament, skoro wystarczy jeden pułkownik?”.

3. Operacja, której przewodził pułkownik Sienkiewicz, wymagała wielomiesięcznych przygotowań. Znaleziono zdrajców w TVP. Ważną rolę odegrała koordynacja działań z czołowymi mediami popierającymi Donalda Tuska – TVN, „Gazetą Wyborczą”, Onetem i Wirtualną Polską. Swoje zrobiły portale typu Plotek czy Plejada, które od miesiąca tworzyły szum informacyjny dyskredytujący czołowe twarze TVP Info oraz sugerujący, że zespół tej stacji złożony jest w dużej mierze ze „szczurów uciekających z tonącego statku”. Uzyskanie współpracy większości mediów liberalnych było też istotne przy tworzeniu aury śmieszności i groteskowości prób obrony mediów publicznych. Swoją rolę odegrała ta część komentariatu prawicowego, która do ostatniej chwili ogłaszała, że „nie będzie płakała za TVP Kurskiego i Matyszkowicza”. To, jak telewizja publiczna wykorzystała ostatnie osiem lat i dlaczego partia Jarosława Kaczyńskiego nie stworzyła warunków dla budowy bardziej solidnych podstaw bytu mediów z prawej strony, to osobna kwestia. PiS od tych pytań nie ucieknie. Dziś jednak rzuca się w oczy, jak ścisłe współdziałanie decydentów politycznych środowiska PO było nawiązaniem do starej tradycji nocy 4 czerwca 1992 r., w której to operacji udział dziennikarzy liberalnych był ważnym elementem powodzenia akcji. Najlepszym dowodem na współudział TVN w całej operacji było zwolnienie przez stację z Wiertniczej kilku dziennikarzy mających objąć stanowiska w nowej TVP z zapisów o zakazie konkurencji.

4. Wyrazem wyjątkowej bezczelności ekipy Tuska było ogłaszanie, że cała operacja ma na celu odpolitycznienie mediów publicznych. Działo się to wręcz przy otwartym przyznawaniu, że kandydatów na stanowiska w TVP wyznacza koalicja rządząca. Przyszła twarz wiadomości, Marek Czyż, jeszcze niedawno w jednym z filmików wychwalał Hołownię, głosząc, że mimo średniego wykształcenia „napisał on więcej książek, niż niejeden polityk PiS przeczytał ich w życiu”. Z kolei na portalu Pawła Moskalewicza, przyszłego szefa TVP Info, internauci szybko znaleźli zdjęcie z napisem „Kaczyński ch.j”. W wypadku planowanego na przyszłego szefa radia Pawła Majchera sprawa jest jeszcze prostsza. Jest to były szef gabinetu politycznego ministra Sienkiewicza.

5. 20 listopada nie przyniósł chwały prezydentowi Andrzejowi Dudzie. Nie zdecydował się on na przerwanie posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego, nie zdecydował się na żadne orędzie, nie odwiedził dziennikarzy, którzy stanęli wobec siłowego napadu na Woronicza. Pan prezydent ograniczył się jedynie do listu do Donalda Tuska, który ten koncertowo zlekceważył. Zdumiewa też to, że prezes Mateusz Matyszkowicz nie znalazł sposobu, aby przemówić do setek pracowników, którzy lojalnie wspierali jego misję na Woronicza i mieli prawo oczekiwać od swojego szefa paru słów wsparcia czy też podziękowania.

6. To, że Tuskowi na krótką metę pucz z 20 grudnia uszedł na sucho, może być punktem wyjścia do kolejnych operacji zakładających łamanie prawa. Można wyobrazić sobie sądową delegalizację partii PiS, a nawet skrócenie kadencji prezydenta Andrzeja Dudy. Usłużni prawnicy znajdą odpowiednie uzasadnienia, wierne Platformie media doskonale to wytłumaczą, a Bruksela nie będzie krytykować swego najwierniejszego syna w Warszawie. Każdy akt bezprawia, który udaje się bez bezpośrednich konsekwencji, skłania takich polityków jak Donald Tusk do rozważania kolejnej akcji politycznego drapieżnictwa. Jedyne pytanie brzmi: W jakim stopniu opinia publiczna będzie wyczulona na takie akty bezprawia? ©℗

eprasa.pl c5017bbff7

REPUBLIKA

Świat polityki „od kuchni” – niepopularne opinie, wyciszane tematy i niewygodne dla „mainstreamowych” mediów zagadnienia. **Marek Jakubiak** i **Marian Kowalski** podyskutują o ważnych tematach i bieżącej sytuacji politycznej w najnowszym programie publicystycznym Telewizji Republika.

Reasumując

Jakubiak
Kowalski

premiera
w każdy **piątek**
22:00
w Telewizji Republika

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl c5017bbff7

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Obstawiam

Grom z jasnego nieba: Niemcy likwidują dotacje do samochodów elektrycznych! Cios w samo serce „polityki klimatycznej", morderstwo dla planety, która przecież, jak wiemy od Grety Thunberg i innych poprzyklejanych do różnych rzeczy względne polewających je farbą małoletnich geofizyków, wkrótce spłonie i wyżarzy się do imentu, jeśli nie przestaniemy natychmiast używać paliw kopalnych bezpośrednio w samochodach (te same paliwa spalane w elektrowniach produkujących prąd dla samochodów elektrycznych już aż tak planecie nie szkodzą). I kto to podnosi zbrodniczą rękę na świętą „elektromobilność"? Światowy prymus klimatycznej ściemy – Niemcy?!

Trudno uwierzyć – a jednak, wszystkie agencje prasowe potwierdzają. Wstrzymanie na czas nieokreślony dotychczasowej „premii klimatycznej" 6 tys. euro do kupowanego nowego „elektryka" produkcji niemieckiej zapowiedział Robert Habeck, wicekanclerz oraz minister gospodarki i klimatu. I to ze skutkiem natychmiastowym: 16 grudnia oznajmił, że wnioski o „premię" będą przyjmowane tylko do 17 grudnia. Łaskawie zagwarantował jednak, że pieniądze już zatwierdzone zostaną wypłacone.

Co to oznacza dla producentów „zielonego" badziewia, pokazuje przykład Norwegii, gdzie bez dotacji sprzedaż „elektryków" spadła praktycznie do zera. Żeby nie wiem jak tresować ludzi propagandą o klimacie, na wolnym rynku generujące tyle różnorakich kłopotów elektrowózki nie są w stanie rywalizować z normalnymi samochodami. Krzyk podnieśli więc nie tylko „zieloni", lecz także przemysł. Ale – co robić! Tak się nasi übermensche rządzili, że zabrakło im w budżecie 60 mld euro, i muszą ciąć.

Idę do bukmachera namówić go na zakład, że już niebawem premier Tusk odniesie kolejny wiekopomny sukces w Europie: odblokują nam kolejne miliardy wziętej przez nas pożyczki, zwanej KPO, ze ścisłym przeznaczeniem na rozwój elektromobilności. A konkretnie – na zakup niemieckich samochodów elektrycznych. Jestem gotów się założyć o każde pieniądze. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Libertas andronare

Stańczycy głosili, że dawną Polskę zgubiło liberum veto, a walczącą o wolność w XIX w. gubiło liberum conspiro, „prawo" do wpychania kraju w beznadziejne wojny przez dowolny spisek, bez liczenia się z opinią społeczeństwa czy jego najbardziej sprawdzonych autorytetów.

Współczesną polską prawicę, a pośrednio i Polskę (bo prawica jest powołana, by wyznaczać kierunek polskiej polityki), od lat gubi i pogrąża libertas andronare, swoboda plecenia andronów czy w ogóle – robienia dowolnej hecy. To nie tylko swoboda mówienia rzeczy głupich, lecz także czynienia zawstydzających. Spotkałem na korytarzu prezesa JKM po tym, jak powiedział w Parlamencie Europejskim, że kobiety mniej zarabiają, bo są mniej inteligentne. „Panie Januszu – powiedziałem mu – po co Pan mówi takie rzeczy, przecież Pan tak nie myśli, Pan jest wielbicielem lady Thatcher".

„Proszę Pana – odpowiedział mi prezes – jakbym ja mówił tak jak Pan, nic by z tego nie wynikło, a tak cała Europa usłyszała". No i w ten sposób Europa usłyszała wolny polski głos. Nasz głos?

Ta wolność hecy nie byłaby tak skuteczna, gdyby nie stał na jej straży – jak go świetnie przed wojną określił młody Stefan Kisielewski – terroryzm ideowy. Ten terroryzm ideowy gotów jest każdego, kto tylko stanie na drodze jego ekscesom, zmieszać z błotem jako wroga narodu, sprawiedliwości czy praw człowieka. Kisiel twierdził, że to u nas zjawisko uniwersalne – od ONR do „Wiadomości Literackich" (odpowiednik dzisiejszej „Wyborczej"). Po prostu wolimy werbalne burdy od nudnej debaty.

Na hecę jest więc dziś tylko jedna odpowiedź. Stanowczy sprzeciw, niezależnie od tego, ile wyzwisk i wymysłów wywoła, jakie fale ideowego terroryzmu uruchomi. Na bezmyślną solidarność z hecą czas odpowiedzieć solidarnością przeciw hecy. To jedyny sposób, by prawica naprawdę mówiła swoim głosem. To tyle co do zasad, a o przypadku posła Brauna jeszcze napiszę. ©℗

eprasa.pl c5017bbff7

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

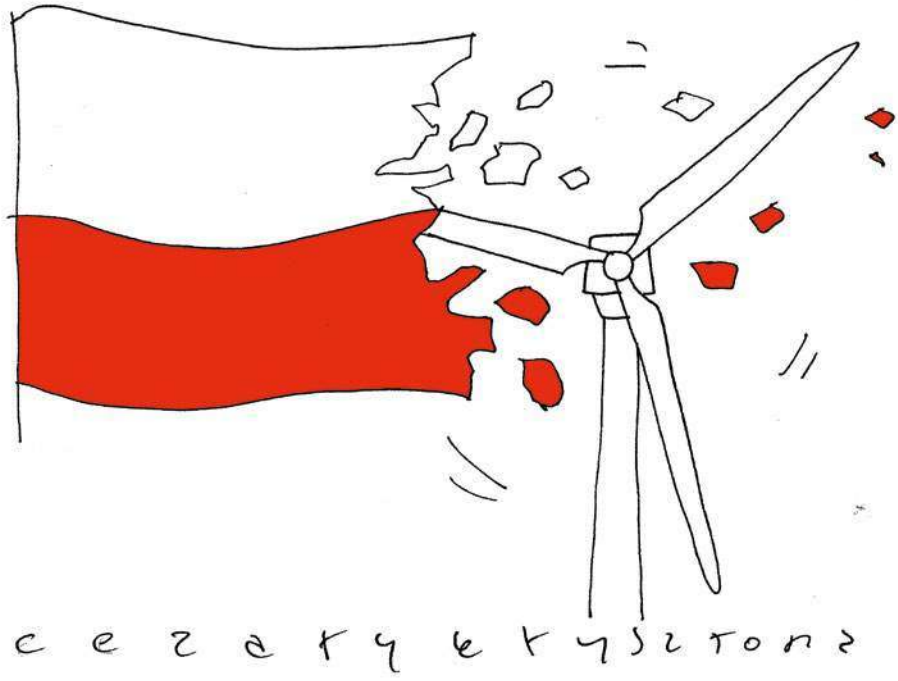

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Wściekłość i wrzask

Elon Musk, którego włoska lewica wciągnęła na sztandary, bo produkuje auta elektryczne i posiada dzieci dzięki mamom surogatkom, przybył do Rzymu. Postępowcy natychmiast się odkochali, bo przyjechał na partyjne święto najpopularniejszej włoskiej partii politycznej Bracia Włosi premier Giorgii Meloni. Liderka postępowej Partii Demokratycznej Elly Schlein zaproszenie odrzuciła, wyjaśniając, że nie będzie siadać przy jednym stole z tymi, którzy tęsknią za faszyzmem, nazizmem i frankizmem. Przybył za to premier Sunak.

Postępowcy doznali kolejnego szoku, gdy usłyszeli przemówienie Muska. Poradził Włochom, żeby zaczęli się radośnie mnożyć, bo migranci nie rozwiążą problemu demograficznego. Przestrzegł, że nielegalna migracja grozi katastrofą społeczną, a na dodatek utratą tożsamości narodowej i kulturowej. Zalecał imigrację legalną („Musimy wiedzieć, kto do nas przybywa"). Napiętnował histerię klimatyczną i demonizację gazu i ropy. Błagał Włochów, aby nie importowali z USA poprawności politycznej, kretyństwa woke i wykluczania inaczej myślących. Czyli uderzył w kardynalne dogmaty lewicowej wiary.

Dobiło ich to, że na zaproszenie premier Meloni na święto przybył również selekcjoner Luciano Spalletti, który w futbolocentrycznej Italii cieszy się statusem półboga. Decyzje selekcjonera są szerzej komentowane niż pociągnięcia rządu, parlamentu czy prezydenta. Nawet, jak mówi mi żona, w damskim salonie fryzjerskim.

Apostoł poprawności politycznej Massimo Gramellini, czołowy komentator najważniejszego włoskiego dziennika „Corriere della Sera" (oczywiście z wyjątkiem „La Gazzetta dello Sport"), dostał pomieszania zmysłów. Napisał, że selekcjoner jest dobrem narodowym Italii i nie powinien brać udziału w świętach partii politycznych, bo musi być bezstronny. Czytelnicy skomentowali, że Spalletti, jeśli zechce, może się nawet wybrać na Księżyc, byle reprezentacja grała dobrze.

Wszelkiego dobra w nowym roku! ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl c5017bbff7

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

MARYSIA W RINGU

Jeszcze nie tak dawno temu Marianna Schreiber, celebrytka polityczna i żona polityka PiS, chciała zdelegalizować walki freak fightowe. Zorganizowała w mediach społecznościowych kampanię przeciwko Clout MMA (federacji organizującej takie wydarzenia). Wysyłała do prezydenta Płocka – gdzie planowano jedną z edycji – podanie, w którym apelowała o powstrzymanie „jawnej promocji patologii", wskazując, że „impreza ośmiesza miasto". Sytuacja się jednak zmieniła. Schreiber sama bowiem weźmie udział w gali – jako

FOT. WPHOTO/EAST NEWS

zawodniczka. „Drodzy! Nie uwierzycie, co się stało! Świąteczna gorączka, świąteczne zakupy, tyle się dzieje. Kilka dni temu odebrałam pocztę, a w niej dokument, na który długo czekałam – przedłużenie umowy z telewizją kablową. Bez czytania dokumentów, nie zastanawiając się długo, od razu to podpisałam. I teraz rada ode mnie! Czytajcie, co podpisujecie! To nie była telewizja kablowa, tylko kontrakt z Clout MMA. Poradźcie mi, co mam teraz zrobić!" – napisała na portalu X, informując o nowej przygodzie. Żarty żartami, ale Marianna szybko przeszła do sedna. „Chyba wszyscy wiecie, co będę robiła 29 grudnia (kiedy, mam nadzieję, że Wy będziecie w rodzinnej atmosferze odpoczywali po świątecznych obowiązkach – ja będę udawała, że umiem się bić). Wydaje mi się, że jestem Wam winna wyjaśnienia. Jak większość z Was wie, jeszcze kilka tygodni temu wyraziłam swoją negatywną opinię na temat gal freak MMA. Więc pewnie zastanawiacie się, co się takiego wydarzyło, że sama w niej zawalczę? Najczęściej ważne decyzje w naszym życiu mają wiele motywów. Oczywiście mogłabym, jak wiele osób walczących we freak fightach, tworzyć jakąś legendę, że »od dziecka kocham sporty walki, że potrzebny jest mi zastrzyk adrenaliny itd.«, ale tak jak zawsze – CHCĘ BYĆ Z WAMI SZCZERA. Na pewno istotnym elementem (chyba tak jak dla wszystkich zawodników) jest czynnik finansowy, który spowodował, że zaczęłam o tym w ogóle myśleć na poważnie, i który, wydaje mi się, mógł przeważyć. Byłabym hipokrytką, gdybym o tym nie wspomniała" – wskazuje założycielka partii Mam Dość 2023. „Na pewno jednak rzeczą, która daje mi motywację do treningów i samej walki, jest to, że naprawdę polubiłam ten sport i chciałabym się w nim sprawdzić w formule zawodniczej" – zastrzega. Schreiber jest przekonana, że jej obecność pokaże, iż celebryckie mordobicie może być czymś więcej. „Chciałabym również pokazać, że można być zawodnikiem tak zwanych gal freakowych i reprezentować sobą coś więcej niż tylko przekleństwa, groźby i wyzwiska. Tak jak do tej pory, czy to w »Top Model«, czy to w mojej aktywności okołopolitycznej – zawsze dawałam z siebie 100 proc. i mówiłam o swoich poglądach, nawet jeżeli są one niepopularne i za które wielu z Was mnie nie lubi. Tak samo uważam, że udział w tej gali będzie dla mnie szansą pokazania Wam swojego ja" – przekonuje Marianna. Pani Marianno, już chyba mamy dość.

WZRUSZENIOM NIE BYŁO KOŃCA

Radość, lekki oddech, demokracja, różnorodność, polityka miłości. W „wolnej Polsce" Donalda Tuska słońce nie zachodzi nigdy. Celebryci nie kryją zachwytu i w ogóle w ten nowy rok Polska wchodzi bardziej uśmiechnięta. – Ja też poczułam ulgę, ale też poczułam wzruszenie. Szczególnie jak zobaczyłam pana prezydenta Lecha Wałęsę, który się wzruszył, ja też wtedy się wzruszyłam. Pomyślałam – widzę tego człowieka w Sejmie – to jest jakaś historyczna chwila. Naprawdę to było poruszające. No i to zrobiło na mnie wrażenie. – Tak zmianę premiera przeżyła aktorka Agnieszka Dygant. Gwiazda ufa, że premier Donald Tusk wraz ze swoim rządem zadba o kulturę. – Na pewno kultura jest tematem, który warto poruszyć. Ale myślę, że są też tematy, które są może bardziej niecierpiące zwłoki. Myślę, że rząd nowy jest władny, żeby zdecydować, co będzie pierwsze. Ja wygrałam w wyborach, więc ufam, że odpowiedni ludzie na odpowiednim miejscu podejmą tę decyzję – zapewnia Dygant. Nowego znaczenia nabiera sformułowanie „Platforma celebrytów".

JAK TAK MOŻNA?!

Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? „Wracamy do Polski. Do najpiękniejszego kraju, w którym mogłem przyjść na świat, i najgorszego państwa, w jakim przyszło mi żyć. Jedynym, czego pragnąłem po latach sukcesów i porażek, był spokój za oknem w postaci uśmiechu mojej żony. Próżno go szukać, choć każdego dnia zakłada maskę jak każda kobieta i podnosi mnie na duchu, a w głębi serca czuje strach" – napisał Michał Wiśniewski, który przez dłuższy czas wypoczywał na Bahamach. „Podłość wynikająca z wolności słowa i bezkarności neopalestry doprowadziły mnie do miejsca, w którym jestem" – dodaje. Muzyk sugeruje, że to, co go spotyka, to może być kara za niepoprawne politycznie piosenki. A co właściwie spotkało Wiśniewskiego? Sąd Okręgowy Warszawa-Praga uznał (wyrok nieprawomocny), że muzyk jest winny niekorzystnego rozporządzenia mieniem znacznej wartości SKOK w Wołominie na kwotę 2,8 mln zł. Wymierzył mu karę 1,5 roku więzienia oraz grzywnę w wysokości 80 tys. zł. Naprawdę podłość. ©℗

eprasa.pl c5017bbff7

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Schyłek roku to czas podsumowań i prognoz. Wiecie, jak jest, iż w końcu pracujecie w korpo. Jak tylko przychodzi koniec listopada albo grudzień, to wtedy każde korpo zaczyna udawać, iż wie, co się będzie działo w jego branży w kolejnym roku. To o tyle bezpieczna działalność, iż na koniec tego kolejnego roku nikt już o tym nie będzie pamiętał, co więcej: nikt nie będzie pamiętał, że powinien o czymś takim pamiętać. A żeby to zweryfikować, to ho, ho. Zapomnijcie.

Dlatego też z pełną odwagą obywatelską, zachęceni nawet powołaniem ministerstwa do spraw społeczeństwa obywatelskiego, pragniemy przedstawić nasze predykcje na temat tego, co się może wydarzyć w 2024 r. Oczywiście nie bierzemy za nie żadnej odpowiedzialności, a jakby przyszło co do czego, to wszystkiego się wyprzemy, więc nawet nie próbujcie wycinać tej strony z gazety i chować na za rok xD.

Po pierwsze: otósh skoro mamy nową koalicję rządową, która będzie władała głównie za pomocą ludzkich serc, to nie widzimy dalszej konieczności stosowania węgla i innych paliw kopalnych. Rok 2024 to będzie historyczny rok, kiedy zamkniemy ostatnią kopalnię, górników przekwalifikujemy na trenerów mentalnych, instruktorów do spraw gender w dopiero co odzyskanych szkołach czy innych baristów, a głównym źródłem zasilania naszych elektrowni uczynimy pozytywne emocje towarzyszące oglądaniu transmisji obrad Sejmu na jutubie.

Po drugie: skoro z polskiej szkoły przegoniono Czarnka, ministrzynią oświaty została Nowacka, to spodziewamy się, iż w 2024 r. definitywnie odejdziemy w programie nauczania od wszystkich tych Sienkiewiczowskich „Dziadów", od tego obnoszenia się z martyrologią i tradycją, a zaczniemy wreszcie uczyć dzieci jakiegoś pozytywnego przekazu. Albo nawet przestaniemy zanudzać ich czytaniem, bo umówmy się, iż jest to już passé, a najdłuższe formy czytane, które przyswaja współczesna młodzież, to opisy na TikToku. Dlatego oczekujemy i spodziewamy się, iż polska szkoła w 2024 r. bardziej postawi na rozrywkę i media społecznościowe niż na kultywowanie sarmackiej tradycji wśród najmłodszych poprzez indoktrynowanie ich panem Wołodyjowskim.

Po trzecie: tu już nie oczekujemy, tylko jesteśmy pewni. Będzie to rok, kiedy władza odzyska społeczne zaufanie i poparcie. Sami popatrzcie, nie dość, iż mamy szeroką koalicję rządzącą, która odpowiada najróżniejszym potrzebom polskiego społeczeństwa, to jeszcze mamy przy władzy z powrotem zasłużone i dobrze zapamiętane, a jeszcze lepiej kojarzące się osoby, jak Sienkiewicz czy Sikorski. Of kors mówiąc o odsunięciu ze szkół Sienkiewicza, mamy na myśli nie Bartłomieja, tylko tego drugiego, jak mu tam było, Adama. A ponieważ, jak wiadomo, najbardziej lubimy melodie, które już znamy, to:

Po czwarte: pan premier Tusk dostanie propozycję objęcia unijnego stanowiska, dzięki któremu jeszcze bardziej umocni pozycję tego kraju na arenie międzynarodowej, a zastąpi go na stanowisku premierzyni Ewa Kopacz. I wiecie co? I też będzie fajnie! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

W drzwiach do studia

Asiu, to ty weź te trytytki i tu się przywiąż, do tego wysięgnika.
Jacku, to się nazywa „kran kamerowy". Ja się na tym znam, pracowałam w telewizji, jak wiesz.

Ale trytytki są z plastiku, to przecież mnie łatwo odczepią.

No niby tak, ale jak będziesz chciała wyjść do toalety, to poprosisz kogoś tutaj i cię łatwo odetną. A potem znowu przypną. Zobacz, mam tego całą paczkę. Krzesełko sobie podstaw.
W sumie racja. A ciebie to bym w drzwiach do studia widziała.

Dlaczego akurat tam?
Nie bierz tego osobiście, ale... Jak by ci to... Jesteś w stanie skutecznie je zablokować.

No wiesz, zrzuciłem ostatnio dwa kilo!
Mimo to dobrze tam zablokujesz.

Wiesz, kto nas potem zmienia?
Za ciebie ma Fogiel przyjść.

Niedobrze. Chudy strasznie. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Od 89 roku z żadnym rządem nie wiązano takich nadziei".

TOMASZ LIS, *publicysta, w portalu X, o powołaniu rządu Donalda Tuska*

eprasa.pl c5017bbff7

dwaj panowie g

Zwyczajowo w noworocznym wydaniu naszej rubryki składaliśmy rozmaitym personom życzenia, które oczywiście się nie spełniały, gdyż nie to było ich celem. W tym roku jednak składanie życzeń noworocznych wydaje nam się bezcelowe. Miłośnicy dawnej Eine Totalopposition wszystko, o czym mogli marzyć, już mają: to znaczy rząd Donalda. Przeciwnikom dawnej Eine Totalopposition w aktualnej sytuacji składać życzeń jakoś nie wypada, gdyż sami dobrze wiecie, jakie my składamy życzenia.

Pojawia się oczywiście paląca kwestia: jak obecnie nazywać Eine Totalopposition, skoro nie jest już opozycją, tylko koalicją rządzącą. Cóż, odpowiedź jest prosta: Eine Totalkoalition. Coś nam jednak mówi, że od czasu do czasu przyjdzie potrzeba używania także innych określeń. Przychodzi nam do głowy np. Ein Oktopus. Wiecie, koalicja ośmiu gwiazdek, czyli ośmiornica.

Niektórzy dziwią się determinacji Eine Totalkoalition w rozmaitych rympałach, a precyzując, dziwią się lekkości, z którą przystawki żyrują rozmaite pomysły Złego Donalda z Sopotu, który nie idzie już nawet po bandzie, tylko wraz ze swoją bandą zostawił tę bandę daleko za sobą. My się nie dziwimy. Pamiętamy bowiem, jak zatroskany Władysław Kosiniak-Kamasz mówił jeszcze przed wyborami, że jak Eine Totalopposition nie wygra wyborów, to mu się partia rozpadnie. A jak ktoś gra o wszystko, to jest gotowy na wszystko.

À propos gotowych na wszystko: będzie teraz okazja, by oglądać rozmaitych ludzi tym właśnie się charakteryzujących. Na przykład taki redaktor Marek Czyż, który w pierwszych, jednominutowych „neo-Wiadomościach" ogłosił, że teraz będzie w nich „czysta woda zamiast propagandowej zupy". Jeszcze nigdy

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl c5017bbff7

nie włożono tyle wysiłku w to, żeby ktoś mógł lać wodę.

W każdym razie teraz w końcu będzie normalnie, to znaczy europejsko, jak w Niemczech, i każda stacja większa od mrówki będzie miała pełną wolność w mówieniu dokładnie tego samego. Taka zresztą jest dziejowa konieczność, sami rozumiecie. A w końcu wolność to uświadomiona konieczność.

Jeśli ktoś nie rozumie, to oczywiście nasza wpływowa rubryka śpieszy z pomocą. Będziemy wszystko tłumaczyć. Wystarczy dopasowywać odpowiednie deklaracje lub wezwania do odpowiednich działań i już wszystko się samo wyjaśnia. Na przykład niedawno niejaki Maciej Witucki (to ten pan, który kieruje Konfederacją Lewiatan, a którego CBA prowadzało w kajdankach) wezwał, by nowy rząd „przywrócił autentyczny dialog społeczny". A rząd, wyposażony w słuch społeczny, nasłał Sienkiewicza na media – i przywrócił! Czekamy niecierpliwie na dalsze postępy dialogu!

À propos CBA. Do likwidacji. Obawiamy się jednak, że to za mało. Żeby znikły wszystkie kłopoty nie tylko Wituckiego, lecz także np. Romana Giertuska, trzeba zlikwidować nie tylko CBA – najlepiej wszystkie prokuratury i sądy. Nigdy bowiem nie wiadomo, czy jakiś cymbał się nie wychyli z poważnym traktowaniem zebranego materiału dowodowego. A zresztą: po co właściwie nam prokuratury i sądy? W nowej, lepszej Polsce i bez tego wiadomo, kto anioł, a kto łotr.

Wszystko to przypomniało nam stary dowcip z czasów PRL. Spotyka się Amerykaniec z Ruskiem. I Amerykanin mówi: „Wiesz, w odróżnieniu od was my mamy wolność słowa. W każdej chwili mogę np. wyjść na ulicę i krzyczeć: »Precz z Reaganem!«. Na to Rusek odpowiada: „Phi, wielkie mi coś. Ja też w każdej chwili mogę wyjść na ulicę i krzyczeć: »Precz z Reaganem«". Żart ten uświadamia nam, że w Polsce, wbrew opinii ponuraków, przecież nic się nie zmieniło. Dotąd można było wołać „….. …". I teraz też będzie można wołać to samo!

Wracając do CBA – Polska to jest dziwny kraj, zwykł mawiać Zulu-Gula. I my się z tym zgadzamy. Na przykład krwawy Mario Kamiński i mniej krwawy, ale też niekochany przez Eine Totalkoalition Maciej Wąsik zostali po raz drugi skazani za to, za co ułaskawił ich prezydent Andrzej Sebastian. Co sprawia, że aktualne staje się pytanie, czy prezydent może kogoś ułaskawić po raz drugi, dokładnie w tej samej sprawie. Uważamy, że może. Nawet trzeci i piąty. Aż do skutku. A czy mogą w związku tym być skazywani po raz trzeci i piąty? Oczywiście! Naszym przewodnikiem jest w tej kwestii wielki Donald Tusk, autor zdania: „Zgodnie z prawem, tak jak my je rozumiemy".

Skoro już o Mariu Kamińskim i Macieju Wąsiku – głośno było o nich ostatnio także w partii. Jeszcze przed rewyrokiem. A mianowicie kiedy się jednoczyli Republikanie z PiS. Nie jest bowiem tak, że wszyscy byli entuzjastycznie nastawieni do tej unii. Ponad 20 działaczy było przeciw. W tym Mario i Maciej. Nam w sumie też się nie podobało. Ale nie samo zjednoczenie, tylko sposób, w jaki się dokonało. Ot, Rada Polityczna PiS podjęła uchwałę. Mało to atrakcyjne. Nie wierzymy w zjednoczenia bez kongresów zjednoczeniowych!

Czasy są poważne, więc i my przez chwilę będziemy poważni. Tak się bowiem składa, że rympał w sprawie mediów publicznych przykrył skutecznie rozmaite sprawy. I to bardzo poważne sprawy: pakt migracyjny z przymusową relokacją, przyspieszenie budowy eurosuperpaństwa (które na pewno nie będzie super) oraz choćby taki budżet na rok 2024. Młodsi czytelnicy naszej rubryki nie pamiętają, ale to za czasów pierwszej kadencji PeŁo i Złego Donalda z Sopotu powstało określenie „przemysł przykrywkowy".

W związku z powyższym (i innymi sprawami też) nie możemy się zgodzić z tymi, wedle których historia powtarza się jako farsa lub groteska. Niestety, nie. Realizacja hasła „Żeby było, jak było" zamieniła się w realizację hasła „Żeby było, jak było, ale jeszcze bardziej". Stanisław Lem, pytany kiedyś, jaki będzie wiek XXI, odparł, że taki sam jak wiek XX, tylko bardziej. Prorok czy co?

Zdarzyła się jednak, w związku z pacyfikowaniem telewizji, jedna rzecz naprawdę zabawna. Otóż jeszcze nie zdążyła się rozpocząć pierwsza demonstracja na Woronicza, a już wszystkie serwisy plotkarskie i media lajfstajlowe zaczęły tonąć w świeżutkich doniesieniach od celebrytów. Celem tych doniesień było przypomnienie, kto w rozrywkowych programach TVP miał najlepszą oglądalność, więc w związku z tym jest bezpieczny i wróci na wizję po świętach. Cóż, żeby wierzyć, że Donaldowi chodzi na Woronicza o oglądalność, trzeba być jeszcze większym celebrytą niż przeciętny celebryta. Tak, w poprzedniej sentencji przynajmniej raz użyliśmy słowa „celebryta" jako synonimu innego słowa.

Skoro już płynnie przeszliśmy od polityki do rozrywki, to musimy wyznać: nie możemy się już doczekać emisji „Zielonej granicy" Agnieszki Holland na antenie TVP. Jako że to film głęboko chrześcijański, podejrzewamy, że stanie się tak w Święta Wielkanocne. Po chwili namysłu chcielibyśmy nawet wezwać do działań ekumenicznych: emisji „Zielonej granicy" jednocześnie na wszystkich głównych antenach kraju – od TVP do TVN.

W związku z powyższym przygotowaliśmy od razu na zapas scenariusz gali wręczania nagród nowych, lepszych mediów publicznych. Najlepszy film ze słowem „Zielony" w tytule? „Zielona granica". Najlepszy film o granicy? „Zielona granica". Najlepszy bohater niebinarny – granica w filmie „Zielona granica". Mamy jeszcze wiele kategorii, ale nie będziemy was zanudzać listą zwycięzców. W końcu najważniejsze, żeby wygrała Polska. Prawda? ©℗

eprasa.pl c5017bbff7

A jeśli Kijów padnie?

Piotr Semka

Ciągle zapominamy, że ukraiński duch oporu wobec Rosji może w którymś momencie się załamać. Ciągle zbyt mało doceniamy to, że ukraińskie wojska utrzymują Rosjan ponad tysiąc kilometrów od granicy polsko-ukraińskiej. Odkryliśmy bardzo wiele pokładów niedojrzałości wśród ukraińskich przywódców, ale wciąż są to dla nas partnerzy o wiele korzystniejsi niż bandyci z Kremla

Czy w 2024 r. wybuchnie trzecia wojna światowa? Szczerze mówiąc, zmęczony już jestem zalewem geopolitycznych prognoz wygłaszanych przez politologów przybierających pozy wszechwiedzących mędrców. Męczą mnie te wszystkie efekciarskie deklaracje, że trzecia wojna już jest, tylko my jej nie zauważamy. Owszem, dezorganizacja dawnej Pax Americana jest widoczna, a nastrój niepewności wzmacniają jeszcze przyszłoroczna kampania prezydencka w USA oraz walka o dominację nad Unią Europejską ze strony Niemiec. Ale najważniejszym pytaniem, które możemy sobie postawić tu, nad Wisłą, właśnie teraz, u progu nowego 2024 r., jest pytanie o to, jak Ukraina przetrwa najbliższe 12 miesięcy. Czy będzie to dla niej czas bez przegranej na polu bitwy? Czy uniknie konfliktu na szczytach władzy? Czy oprze się naciskom państw zachodnich, które zmuszałyby ją do jakiegoś zgniłego kompromisu z Rosją?

NIEPOKOJĄCE SYGNAŁY

Obrazki z frontu ukraińsko-rosyjskiego dawno już przestały epatować zapałem i entuzjazmem bojowników spod znaku niebiesko-żółtego sztandaru. Zima to w warunkach ukraińskich wielkie błoto, w których toną nawet potężne SUV-y. Jeszcze gorszy jest mróz, który czyni z okopów ogromne, nieprzyjazne lodówki. Na atmosferę niepokoju o los Ukrainy wpływają sygnały o pełzającej wojnie w elitach naszego wschodniego sąsiada.

18 grudnia 2023 r. media obiegła informacja o odnalezieniu podsłuchu w gabinecie głównodowodzącego armii ukraińskiej gen. Wałerija Załużnego. Początkowo nie wyjaśniano dokładnie, czy chodziło o „pluskwę" rosyjską czy też instalacja była dziełem któregoś z politycznych konkurentów Załużnego. Potem wspomniano o rosyjskim tropie, ale wszystko wyglądało dziwnie, jakby był to element walk na szczytach władzy. Dowódca ukraińskiej armii jest typowany na jednego z kandydatów w najbliższych wyborach prezydenckich na Ukrainie. Nie wiadomo, czy wybory te odbędą się w 2024 r. – w warunkach wojny byłoby to bardzo skomplikowane, ale już teraz widać, że irytacja „napoleońskim" stylem rządów prezydenta Wołodymyra Zełenskiego narasta. Burmistrz Kijowa Witalij Kliczko – inna postać wymieniona w kon-

eprasa.pl c5017bbff7

Ostatnia wizyta prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego „po prośbie" w Waszyngtonie okazała się porażką

FOT. PRESIDENT.GOV.UA

tekście wyścigu prezydenckiego w 2024 r. – coraz głośniej mówi o skłonnościach autorytarnych prezydenta.

Demon skłócenia pojawił się też wraz z porażką letniej ofensywy. Liczni politycy wskazują różnych odpowiedzialnych za te niepowodzenia. Od gen. Załużnego do samego prezydenta Zełenskiego. Czy ta wojna na górze może w przyszłym roku przełożyć się na zdolność Ukrainy do zatrzymania rosyjskiej ofensywy? Zagraniczni obserwatorzy wyłapują z ukraińskich mediów liczne sygnały zmęczenia wojną. Coraz mniej jest chętnych do walki, a wyłapywanie rezerwistów w wyniku policyjnych akcji budzi fatalne emocje w społeczeństwie ukraińskim.

Na te niepokojące sygnały nakłada się spadek pomocy Zachodu w kwestii uzbrojenia. Dawno minęły czasy, gdy uzbrojenie płynęło szerokim strumieniem w kierunku Ukrainy. Nie ma już Borisa Johnsona, który dla jak najlepszego wyposażenia armii ukraińskiej zrobił niezwykle dużo. Jego następca, Rishi Sunak, zaczyna mówić o braku „swobody finansowej" potrzebnej do przekazywania Ukrainie sprzętu wojskowego.

Ostatnia wizyta Zełenskiego „po prośbie" w Waszyngtonie okazała się porażką. Przybycie do USA przywódcy państwa ukraińskiego nie wpłynęło na wynik głosowania w Senacie nad planem kolejnej transzy pomocy finansowej dla Ukrainy. Pakiet przepadł – zabrakło 11 głosów republikanów. Pentagon na próżno alarmuje kongresmenów, że kończy się ostatni miliard dolarów na finansowanie amerykańskiej amunicji dla ukraińskiej artylerii. Owszem, republikanie połączyli poparcie dla Kijowa z żądaniami wewnątrzamerykańskiej reformy systemu antyemigracyjnego, ale dawniej Zełenski potrafił przykuwać uwagę całego Kongresu. Dziś nie umie zdobyć serc republikanów na tyle, by przejęli się jego apelami wskazującymi, że front ukraińsko-rosyjski to jednocześnie granica świata przewidywalności i demokracji w Europie.

W tej układance obrazującej znużenie wojną na Ukrainie jest i polski element. Znacząco spadł nad Wisłą poziom życzliwości dla Ukrainy. Nikt już nie pamięta, kiedy ostatnio spotkali się prezydenci Duda i Zełenski. Na rynku książek politycznych popularność zdobyła pozycja reporterska Zbigniewa Parafianowicza „Polska na wojnie". Ujawniła ona szczegółowo to, o czym mówiono od miesięcy – Ukraina zachowała się wobec Polski mało lojalnie w stosunku do skali pomocy, którą udzielił nasz kraj w 2022 r. Solidarność z Ukrainą przestała być popularnym hasłem. Dominuje myślenie: „Jakoś ta Ukraina przed Rosją się obroniła, więc można przestać interesować się nudną wojną pozycyjną na Zaporożu i w okolicach Doniecka".

Najważniejszym pytaniem, które możemy sobie postawić nad Wisłą u progu 2024 r., jest pytanie o to, jak Ukraina przetrwa najbliższe 12 miesięcy

Wszystko to dzieje się w sytuacji, gdy z Rosji nadchodzą sygnały o bardzo metodycznym planowaniu odrywania kolejnych pasków terytorium na wschodzie z zamiarem powolnego parcia sił rosyjskich ku Dnieprowi. Podobno w przyszłym roku jednym z zamierzeń rosyjskich jest zdobycie Charkowa. Ukraińscy wojskowi z niepokojem myślą o dacie 17 marca, kiedy w Rosji odbędzie się pierwsza tura wyborów prezydenckich. Już dziś jest jasne, że wybory te wygra Władimir Putin, który ma już za sobą sześć kadencji prezydenckich, ale marzy o kolejnych. Nietrudno wyobrazić sobie, że niekoronowany car Rosji bardzo będzie chciał uzyskać na początku marca 2024 r. jakiś efektowny sukces militarny kosztem Ukrainy. Na dodatek, jeśli konflikt izraelsko-palestyński będzie trwał dłużej Ameryka, to może nie mieć siły na tak silne zaangażowanie na Ukrainie jak to, którego byliśmy świadkami w latach 2022 i 2023.

Wielką niewiadomą jest wreszcie wynik wyborów prezydenckich w przyszłym roku w USA. Jeśli wygra Donald Trump, to pojawi się pytanie, w jakim stopniu będzie on gotów utrzymywać dalsze zaangażowanie po stronie Ukrainy.

CZARNE SCENARIUSZE

Pojawiający się od 10 miesięcy nastrój braku zainteresowania losami na Ukrainie nie wziął się oczywiście w Polsce znikąd. Ukraina, która przetrwała najgorszy

eprasa.pl c5017bbff7

etap wojny z Rosją, zyskała mentalność państwa, które ktoś chce całkowicie zniszczyć. Takie kraje nabierają przekonania, że w walce o środki na prowadzenie wojny mają prawo stosować każdy chwyt. W książce Parafianowicza jeden z dyplomatów trafnie zdefiniował, że początkiem pęknięcia na linii Warszawa – Kijów było zderzenie się mentalności Andrzej Dudy jako krakowskiego inteligenta z cwaniackim stylem Wołodymyra Zełenskiego, który aby dojść tam, dokąd doszedł, musiał posługiwać się sprytem i twardymi łokciami w polityce. Tyle że polskie rosnące désintéressement losem Ukrainy jest luksusem, na który nas nie stać.

A tymczasem na horyzoncie pojawiają się rozmaite możliwe scenariusze znaczącego osłabienia się Ukrainy. Ponurym ostrzeżeniem jest tu los Gruzji – kraju, który w 2008 r. był gotowy do podjęcia walki w obronie swojej niepodległości, broniąc się przed rosyjskim najazdem. Piętnaście lat później górskie państwo kaukaskie zmieniło się w kraj, który nadskakuje Rosji i który dał się sprowadzić do roli państwa łamacza embarga antyrosyjskiego. Ukraina bardzo wyraźnie postawiła na Niemcy i wiele państw na czele z Polską poczuło się zwolnionych od jakiegoś specjalnego poczucia odpowiedzialności za jej los. Szef dyplomacji ukraińskiej Dmytro Kułeba w dość dziwny sposób zachwala „niemieckie przywództwo", ciesząc się z tego, że kanclerz Olaf Scholz znalazł jakiś sposób, by trzymać Viktora Orbána z dala od sali szczytu unijnego, w którym zadeklarowano podjęcie procesu prowadzącego do akcesji Ukrainy do UE. Ale według licznych sygnałów Niemcy nie ustają w próbach nakłonienia Ukrainy do zamrożenia konfliktu i być może zaakceptowania strat terytorialnych. W niemieckich debatach wciąż powraca nadzieja na wskrzeszenie tzw. formatu mińskiego, w którym Niemcy wraz z Ameryką i Francją szukali jakiegoś modus vivendi dla niepodległości Ukrainy i akceptacji dla niej Rosji za cenę rozmaitych ustępstw. A biznesy niemiecki i francuski tylko marzą, by wrócić do interesów z Rosją tak szybko, jak tylko możliwe.

ROLA POLSKI

Jeżeli komuś powinno najbardziej zależeć na dalszym istnieniu Ukrainy i uniknięciu przez nią wyniszczającego konfliktu na szczytach władzy, to jest to Polska. I nic tego nie zmieni. Powoływanie się na niewdzięczność Wołodymyra Zełenskiego nie jest politycznym realizmem. W książce Parafianowicza jeden z ministrów prezydenckich wspomina o bardzo dużej rzeszy polityków, którzy zaczęli post factum krytykować udzielenie Ukrainie dużej ilości polskiego uzbrojenia w najbardziej kluczowych pierwszych pięciu miesiącach wojny. Jak mówi cytowany minister: „Czy wiedząc o tym, jak zachowa się latem i jesienią 2023 r. Zełenski, poparłbym przekazywanie broni jeszcze raz? Oczywiście. 24 lutego 2022 r. to państwo walczyło o przetrwanie. Oddanie Ukrainie za darmo czołgów, amunicji i zestawów przeciwlotniczych było w naszym interesie. To nie był czas na rozważania, jak i kiedy oszuka nas Zełenski". Zapamiętajmy sobie te słowa, bo wypominanie PiS tamtej darmowej pożyczki uprawia do dziś wielu publicystów. Mienią się oni zimnymi racjonalistami, a tak naprawdę zimnym racjonalizmem było pomaganie wtedy, kiedy Berlin spisał Ukrainę na straty.

Nie wiedząc, jak potoczy się przyszłość na terenie Rosji, wciąż skazani jesteśmy na troskę o los Ukrainy

Oczywiście i dziś należy Ukrainę traktować bez sentymentów, ale i bez obojętności na to, czy to państwo przetrwa. Ponadto musimy pilnować, aby nie sprawdziły się chore plany Paryża i Berlina zastąpienia amerykańskiego parasola nad Europą buńczucznymi planami przejęcia tego zadania przez bliżej nieokreślony system bezpieczeństwa europejskiego. Unia jest na to po prostu za słaba. Kraje unijne obiecały Ukrainie milion pocisków do marca 2024 r., a jak dotąd dostarczyły tylko 480 tys. pocisków artyleryjskich. Na pierwsze parę miesięcy przyszłego roku Europa jest gotowa dostarczyć jedynie 60 tys. pocisków. Jak wskazuje Garri Kasparow, błyskotliwy rosyjski polityk emigracyjny, kraje NATO produkują drony dla Ukrainy, ale Iran dostarcza Rosji pięć razy więcej dronów.

Dlatego musimy bronić obecności amerykańskiej w Europie nawet ze świadomością, że jeśli wygra Donald Trump, to dalsza polityka Waszyngtonu wobec Ukrainy jest trudna do przewidzenia. Niemieckie deklaracje przywództwa w dziedzinie koordynacji obronnej krajów Europy to na razie efektowna propaganda. Dobrą ilustracją tego, jak bardzo jest to iluzoryczne, świadczą wypowiedzi niemieckiego szefa obrony Borisa Pistoriusa, który deklaruje, że stacjonowanie 5 tys. niemieckich żołnierzy na Litwie trwać będzie przez kolejne cztery lata. Ktoś złośliwie wyliczył, że oznacza to, iż dziennie będzie przewożonych na Litwę tylko po trzech żołnierzy.

Innym przykładem rozziewu pomiędzy szumnymi deklaracjami Niemiec a realiami zdolności Bundeswehry do kooperacji są informacje z Czech. Rząd w Pradze oddał 14 swoich leopardów Ukrainie, mając zapewnienie od Berlina, że w zamian otrzyma dokładnie taką samą liczbę pełnowartościowych leopardów. Czołgi, owszem, trafiły do czeskich garnizonów, ale jedynie w wersji szkoleniowej.

Ciągle zapominamy, że ukraiński duch oporu wobec Rosji może w którymś momencie się załamać. Ciągle zbyt mało doceniamy to, że ukraińskie wojska utrzymują Rosjan ponad tysiąc kilometrów od granicy polsko-ukraińskiej. Całe to zaangażowanie jest o wiele bardziej gorzkie w smaku niż półtora roku temu. Odkryliśmy bardzo wiele pokładów niedojrzałości wśród ukraińskich przywódców, ale wciąż są to dla nas partnerzy o wiele korzystniejsi niż bandyci z Kremla. Nie wiemy, jak silna jest władza Putina. Nie wiemy, czy i kiedy ktoś rosyjskiemu władcy poda herbatkę zaprawioną nowiczokiem. A może nie potrzeba żadnej wyrafinowanej trucizny i prezydenta Rosji zabierze z tego świata zwykła ludzka podatność na choroby. Nie wiemy też, czy ewentualna śmierć gospodarza Kremla spowoduje odprężenie w relacjach ze światem czy też wykreuje jeszcze groźniejszego, bo młodszego, zamordystę. Ale nie wiedząc, jak potoczy się przyszłość na terenie Rosji, wciąż skazani jesteśmy na troskę o los Ukrainy. I w tej mierze nic nie zmieni się przez kolejne 12 miesięcy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c5017bbff7

Zemsta Wschodu

Rafał A. Ziemkiewicz

Do pewnego momentu w krajach biednych istniało przekonanie, że modernizacja i wzbogacenie się mogą następować tylko przez westernizację. Ale to się już skończyło

Czy będzie trzecia wojna światowa? Nie „będzie", ale już jest. To, że nie dostrzegamy związku pomiędzy rozmaitymi działaniami, prowadzonymi w ramach globalnego starcia, jest chwilowe. Zresztą w wypadku wielkich światowych konfliktów trudno wyznaczyć precyzyjnie ich początek nawet historykom. Nie chodzi mi o fałsze polityki historycznej poszczególnych krajów (uczniowie francuscy uczą się ze swych podręczników, że druga wojna światowa zaczęła się w czerwcu 1940 r., amerykańscy, że w grudniu 1941 r., a rosyjscy w ogóle nie uczą się o żadnej wojnie światowej, tylko o „wielkiej wojnie ojczyźnianej" rozpoczętej zdradzieckim atakiem Hitlera w czerwcu 1941 r. na pokojowy i zupełnie nieprzygotowany ZSRS). Chodzi o to, że w łańcuchu wydarzeń narastających do rozmiarów światowego konfliktu trudno wskazać moment, kiedy lokalna wojna przekształca się w światową.

Kiedy, dla przykładu, zaczęła się wielka wojna, zwana dziś pierwszą światową? Wszyscy wskazują jako jej początek zamach w Sarajewie, ale przecież to zdarzyło się pod koniec czerwca 1914 r., a akty wypowiedzenia wojny i działania wojenne to dopiero sierpień. Przez cały ten czas napięcie narastało, na stół padało jedno ultimatum po drugim, a monarchia austro-węgierska, od której wszystko się zaczęło, przystąpiła do wojny ostatnia. A dogrywka tamtej wojny, zwana dziś drugą wojną światową? Twierdzenie, że rozpoczął ją atak Niemiec na Polskę 1 września 1939 r., to swoisty europocentryzm – od kilku miesięcy trwała już wtedy pierwsza bitwa nad Chałchyn-Goł, której skutkiem była później kolejna bitwa w tym samym miejscu, a ta zadecydowała o przetrwaniu w 1941 r. uderzenia niemieckiego przez stalinowską Rosję. Ale jeśli mówimy o konflikcie światowym, to trzeba by zacząć od incydentu na moście Marco Polo, po którym Japonia zaatakowała Chiny – te zostały wsparte przez USA, które m.in. nałożyły na Japonię tak ścisłe embargo surowcowe, że pozostał jej wybór tylko pomiędzy bezwarunkową kapitulacją a rzuceniem się na Amerykę.

CHIŃSKI PLAN?

Co współczesnym mogło się wydawać niepowiązanymi ze sobą konfliktami lokalnymi, okazywało się po czasie realizacją przygotowanego wcześniej planu, obliczonego na zmianę światowej „hierarchii dziobania" między mocarstwami. W roku 1914 realizował taki plan sztab generalny kajzera Niemiec, w późnych latach 30. swoje plany złamania potęgi kolonialnych mocarstw XIX w. i zdobycia dominacji nad światem mieli i Hitler, i Stalin, i – co umyka do dziś uwadze historyków – Roosevelt. Kto ma taki plan dziś? Nikt się nim na pewno nie pochwali. Ale z analizy wydarzeń można wnioskować, że na naszych oczach realizowany jest plan analogicznej zmiany układu sił, a główną siłą sprawczą są tu dążące do pozycji pierwszego mocarstwa światowego Chiny.

Bez ich wsparcia Putin nie mógłby sobie pozwolić na „specjalną operację wojskową" na Ukrainie ani nie byłby w stanie wspierać chińskich interesów w Afryce – gdzie kolejne kraje wychodzą dzięki temu z orbity wpływów państw bloku zachodniego; Rosja zdobywa dzięki temu doraźne fundusze na wojnę, ale nie jest w stanie trwale zagospodarować otwierających się na tym kontynencie możliwości, natomiast Chiny – jak najbardziej.

Nie ma dziś dowodów, że wojna w Izraelu wybuchła z obecną siłą dzięki wsparciu z zagranicy innemu niż dostarczane przez Iran i współwyznawców Hamasu z krajów arabskich, ale bliska współpraca kraju ajatollahów z Rosją i Chinami, a także niezwykły pożytek, którym jest dla tych krajów podzielenie Zachodu konfliktami społecznymi, zainspirowanymi rzezią mieszkańców Gazy, czynią prawdopodobnym, że za jakiś czas takie dowody się pojawią. Kto wie, czy nie okaże się nawet, że Chiny mieszają także w południowej Ameryce, gdzie dążenie Wenezueli do „anszlusu" najbogatszej części terytorium sąsiedniej Gujany doprowadziło już do skraju „pełnoskalowej" wojny i wiele wskazuje na jej wybuch. Nikita Chruszczow, wspierając komunizm na odległej Kubie, mówił ponoć, że zawsze warto „wrzucić Amerykanom jeża w gacie" – nie ulega wątpliwości, że taki „jeż" jak Wenezuela jest dla Pekinu, a zatem i Moskwy, która zapewne zachowała w tym regionie rozległą agenturę wpływu jeszcze

eprasa.pl c5017bbff7

z czasów sowieckich, wart dużych pieniędzy.

ŁĄCZENIE KROPEK

Twierdzę więc, że trzeba zobaczyć to wszystko razem – rosyjskie czołgi na Ukrainie, terror Hamasu i izraelską pacyfikację okupowanych terytoriów, wydarzenia w Afryce i Ameryce Południowej, skuteczne zdławienie przez Iran prozachodniej rewolucji… Więcej, twierdzę też, że trzeba łączyć z toczącą się wojną postępujący rozkład społeczeństw zachodnich, przyśpieszany przez „woke" i BLM, przez intensywnie wspieraną nielegalną imigrację i konflikty z niej wynikające, przez wreszcie znakomicie zorganizowane i suto finansowane mechanizmy obrzydzania Zachodowi wartości, na których oparty był jego sukces, i wychowywania młodego pokolenia w przeświadczeniu, że cała historia Zachodu była pasmem zbrodni i podłości wyrządzanych przez białych, heteroseksualnych bigotów wszelkiego rodzaju mniejszościom.

Znów wspomnieć trzeba o czasach sowieckich i rozbudowanej agenturze wpływu, która podczas zimnej wojny przebiegle i skutecznie zatruwała dusze Zachodu, nasycała je bezwolą i gotowością kapitulacji. Zniknęła bez śladu? Czy może jednak nadal istnieje i mają z nią coś wspólnego sceny takie, jak opisana przez Douglasa Murraya w „Wojnie przeciwko Zachodowi" kuriozalna debata w ONZ, gdzie przedstawiciele zachodnich demokracji, na czele ze świeżo nominowaną przez Baracka Obamę ambasador USA, kajali się za niezmierzone zło wyrządzone przez kraje zachodnie podczas stuleci swego istnienia całemu światu, a przedstawiciele reżimów, również tych najbardziej zbrodniczych, na czele z ambasadorem eksterminującym systematycznie całe narody Chin, czołgali ich, domagając się przeprosin dalej idących i popartych sowitymi odszkodowaniami.

W innej książce, skądinąd słabawej, bo niepotrafiącej „połączyć kropek" – „Demokracji liberalnej w odwrocie" Joshui Kurlantzicka – udokumentowany został rzetelnie proces zanikania w świecie w ostatnich dziesięcioleciach szacunku dla Zachodu i jego rozwiązań. Dokładnie przeciwnie, niż to prorokowali trzy dekady temu futurolodzy i liderzy polityczni

FOT. ADOBESTOCK

Ameryki i Europy, peryferie świata nie otworzyły się na demokrację liberalną i gospodarkę wolnorynkową, ale zaczęły je coraz wyraźniej odrzucać. Do pewnego momentu w krajach biednych istniało przekonanie, że modernizacja i wzbogacenie się mogą następować tylko przez westernizację. Ale to się już skończyło. Ogromne zasoby, oddane przez Zachód Azji i innym regionom w procesie globalizacji, wbrew nadziejom, nie wytworzyły tam „klasy średniej" i nie wymusiły demokratyzacji – odwrotnie – umocniły elity stanowiące społeczną bazę autorytaryzmów. A autorytaryzmy z całą mocą zakwestionowały dogmat, jakoby wzorce Ameryki i Europy były jedynymi i najlepszymi. Zachód, brnący w wielorakie kryzysy, przestał światu imponować, przestał budzić respekt! Te uczucia zostały zastąpione przez gniew i roszczenia odpłaty za stulecia dominacji białego Zachodu i Północy nad Wschodem i Południem oraz bogacenia się ich kosztem. Pochód demokracji na wschód, dla Fukuyamy i wychowanych na nim prezydentów jawiący się jako niesienie uciemiężonym nadziei i odkupienie kolonialnych win, Wschód odebrał jako agresję i plan nowego podboju.

Do wybuchu wojny nie wystarczą najbardziej nawet przebiegłe plany satrapów czy wielkich imperiów. Trzeba jeszcze przenikającego masy poczucia, że my jesteśmy głodni, a oni przejedzeni, my liczni, młodzi, silni i przepełnieni siłą płynącą z poczucia słuszności naszej sprawy, a oni starzy, rozlaźli i niesprawiedliwie uprzywilejowani. Coraz bardziej tak właśnie widziana jest dziś kurcząca się demograficznie biała cywilizacja przez Azję, Afrykę, Indie i Amerykę Południową.

Zastrzelenie przez serbskiego terrorystę powszechnie nielubianego we własnym kraju arcyksięcia uruchomiło polityczne domino, którego skutkiem były rzezie nad Sommą czy Isonzo, a w dalszej perspektywie utrata przez Europę wiodącej roli w świecie. Jakie wydarzenie wskazywać będą przyszli historycy jako początek kolejnej, rozwijającej się na naszych oczach wojny? Moim zdaniem będzie to wspólna deklaracja Xi Jingpinga i Władimira Putina ze stycznia 2022 r., będąca jednoznacznym, nieskrywanym wypowiedzeniem wojny „złotemu miliardowi" ludności świata, żyjącemu w luksusach z wyzysku i krzywdy pozostałych mieszkańców planety, na liderów i obrońców której kreują się autorzy tego manifestu.

Putin może nie rozumiał, jaką naprawdę będzie odgrywać w tym sojuszu rolę, a może, uznając odbudowę imperium rosyjskiego za cel nadrzędny, pogodził się z nią. Osobiście sądzę, że

eprasa.pl c5017bbff7

nie rozumiał – przesłanką istotną jest tu spektakularna klęska zaplanowanego na Ukrainie „blitzkriegu", która dowiodła, że legendarna sprawność rosyjskiego wywiadu należy do przeszłości. Władca Kremla wyraźnie sądził, że państwo, na którego czele stoi, jest znacznie silniejsze niż naprawdę. Miał na stole ofertę przyjęcia roli mocarstwa regionalnego przy Ameryce, co dla nas byłoby skrajnie niebezpieczne (ale w polityce mocarstw „niet sientimentaw" – jak mówił Stalin), natomiast dla Rosji znacznie korzystniejsze niż analogiczny status u boku Chin. Ameryka gotowa by była, przy uszanowaniu pewnych pozorów, przywrócić rosyjską strefę wpływu w Europie Środkowej, zwłaszcza gdyby jej udziałowcem, nawet mniejszościowym, zostały sojusznicze Niemcy.

Chiny natomiast ustawiły Rosję w roli analogicznej do tej, którą Stalin wyznaczył kiedyś Hitlerowi: „lodołamacza". Odwieczna chińska mądrość każe pożar obserwować zza rzeki i skłaniać tygrysy, by walczyły między sobą, niech część zginie, a część osłabnie z ran. Dopiero wtedy przyjdzie właściwy moment, by wkroczyć do akcji. Rosja będzie zużywać swe zasoby i, wraz z innymi skłonionymi do kooperacji z Chinami państwami, rozpraszać zasoby amerykańskie, tak długo, aż stratedzy Pekinu uznają, że upomnienie się o „zbuntowaną prowincję", za którą uważają światowego lidera w produkcji półprzewodników, Tajwan, pójdzie gładko i zwycięsko. Wielu analityków uważa, że już by tam wkroczyły, gdyby nie dwa czynniki: pierwszym jest obawa, że konfliktu nie da się „zlokalizować" – Chiny nie chcą powtórzyć błędu Hitlera, który wkraczając we wrześniu do Polski, był pewien, że Anglia i Francja raz jeszcze stchórzą; myląc się w tym, wylądował w centrum „pełnoskalowej" wojny światowej, zanim się do niej odpowiednio przygotował, z gospodarką pracującą w trybie pokojowym. Podobnie stało się ze współczesnym „lodołamaczem" – Rosja dopiero teraz osiąga właściwy poziom zaopatrzenia i wyszkolenia armii i tylko dzięki temu, że Ameryka zachowuje się opieszale, a Niemcy z Francją wręcz sabotują jej wysiłki, licząc, jak niegdyś Chamberlain z Daladierem, że cele Putina są ograniczone i obiecując sobie z ich realizacji korzyści. O tej strategii za chwilę, wymieńmy jeszcze drugą przyczynę chińskiej powściągliwości: węglowodory, których Państwo Środka pożera ogromne ilości, jak zresztą wszelkich surowców, w ponad połowie sprowadzane są z Zatoki Perskiej, co marynarka wojenna USA jest w stanie uniemożliwić niewielkim nawet wysiłkiem. Alternatywne źródła, np. z Rosji, wymagają budowy nowej infrastruktury, a na to trzeba co najmniej kilku lat.

Po lekturze książki gen. Roberta Spaldinga „Wojna bez zasad" jestem przekonany, że stratedzy chińscy myślą podobnie jak generałowie kajzera przed rokiem 1914: nasz wzrost sił wyhamowuje, przeciwnicy mogą się pozbierać i przyśpieszyć, wtedy relatywnie osłabniemy, więc nie czekajmy z przypieczętowaniem sukcesu gospodarczego politycznym, a ten można osiągnąć tylko tak, jak opisał stary Clausewitz. Im szybciej, tym łatwiej pójdzie.

CO DALEJ?

Mam wrażenie, że świadomość tego jest zupełnie obca Niemcom i więdnącej u ich boku Francji, gdzie ubzdurano sobie – zupełnie, jak u nas za Becka i Śmigłego-Rydza – że państwo europejskie, które stworzą, dzięki wykorzystaniu przez unijne mocarstwa zasobów mniejszych państw, będzie w stanie być równorzędnym partnerem w grze o światowe przywództwo, „równoważąc" wpływy amerykańskie chińsko-rosyjskimi. Cała polityka kanclerza Scholza zmierza ku wystąpieniu w roli „gwaranta pokoju" na Ukrainie, który przyjmie kapitulację Kijowa na warunkach niesprzecznych z rosyjskimi. Ta wizja bardzo podoba się ukraińskim oligarchom, których majątki mogłyby dzięki włączeniu w gospodarczy krwiobieg UE rozkwitnąć – a perspektywicznie oznacza uzależnienie Europy od Chin, analogicznie, tylko odwrotnie, jak to było w traktatach, do przyjęcia których zmusiła podupadłe Chiny Europa w wieku XIX. Dla Polski taki neobismarckowski sojusz Berlina z Moskwą pod egidą Pekinu to zakopanie żywcem w grobie – musimy zrobić wszystko, by przekonać USA, ktokolwiek nimi będzie rządził, że warunkiem ustabilizowania sytuacji w Europie, co jest z kolei warunkiem zachowania zdolności stawienia przez USA czoła Chinom w innych punktach globu, jest silny blok państw środkowej Europy, od Skandynawii do Bałkanów i Turcji, i że każdy inny wariant będzie dla Ameryki bardziej kosztowny i mniej korzystny.

Wiatr został posiany, burza wzbiera szybko. Zmienić tego nie możemy, ale zawsze możemy nie chcieć wiedzieć i dopóki to będzie możliwe, dopóty skupiać uwagę na sprawach mniej stresujących.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c5017bbff7

Lech Mażewski

Wojenne

FOT. ADOBE STOCK

Wobec groźby wybuchu nowej wojny najistotniejsze jest niedopuszczenie do federalizacji Unii Europejskiej, a z pewnością my w takiej strukturze nie powinniśmy uczestniczyć

Pytanie, czy w 2024 r. wybuchnie trzecia wojna światowa jest o tyle źle postawione, że przecież trzecia wojna światowa, zwana zimną wojną, trwała od 1946 r. do upadku ZSRS w 1991 r. i zakończyła się wielkim zwycięstwem Stanów Zjednoczonych. W efekcie tego Waszyngton stał się kimś w rodzaju imperatora mundi, inaczej mówiąc: wystąpił jednobiegunowy moment w dziejach globu, z czym funkcjonujemy do dziś.

I w takiej właśnie sytuacji pojawia się pytanie: Czy wybuchnie kolejna wojna światowa? Tytułowy „rok 2024" będzie traktowany zarówno metaforycznie, jak i dosłownie; zależy to od kontekstu.

WĘDRÓWKI GLOBALNEGO KAPITAŁU

W nowożytnej Europie kapitał stał się niezależny, a później wręcz podporządkował sobie ośrodek polityczny, na terenie którego nastąpiła jego akumulacja. Jest to jeden z efektów zwycięstwa londyńskiej City w starciu z Koroną w trakcie wojny domowej w Anglii w połowie XVII w. Jednak w związku z pojawieniem się większego ośrodka siły następuje od przełomu wieków XIX i XX sukcesywne przenoszenie się kapitału z londyńskiej City na nowojorską Wall Street. Głównie dzięki temu nie doszło do wybuchu wojny światowej o dominację nad światem między Wielką Brytanią a USA.

Gdyby obecnie globalistyczna finansjera szukała dla siebie nowego miejsca, to trafiłaby ona z Wall Street na terytorium Chin, chociażby do Szanghaju, poddanego od końca XIX w. wpływom anglosaskim. W takiej sytuacji nie zastanawialibyśmy się nad tym, czy wybuchnie kolejna wojna światowa, bo centrum świata bezapelacyjnie stałoby się Państwo Środka i nastąpiłoby to bez wystrzału. Tak mogłoby być, wystarczyłyby jedynie utrzymanie władzy nad kontynentalnymi Chinami przez Kuomintang i dalsza ich westernizacja.

Jednak ten sam efekt wystąpiłby, gdyby 4 czerwca 1989 r. władze polityczne ChRL nie stłumiły na placu Niebiańskiego Spokoju ruchu studenckiego o demoliberalnym i proamerykańskim obliczu. Ośrodek siły nad Jangcy nie widzi jednak powodu, dla którego miałby zostać podporządkowany interesom globalnej finansjery, skoro na początku lat 60. XX w. w obronie własnej suwerenności odrzucił dominację ZSRS. Gdyby stało się inaczej, to USA mogłyby wreszcie zająć się swoimi lawinowo narastającymi problemami wewnętrznymi. Ale ta odmowa podporządkowania się władzy politycznej w Pekinie nie tyle USA, ile panowaniu globalnego kapitału jest potencjalnym zarzewiem kolejnej wojny światowej.

JEDNOBIEGUNOWY MOMENT

Hegemonia USA nad światem od dłuższego czasu się chwieje. Było to widoczne już od kryzysu finansowego w 2008 r., który dotyczył głównie Zachodu, a nie

eprasa.pl c5017bbff7

scenariusze dla Polski

reszty globu. Niespotykany w czasach nowożytnych wzrost potęgi Chin wysuwa je na czoło kontestatorów amerykańskiej dominacji. Oznacza to nieuchronny zmierzch dotychczasowej pozycji Waszyngtonu. Pytanie, czy nastąpi to w drodze pokojowej, a może konieczny będzie wybuch wojny światowej, która zdruzgocze Stany Zjednoczone, kończąc jednobiegunowy moment. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, ponieważ właśnie w taki sposób zwalnia się miejsce dla nowego władcy świata.

Pierwsza wojna światowa wybuchła jako konflikt o panowanie nad światem między Wielką Brytanią, dotychczasowym hegemonem, i jej sojusznikami (Francją i Rosją) a Niemcami, pretendentem do tej pozycji. Kiedy już wydawało się, że Berlin odniesie sukces, interwencja Stanów Zjednoczonych w 1917 r. przechyliła szalę zwycięstwa na rzecz Londynu i Paryża. W drugiej wojnie światowej jest oczywiste, że Niemcy walczą o panowanie nad światem nie tyle z Wielką Brytanią czy ze Związkiem Sowieckim, ile z USA. Wojna zakończyła się zdruzgotaniem Niemiec, zmierzchem imperium brytyjskiego i powstaniem systemu bipolarnego: Waszyngton-Moskwa. Stany Zjednoczone zajmują pozycję hegemona Zachodu, ale nie globu, bo są ograniczone potęgą ZSRS.

Od 1991 r. dla świata nastaje moment jednobiegunowy z USA jako bezapelacyjnym hegemonem. Przejście od systemu bipolarnego do momentu jednobiegunowego wynikało ze społeczno-gospodarczego krachu realnego socjalizmu i towarzyszącej temu degrengolady sowieckiej elity. Do czasu pojawienia się prezydenta Władimira Putina mogło się wydawać, że rosyjski ośrodek siły przestanie w ogóle istnieć, poddany wielorakim wpływom

eprasa.pl c5017bbff7

Waszyngtonu. Stałoby się to bez jednego wystrzału.

W 2024 r. grozi nam jednak wybuch kolejnej wojny światowej, która może nastąpić po wyborach prezydenckich na Tajwanie na początku nowego roku. Jeśli zwyciężą siły, które zechcą ogłosić niepodległość, reakcja Pekinu będzie oczywista, bo traktują one wyspę jako odłączone od macierzy terytorium. I wcale nie chodziłoby o inwazję lądową, a o blokadę morską, co dawałoby ten sam efekt. W 1962 r., w trakcie de facto blokady morskiej Kuby przez USA, o mało nie doszło do wymiany uderzeń atomowych między Moskwą a Waszyngtonem.

O wybuchu wojny na skalę globalną zadecydowałoby zatem stanowisko Stanów Zjednoczonych. Gdyby chciały one bronić swojej dotychczasowej pozycji w świecie, której częścią jest kontrola nad Tajpej, bo ona zapewnia niedopuszczenie do wyjścia floty chińskiej na Pacyfik, to musi nastąpić poskromienie niepodległościowych ambicji Tajwanu przez USA, inaczej wojna będzie nieuchronna. Co więcej, nie ma żadnej pewności, że Amerykanie ją wygrają.

Wybuchowi walk wokół Tajwanu mogłoby towarzyszyć odmrożenie konfliktu na Półwyspie Koreańskim. Pamiętajmy, że państwo północnokoreańskie posiada broń atomową. Może wystarczyłaby sama groźba jej użycia, żeby Republika Koreańska przyjęła warunki kolejnego przedstawiciela dynastii Kimów; bez usunięcia wojsk amerykańskich tam stacjonujących by się nie obeszło.

Podobnie dramatycznie sytuacja mogłaby wyglądać na Bliskim i Środkowym Wschodzie. Oficjalnie ani Izrael, ani Iran nie posiadają broni jądrowej, ale szybko wyszłoby na jaw, że jest inaczej, skoro doszłoby między nimi do wymiany uderzeń atomowych. Taki przebieg zdarzeń w obu tych zakątkach Eurazji z pewnością stanowiłby o tym, że mielibyśmy do czynienia z rozlewaniem się wojny światowej.

Bardzo ciekawie wyglądałoby położenie Rosji. Gdyby USA przystąpiły do działań zbrojnych przeciwko Chinom, to warunkiem ich powodzenia byłoby ustanowienie blokady morskiej, tak jak zrobiono to wobec Japonii w 1941 r. Skuteczność tej blokady zależałaby od stanowiska Moskwy, która mogłaby nie pozwolić na zaduszenie Pekinu przez Waszyngton, dostarczając Państwu Środka wszystkie potrzebne mu surowce. W takiej sytuacji kolejnym frontem nowej wojny światowej stałyby się dalsze zmagania na wschodzie Europy, przy czym żeby wzmocnić Ukrainę w wojnie z Rosją, Stany Zjednoczone starałaby się wepchnąć do niej dodatkowo Polskę i Rumunię.

Wojna światowa może wybuchnąć po wyborach prezydenckich na Tajwanie na początku 2024 r.

Przebieg wydarzeń w naszym regionie mógłby być jednak inny. USA za cenę zachowania przez Rosję przychylnej dla siebie neutralności wobec wydarzeń na Dalekim Wschodzie, czyli sprawienie, że blokada morska byłaby skuteczna, musiałyby co najmniej wyrazić zgodę na warunki Moskwy przedstawione 17 grudnia 2021 r. Próba narzucenia siłą rosyjskich propozycji co do zakazu przystąpienia Ukrainy do NATO, wycofania obcych instalacji wojskowych z terenów państw przyjętych do Paktu po upadku ZSRS oraz zawarcie nowego układu o architekturze bezpieczeństwa w Europie zakończyła się wtedy niepowodzeniem, ale w realiach kolejnej wojny światowej zapewne by się to zmieniło.

Zarysowany scenariusz nie jest tak zupełnie nierealny, ale niekoniecznie musi się spełnić w 2024 r. Jeśli USA będą chciały bronić swojej unipolarnej pozycji, to starcie zbrojne jest nieuchronne, a jego wynik niewiadomy. Stany Zjednoczone nie znają wojny na swoim terytorium, bo spalenie Białego Domu przez Brytyjczyków w 1812 r. to jedynie nic nieznaczący epizod, ale teraz bomby i rakiety mogą spadać na miasta amerykańskie. A to powinno zmieniać nastawienie Waszyngtonu na mniej wojownicze. Ale czy tak się stanie?

SYSTEM RÓWNOWAGI W EURAZJI

Gdyby wśród elit amerykańskich wzięło górę stanowisko, godzące się na rezygnację z dotychczasowego sposobu realizacji roli imperatora mundi na rzecz poszukiwania miejsca w świecie wielobiegunowym, nie byłoby powodów, żeby doszło do wojny w skali globalnej. Stany Zjednoczone nadal miałyby wiele do powiedzenia na temat losów świata, choć nie musiałby to już być głos zawsze rozstrzygający. Doskonale wiemy, jak trudno pogodzić się z utratą tak wyjątkowej pozycji, ale przecież chodziłoby tu o własny interes USA, a nie jakiś wyimaginowany los ludzkości. Jakie miejsce zajmowałyby Stany Zjednoczone w systemie międzynarodowym, gdyby zrezygnowały z siłowej obrony jednobiegunowego momentu? Czy skazane byłyby na marginalizację? Czy pozostałaby im jedynie dominacja nad zachodnią półkulą, choć i tu Chiny uzyskują coraz większe znaczenie? Wszystko zależałoby od tego, jak wyglądałaby sytuacja geopolityczna w Eurazji.

Gdy USA nie zdecydują się na siłową obronę swojej dotychczasowej przewagi i opuszczą Eurazję, to wkrótce powstanie tam świat wielobiegunowy, bo wcale ta wielka masa lądowa nie musi popaść pod dominację Chin. Przecież już Państwo Środka otoczone jest wianuszkiem ważnych państw, czujących zagrożenie z ich strony. Patrząc od północy, byłaby to Japonia, dalej być może zjednoczona Korea, która nie musiałaby ulegać Pekinowi nawet pod rządami kolejnego przedstawiciela dynastii Kimów, Australia, Wietnam, no i przede wszystkim kolosalne Indie, cechujące się olbrzymią dynamiką demograficzną, ale nie wolno też zapominać o Rosji, która nie miałaby żadnego powodu, aby być nadal rodzajem junior partnera Pekinu; być może po jakimś czasie do grona tych państw dołączyłyby Filipiny, a przede wszystkim Indonezja. Supremacja Chin w przyszłości nie musi być zatem wcale tak oczywista, a ponadto będą ją osłabiać narastające problemy ludnościowe, których źródłem jest obowiązująca do niedawna polityka jednego dziecka.

Podobne zależności współpracy i konkurencji w ramach regionalnych ośrodków siły mogłyby się kształtować także w innych zakątkach Eurazji, np. w Centralnej Azji, na Bliskim i Środkowym Wschodzie czy w Europie Wschodniej i Środkowej. Wokół dominujących tam państw tworzyłyby się strefy wpływów im przyporządkowane. To wynika z hierarchicznej natury ładu międzynarodowego, aczkolwiek wraz ze wzrostem znaczenia jakiegoś państwa może ono awansować na wyższą pozycję w tej hie-

eprasa.pl c5017bbff7

rarchii. W jakimś stopniu ograniczałoby to anarchiczny charakter ładu międzynarodowego. Inaczej mogłoby być jedynie w przypadku powstania państwa światowego, a tego właśnie chcemy uniknąć, ktokolwiek miałby stanąć na szczycie w roli nowego imperatora mundi.

Z punktu widzenia Stanów Zjednoczonych istnienie regionalnych mocarstw mogłoby być korzystne, skoro dzięki temu w Eurazji nie doszłoby do pojawienia się nowego hegemona. Taki byłby skutek geopolitycznego pluralizmu. Liczne wojny stałyby się codziennością Eurazji, bo prawo międzynarodowe byłoby zbyt słabe, żeby mogło je powstrzymać. Konflikty te jednak byłyby pozbawione tendencji do przerodzenia się w jeden konflikt, w kolejną wojnę światową.

W ramach nowego porządku międzynarodowego istniałoby kilka kręgów państw współpracujących i konkurujących jednocześnie ze sobą. Waszyngton wspomagałby jednych przeciwko drugim, żeby utrzymać równowagę w ramach świata wielobiegunowego, właściwie nie angażując się w toczone tam konflikty. Taką właśnie politykę wobec kontynentu europejskiego uprawiali Brytyjczycy od początku XVIII w. do połowy XX w.

Ta mocno spluralizowana rzeczywistość geopolityczna Eurazji tylko w jednym momencie mogłaby wymusić większą aktywność militarną ze strony Stanów Zjednoczonych. Na horyzoncie musiałby pojawić się nowy hegemon w sposób realny pretendujący do pozycji imperatora mundi. Wtedy zapewne USA podjęłyby politykę wzorowaną na tej z okresu pierwszej wojny światowej. Do czasu dawały się wykrwawiać i marnować zasoby walczącym ze sobą państwom europejskim, aby wreszcie, gdy było widać, że jedno z nich zdobędzie dominację nad pozostałymi – interweniować. Po utrąceniu pretensji hegemonicznych ze strony Niemiec, kiedy wiadomo było, że nie podporządkują one sobie innych państw, wojska amerykańskie opuściły Europę. Wtedy jednak Waszyngton nie doprowadził do powstania kontynentalnej równowagi, co było błędem. Załóżmy, że teraz tak by nie było. W realiach Eurazji opartej na istnieniu wielobiegunowego świata po przywróceniu regionalnej równowagi armia USA wracałaby do siebie.

Nie da się przesądzić, jaki sposób myślenia o ładzie międzynarodowym weźmie górę wśród elit amerykańskich. Obrona za wszelką cenę jednobiegunowego momentu oznacza kolejną wojnę światową, pogodzenie się z istnieniem świata wielobiegunowego w Eurazji wcale nie prowadzi do marginalizacji roli Waszyngtonu, a może oznaczać jedynie, że stanowisko USA nie musi być zawsze rozstrzygające. Jak wiadomo, każde z mocarstw ma moment swoich narodzin, rozkwitu, a wreszcie upadku. Nie ominie to też Stanów Zjednoczonych, ale ten upadek nie nastąpi już dziś, chyba że wywołają wojnę światową, która je zmiecie, a przy okazji może pogrążyć resztę ludzkości w kompletnych ciemnościach.

SYTUACJA POLSKI

Wspominałem już, jak wyglądałaby sytuacja Polski w chwili wybuchu kolejnej wojny światowej. Gdyby Rosja nie odstąpiła od swoich dotychczasowych związków z Chinami, to zapewne doszłoby do wepchnięcia nas przez USA do wojny nad Dnieprem. Efekt nie byłby trudny do przewidzenia: w krótkim czasie w Dzikie Pola mogłaby zostać zamieniona Polska, a nie tylko Ukraina.

Dla Polski najważniejsze jest utrzymać zbiorową tożsamość zarówno religijną, jak i kulturową

Trudno sądzić, żeby było inaczej, skoro jesteśmy właściwie krajem rozbrojonym, a po możliwym wybuchu konfliktu na Półwyspie Koreańskim nie powinniśmy liczyć na sprzęt z Republiki Korei. To samo zresztą odnosiłoby się do dostaw z USA, skoro prowadziłyby one wielkoskalową wojnę. Inaczej sytuacja wyglądałaby po odmowie przez Rosję dostaw potrzebnych Chinom surowców. Wtedy znaleźlibyśmy się w strefie wpływów Moskwy, ze znacznymi ograniczeniami w zakresie polityki zagranicznej i obronnej, będąc zmuszeni do czerpania stamtąd surowców, ale bez narzucania nam modelu społeczno-gospodarczego, a tym bardziej próby dominacji kulturowej czy religijnej.

A co by się stało, gdyby USA zrezygnowały z jednobiegunowego momentu w swoich dziejach i kolejna wojna światowa by nie wybuchła? W naszej części Europy musiałaby się wytworzyć nowa równowaga sił. Zapewne Stany Zjednoczone nie przestałyby podtrzymywać Ukrainy w imię balansowania Rosji. Warszawa miałaby się nie tylko intensywnie zbroić, ponieważ nowe okoliczności geopolityczne zdecydowałyby o szansie uprawiania przez nas własnej Ostpolitik. Powinna polegać ona przede wszystkim na wspieraniu możliwie dużego zakresu niezależności Białorusi od Rosji. Czy nam się to podoba czy nie, ta nowa regionalna równowaga nie powstałaby przy negliżowaniu interesów Moskwy. Polska polityka musiałaby uwzględniać realny układ sił, a nie opierać się na patriotycznych frazesach, jagiellońskich złudzeniach, moralistycznym oburzaniu się czy demoliberalnym doktrynerstwie.

Wobec groźby wybuchu nowej wojny światowej najistotniejsze jest, abyśmy nadal posiadali własne państwo, choćby o ograniczonej suwerenności. To podstawowy instrument uprawiania polityki międzynarodowej, bez tego skazani jesteśmy na realizację obcych interesów. Dlatego tak ważne jest niedopuszczenie do federalizacji Unii Europejskiej, a z pewnością my w takiej strukturze nie powinniśmy uczestniczyć.

W trakcie obchodów Millennium Chrztu Polski na początku 1967 r. prymas kard. Stefan Wyszyński sformułował memoriał skierowany do władz, w którym pisał, że Polska nie jest ani ze Wschodu, ani z Zachodu, ale z Południa. Bo do Wschodu lub Zachodu Polska w sensie geopolitycznym lub gospodarczym kiedyś należała, należy lub będzie należeć, ale to nie jest sprawa, która by ostatecznie rozstrzygała o naszym losie.

Najważniejsze jest, aby utrzymać zbiorową tożsamość zarówno religijną w sensie obecności rzymskiego katolicyzmu w przestrzeni publicznej, jak i kulturową w znaczeniu dominacji łacińskiego wzorca, a one obie wywodzą się z Południa. Bez tego Polski nie będzie, zamienimy się w jakąś bezkształtną breję. Nie zapominajmy: jesteśmy Rzymianami w tej części Europy albo nas nie ma.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest ustrojoznawcą.

eprasa.pl c5017bbff7

Z dr Magdaleną Ziętek-Wielomską, filozofką zajmującą się cybernetyką i sterowaniem społecznym
rozmawia Ryszard Gromadzki

Cień IV Rzeszy

eprasa.pl c5017bbff7

FOT. ADOBE STOCK

RYSZARD GROMADZKI: Rok 2024 przyniesie zakończenie, a przynajmniej zamrożenie wojny na Ukrainie? Czy USA mogą zastosować wobec Ukrainy „wariant afgański", to znaczy wobec nadchodzących wyborów prezydenckich, rosnącego sprzeciwu społecznego i problemów z dalszym finansowaniem Ukrainy nagle wycofać się z jej wspierania, pozostawiając Ukrainę na łasce Rosji? Co dla Polski oznaczać może przywrócenie „ruskiego miru" na Ukrainie?

DR MAGDALENA ZIĘTEK-WIELOMSKA: Patrzę na to inaczej, dlatego że inaczej widzę cele polityki rosyjskiej. Uważam, że Rosja zorientowała się na Wschód. Rosja przez 300 ostatnich lat ciągle się wahała, na jaki kierunek postawić – Zachód czy Wschód. Moim zdaniem ta decyzja została jednoznacznie podjęta, Rosja koncentruje się na Wschodzie. Stąd strategiczny sojusz z Chinami i państwami grupy BRICS z Azji, Afryki i Ameryki Południowej. Jeśli chodzi o Europę, to Rosji zależy na zabezpieczeniu tyłów, „bezpiecznych plecach". Dlatego zdecydowała się na pełnoskalową agresję na Ukrainę, żeby nie dopuścić do sytuacji, w której na Ukrainie zainstalowane zostałyby amerykańskie rakiety w odległości zaledwie 300 km od Moskwy. Patrząc z tej perspektywy na cały ten konflikt, widać, że głównym celem Rosji jest niedopuszczenie do tego, żeby Ukraina weszła do NATO. Po prawie dwóch latach wojny jasne jest, że Zachód nie docenił Rosji, licząc na to, że kolejne pakiety sankcji szybko ją złamią. Przywódcy zachodni zlekceważyli to, że Rosja jest w strategicznym sojuszu z Chinami i państwami BRICS, które udzieliły jej szerokiego wsparcia. Nieprawdą jest, że cały świat potępił Rosję za napaść na Ukrainę, bo większość krajów tego nie zrobiła. Zachód jest zmęczony tą wojną. Stany Zjednoczone mają coraz większy problem, żeby ją finansować dalej, szczególnie że pojawiła się kwestia Izraela i wojny w Strefie Gazy. A docelowo kluczową sprawą jest Tajwan. W mojej ocenie Zachód jest w stanie zaakceptować taki scenariusz, w którym Ukraina zostanie terytorialnie podzielona. Ta jej część, którą Moskwa jest strategicznie zainteresowana, zostanie w sposób trwały przejęta przez Rosję, natomiast reszta być może nawet zostanie włączona do Unii Europejskiej.

> **To Niemcy dążyli do opanowania Rosji. Wystarczy spojrzeć w historię. Caryca Katarzyna II była rodowitą Niemką**

Jako protektorat Niemiec?

Tak, jako protektorat, przede wszystkim Niemiec. Widać wyraźnie, że Niemcy są na Ukrainie bardzo mocno aktywni.

Czy scenariusz, o którym pani mówi, wiąże się z nowym resetem pomiędzy Niemcami a Rosją? Czy Moskwa jest gotowa pogodzić się z definitywną utratą części Ukrainy z Kijowem? Przecież to matecznik Rusi.

Jeśli chodzi o stosunki niemiecko-rosyjskie, to moim zdaniem w Polsce panuje, niestety, daleko idące niezrozumienie charakteru tych relacji. Mamy przed oczami obraz, który skądinąd celowo się podtrzymuje, żebyśmy tkwili w przekonaniu, że Niemcy i Rosja zawsze tworzą ścisły sojusz wymierzony w Polskę. Tak nie jest. Stosunki między Niemcami a Rosją były zawsze asymetryczne. To Niemcy dążyli do opanowania Rosji. Wystarczy spojrzeć w historię. Caryca Katarzyna II była rodowitą Niemką. Wpływy niemieckiej arystokracji czy wyższej sfery urzędniczej zawsze były w carskiej Rosji bardzo duże. Sojusze między Niemcami a Rosją zazwyczaj miały dla Niemiec charakter taktyczny. Chodziło przede wszystkim o zyskanie na czasie, żeby móc realizować swoje długoterminowe cele.

Cele, które zawierają się w pojęciach „Drang nach Osten" czy „Lebensraum", czyli „parcia na Wschód" i „przestrzeni życiowej"?

Te cele zostały w sposób ostateczny zdefiniowane w czasach III Rzeszy. Wcześniej chodziło raczej o wasalizację Rosji, o niedopuszczenie do tego, żeby mogła się rozwinąć. Niemcy widziały w Rosji zawsze zaplecze surowcowe i żywnościowe dla swojego przemysłu i państwa.

Gdyby podział Ukrainy, dokonany pod auspicjami Moskwy, Waszyngtonu i Berlina, stał się faktem, co oznaczałoby to dla Polski?

To układ, który w dużej mierze może zostać wymuszony przez politykę

eprasa.pl c5017bbff7

niemiecką, bo obecnie Niemcy i Rosja nie są w tej samej drużynie. To błędne spojrzenie na rzeczywisty charakter ich relacji. Rosja odwróciła się do Zachodu plecami, a to z kolei najgorszy możliwy scenariusz dla Niemiec.

Dlatego Niemcy są zainteresowane maksymalnym osłabianiem Rosji, bo doskonale wiedzą, że Rosja w sojuszu z Chinami stanowi dla niemieckiej gospodarki śmiertelne zagrożenie. Nie można wykluczyć, że w perspektywie średnioterminowej sojusz chińsko-rosyjski jest w stanie przełamać czy wręcz zniszczyć hegemonię gospodarczą Niemiec. Co jest najlepszą wiadomością z możliwych dla Polski, dlatego że my, Polacy, nigdy sobie z Niemcami nie poradziliśmy, żeby przełamać ich dominację. „Drang nach Osten", idea Mitteleuropy, to nadal rzeczywistość niemieckiej polityki. Niemcy traktują Europę Środkową jako swoje terytorium. Ich strategicznym celem jest odzyskanie kontroli nad obwodem Kaliningradu, czyli matecznikiem Prus, państwami nadbałtyckimi, Białorusią i Ukrainą. To jest perspektywa terytorialna, która ich interesuje.

Niemcy są zainteresowane maksymalnym osłabianiem Rosji, bo doskonale wiedzą, że Rosja w sojuszu z Chinami stanowi dla niemieckiej gospodarki śmiertelne zagrożenie

A ewentualna rewindykacja polskich ziem zachodnich i północnych?

Uważam, że formułą obowiązującą od dawna w niemieckiej polityce jest to, że granica nie musi być formalnie przesuwana. Wystarczy, że stworzy się pewien ponadnarodowy układ, który zapewni Niemcom faktyczną kontrolę nad terytoriami, które chcą sobie podporządkować.

Proces związany ze zmianą unijnych traktatów, którego celem jest ograniczenie suwerenności państw narodowych w Unii, który w ostatnich miesiącach nabrał gwałtownego przyspieszenia, doskonale wpisuje się w ten plan.

Dokładnie tak jest. Nie będzie wtedy potrzeby, żeby fizycznie przesuwać granicę polsko-niemiecką. Niemcy nie chcą ruszać tej granicy, bo wiedzą, że wiązałoby się to z poważnymi problemami. Ale jeśli całą Polskę podporządkuje się federalnej strukturze Unii Europejskiej czy tego, co ja nazywam IV Rzeszą, zaznaczając, że w istocie to bardziej II niż III Rzesza, to nie ma fizycznej potrzeby przesuwania granicy.

Mówi pani raczej II Rzesza, bo to formuła polityczna, bez – nazwę to – „pierwiastka ludobójczego"?

Bez ideologii rasistowskiej, szowinistycznej prowadzącej do czystek etnicznych.

Czyli imperializm w wersji soft?

Przede wszystkim podporządkowanie interesom wielkiego kapitału. II Rzesza była tworem politycznym zdominowanym przez interesy wielkiego kapitału, także przez pruską arystokrację, która miała swoje żywotne interesy na Wschodzie.

Czy Niemcy mają rzeczywisty potencjał, żeby odgrywać rolę europejskiego hegemona? Wydaje się, że ich reputacja mocno ucierpiała w rezultacie błędnej polityki obranej wobec Rosji czy też forsowania kontrowersyjnego modelu tzw. transformacji energetycznej.

W Polsce pokutuje pogląd, że Niemcy pomylili się co do Rosji. Absolutnie się nie pomylili. Niemcy bardzo mocno zaangażowali się w wywołanie wojny na Ukrainie. Oni wepchnęli Rosję do tej wojny. To bez wątpienia wielki sukces niemieckiej polityki, że do tej wojny doszło. Niemcy potrzebowali tej wojny jako alibi do tego, żeby przejąć kontrolę nad całym regionem. Niemcy wykorzystują Rosję do swoich własnych celów. Nie jestem wielbicielką Rosji, podobnie jak innych imperialnych tworów, ale chodzi o to, żeby mieć świadomość prawdziwych celów poszczególnych państw. Niemcy grają Rosją. Grali wcześniej i grają teraz. Dziś Niemcy i Rosjanie są po różnych stronach barykady, ale to Niemcy chcieli tej barykady. Bez pretekstu w postaci wojny na Ukrainie nie mogliby przeprowadzić kolejnego kroku na drodze do federalizacji Europy. Celowo pokazuję analogię do II Rzeszy, do zjednoczenia Niemiec w latach 1870 i 1871. Niemcy jednoczą dziś Europę w dużej mierze w oparciu o ten sam wzorzec, według którego się wówczas zjednoczyły. Wtedy Niemcy potrzebowały wojny z Francją. Bismarck potrzebował tej wojny i skutecznie do niej Francję sprowokował, i to w sposób, który sprawiał, że to Niemcy byli ofiarami, bo to Francja pierwsza wypowiedziała wojnę. Moim zdaniem ten schemat teraz się powtarza. Rosja nie wycofała się z tego układu, a powinna to zrobić już dawno. Niemcy dla realizacji strategicznych celów swojej polityki, czyli federalizacji Unii Europejskiej, z premedytacją poświęcili Nord Stream. Podporządkowane sobie Europy to ich absolutna obsesja, fiksacja. To tysiącletni proces. Odkąd powstała I Rzesza Niemiecka, Niemcy mają wpisany w swoją politykę algorytm, zgodnie z którym muszą jednoczyć Europę. Prawdopodobnie bierze się to z tego, że ze względu na położenie geograficzne w środku kontynentu, czują się wiecznie osaczeni, zagrożeni przez wszystkich. Dlatego obsesyjnie dążą do zjednoczenia Europy i podporządkowania sobie innych państw, bo dopiero wtedy będą w swoim poczuciu bezpieczni. Tak to sobie tłumaczę.

To odwieczne dążenie Niemiec do podporządkowania sobie Europy jest więc głęboko zakorzenione w psychologii tego narodu...

Absolutnie tak. To rodzaj manii prześladowczej. Ta wieczna obawa przed atakiem z zewnątrz powoduje, że w końcu sami zaczynają atakować wszystkich dookoła. Ostatecznie spotyka ich to, co sobie wyobrazili, ale nie dlatego, że padli ofiarą napaści, tylko że inni zaczęli bronić się przed ich napaścią. Tak było po wojnie trzydziestoletniej czy po wojnach światowych pierwszej i drugiej.

Ten schemat może powtórzyć się po raz kolejny?

Tak. W mojej ocenie to się już dzieje. Wszystkie te wzorce zostały znów „odpalone". Oni już według tych wzorców funkcjonują. Zaczęła się militaryzacja niemieckiego społeczeństwa. Nawet prominentni politycy z lewicy, z SPD, Joschka Fisher z Zielonych o tym mówią.

eprasa.pl c5017bbff7

Joschka Fisher, emblematyczna postać niemieckiego pokolenia '68. Pacyfista i uliczny zadymiarz w młodości...

Tak. Oni zaczynają mówić wprost, że jeśli sytuacja tego wymaga, to trzeba odbyć obowiązkową służbę wojskową, a nie poprzestać na służbie zastępczej, bardzo popularnej w Niemczech, szczególnie wśród studentów i osób lepiej wykształconych. Niemieckie społeczeństwo, nastawione dość pacyfistycznie, znów poddawane jest reedukacji, ale w przeciwnym kierunku. Wracając do pańskiego wcześniejszego pytania, problem Niemiec polega na tym, że oni nie są w stanie zrealizować takiego projektu, jakim jest podporządkowanie sobie Europy, tak jak nigdy nie byli w stanie tego dokonać. Nie mają takiego potencjału, żeby rzucić sobie całą Europę do stóp.

Z punktu widzenia realizacji niemieckiego planu zjednoczenia Europy przejęcie władzy w Polsce przez koalicję Tuska wydaje się wydarzeniem bardzo pożądanym...

Nie patrzę na to w ten sposób. Obraz Tuska jako spolegliwego kanału niemieckiego w dużym stopniu został wyprodukowany przez PiS. Obie główne partie w Polsce rządzone są dokładnie tą samą ręką. To konglomerat, który nazywam „Trójkątem Bermudzkim", rządzący Zachodem po drugiej wojnie światowej.

Motorem rozbiorów Rzeczypospolitej były przede wszystkim Prusy, nie Rosja

Ten układ opiera się na trzech filarach. Tworzą je Stany Zjednoczone, Niemcy i państwo Izrael. To jest fundament światowego porządku. Te trzy ośrodki są ze sobą bardzo mocno powiązane. Ich interesy wzajemnie się przenikają. To układ wzajemnych korzyści, wzajemnego warunkowania. Zarówno pewnej symbiozy, jak i ścierania się. Co do polskich realiów – czy to będzie PiS, czy to będzie PO, to naprawdę jest wszystko jedno. Rodzaj „Muppet Show", który pokazuje się ludziom. Profesjonalnie zajmuję się cybernetyką, czyli procesem sterowania społecznego. Z tej perspektywy widać tutaj profesjonalną rękę. Sejm będzie teraz używany do tego, żeby podgrzewać sytuację w kraju, generować sztuczne emocje. Dlatego jeszcze nieraz usłyszymy, że Tusk to niemiecki agent, który sprzedaje polską niepodległość. Jednak kiedy spojrzymy na minione osiem lat, to zobaczymy, że PiS realizował konsekwentnie ten sam plan, napisany gdzie indziej.

Czy wobec tego Polska jest jeszcze państwem suwerennym czy mamimy się tylko iluzją niepodległości?

Na płaszczyźnie formalnej pewne atrybuty suwerenności jeszcze pozostały. Stąd walka, która dotyczy zniwelowania różnic pomiędzy stanem obecnym a stanem federalizacji europejskiej. Jeśli ten model zostanie przyjęty, to wszystkie decyzje będą podejmowane na zewnątrz i wdrażane tutaj. Z faktycznego, cybernetycznego punktu widzenia Realpolitik nie mamy żadnej suwerenności. Jest całkowita spolegliwość. Jesteśmy czymś w rodzaju Generalnej Guberni. Nie mamy własnych władz, tylko rodzaj zarządu.

Czy ten stan jest odwracalny?

Dopóki żyjemy, dopóty jest to stan odwracalny. Nawet mocno zainfekowany organizm można uratować. Warunkiem jest postawienie właściwej diagnozy. Ustalenie przyczyny. Stan, w którym znajduje się dziś Polska, wynika z dwóch przyczyn: zewnętrznej i wewnętrznej. Przyczyna zewnętrzna jest pochodną tego, że w układzie świata, w którym reguły gry określają ośrodki stanowiące ów „Trójkąt Bermudzki", nie mogło być inaczej. Dysproporcja zasobów i środków jest zbyt rażąca. Chodzi o koncentrację władzy, mediów, pieniądza, potencjału gospodarczego. Zdolność realizowania procesów psychomanipulacji na masową skalę. To trzeba wiedzieć i badać dlatego, że można na tej podstawie wiele się nauczyć. To niezwykle ważna lekcja tego, czym są rządzenie i władza. To nie kwestia konstytucji i symboli narodowych, tylko tego, kto tymi symbolami zarządza. Kto zarządza instytucjami. To lekcja, którą mamy do odrobienia, która jest absolutnie niezbędna do tego, żeby odzyskać suwerenność.

Ale to wymaga również świadomych elit, które byłyby gotowe taką lekcję odrobić. Odczuwamy w Polsce ich dotkliwy deficyt.

To właśnie przyczyna wewnętrzna. Trzeba pamiętać, że nasze elity były w przeszłości poddawane eksterminacji. Nie ma żadnych wątpliwości, że to działanie było bardzo konsekwentne i celowe. Ponadto mamy do czynienia z przyczynami, które leżą po naszej stronie i związane są z pewnym sposobem myślenia o świecie. Niezrozumieniem tego, jak działa władza i polityka. W dzisiejszym świecie sprawcze państwo powinno być aktywne. Musi definiować swoje cele, dysponować przemyślaną strategią. Mieć informację, jak działają inni, jakie mają cele. Nie mamy w tym obszarze możliwości sięgnięcia do własnej tradycji, bo niestety nasi przodkowie tej lekcji nie odrobili. Jeśli popatrzymy, w jaki sposób doszło do upadku Rzeczpospolitej, to zobaczymy, że przyczyną było przekonanie, iż można żyć bez rządzenia. Państwo polskie jest takie wielkie, tak bogate, tak potężne, że niemożliwe jest, żeby się rozpadło. Ono miało trwać wiecznie, samą mocą swojej wielkości.

„Złota wolność" doprowadziła nas do zguby...

Dokładnie tak. Jak się okazało, motorem rozbiorów Rzeczypospolitej były przede wszystkim Prusy, nie Rosja. Państwo rządzone przez elektorów miało żywotny interes w tym, żeby się powiększyć. Połączyć Brandenburgię z Prusami, wchłaniając polskie ziemie leżące pomiędzy rozdzielonymi terytoriami Hohenzollernów. Okazało się, że maleńkie, ale bardzo dobrze zorganizowane państwo jest w stanie zniszczyć olbrzymie państwo, które nie miało sprawnej władzy. Trwało w stanie anarchii. To jest lekcja, którą mamy do odrobienia. Coś, czego historia chce nas nauczyć. Jeśli tej lekcji nie odrobimy, to sytuacja będzie się powtarzać i może się okazać, że jesteśmy procesem bez przyszłości. Każdy system zmuszony jest do nauki; jeśli się nie uczy, to najzwyczajniej wypada z gry. Polityka wymaga przede wszystkim myślenia, myślenia i jeszcze raz myślenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

dr Magdalena Ziętek-Wielomska *– filozof zajmująca się cybernetyką i sterowaniem społecznym, redaktor naczelna miesięcznika internetowego „Nowoczesna Myśl Narodowa", prezes fundacji Instytut Badawczy Pro Vita Bona.*

eprasa.pl c5017bbff7

Nie polexit, a rozpad UE?

Przed referendum brexitowym stosunek Donalda Tuska (na zdjęciu z prawej), wówczas przewodniczącego Rady Europejskiej, do przedstawianych przez Londyn postulatów był chłodny, a wobec brytyjskiego premiera Davida Camerona (na zdjęciu z lewej) Tusk zachowywał się nawet protekcjonalnie FOT. OLIVIER HOSLET/POOL/AFP/EAST NEWS

Łukasz Warzecha

W którymś momencie w naszym kraju, ale nie tylko tu, może się pojawić silny społeczny resentyment, bazujący na przekonaniu, że dalsze tkwienie w UE nie oznacza już zysków, a jedynie straty. Czy Unia Europejska się rozpadnie?

Rok 2024 może być przełomowy w historii Unii Europejskiej.

Po pierwsze – w czerwcu odbędą się wybory do Parlamentu Europejskiego. Pierwsze, których wynik może być w jakimś stopniu zdeterminowany przez to, jak obywatele UE odbierają politykę klimatyczną i jej wpływ na ich codzienne życie.

Po drugie – politycy, którzy – jak Olaf Scholz – chcą zmierzać w kierunku federalizacji i usunąć z mechanizmów decyzyjnych prawo weta, podejmą próbę przeprowadzenia takich zmian. Jak sugerował raport francusko-niemieckiej grupy eksperckiej „Żeglując na pełnym morzu", ujawniony kilka miesięcy temu, kręgi opowiadające się za federacyjnym modelem UE (ten drugi nazwijmy dla uproszczenia suwerennościowym) chcą zmierzać do realizacji tego celu jeszcze przed wyborami do PE. Nie będzie to możliwe poprzez zmianę traktatów – tej nie da się z całą pewnością przeprowadzić w kilka miesięcy, bo jest to proces wieloetapowy i od momentu zainicjowania potencjalnie mogący trwać nawet kilka lat, wliczając w to czas na ratyfikację zmian w poszczególnych krajach członkowskich. Jest jednak możliwe wykorzystanie passarelle clause, czyli tzw. klauzuli pomostowej. To właśnie rekomenduje wspomniany raport jako przyspieszoną metodę przeforsowania zmian.

Taka klauzula pomostowa o ogólnym charakterze zawarta jest w art. 48 traktatu o UE. Artykuł ten opisuje przede wszystkim normalną procedurę zmiany traktatów. Czytamy w nim jednak rów-

eprasa.pl c5017bbff7

nież: „Jeżeli Traktat o funkcjonowaniu Unii Europejskiej lub tytuł V niniejszego Traktatu przewiduje, że Rada stanowi jednomyślnie w danej dziedzinie lub w danym przypadku, Rada Europejska może przyjąć decyzję upoważniającą Radę do stanowienia większością kwalifikowaną w tej dziedzinie lub w tym przypadku". Przepisu nie stosuje się do decyzji mających wpływ na kwestie wojskowe lub obronne, a to także federaliści chcieliby wyłączyć z zasady jednomyślności. Można to jednak zrobić poprzez klauzulę pomostową już w stosunku do takich spraw jak polityka zagraniczna.

Czy taka decyzja zostanie podjęta i czy jeszcze przed wyborami do Parlamentu Europejskiego UE zmieni sposób podejmowania decyzji na już niemal wyłącznie większościowy, na razie na zasadzie tymczasowej – na razie nie wiadomo. Jedno wydaje się pewne: zbliża się moment jakiegoś przełomu.

LEKCJA Z HISTORII

Cofnijmy się do roku 2016. W pierwszej połowie tamtego roku brałem udział w bardzo ciekawej konferencji, z polskiej strony prowadzonej przez ówczesnego ministra do spraw europejskich Konrada Szymańskiego, w trakcie której omawiana była wspólna strategia działania w UE dla Polski i Wielkiej Brytanii. Zawiadujący wtedy Zjednoczonym Królestwem rząd Davida Camerona (obecnie ministra spraw zagranicznych u Rishiego Sunaka) i rząd PiS (wtedy pod kierownictwem Beaty Szydło, z Witoldem Waszczykowskim jako szefem MSZ) na wiele spraw patrzyły podobnie. Spotkanie było bardzo interesujące i mówiono w jego trakcie o ciekawych możliwościach współpracy, skierowanej przede wszystkim na rzecz hamowania federalizacji UE i ograniczania unijnej biurokracji.

Niestety, kilka tygodni później wszelkie tego typu plany stały się bezprzedmiotowe. W przeprowadzonym 23 czerwca referendum 51,89 proc. głosujących opowiedziało się za wystąpieniem Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej. Tym samym Polska straciła jednego z najważniejszych sojuszników w swoim spojrzeniu na Unię – i nigdy już podobnego nie zyskała.

David Cameron nie zorganizował referendum po to, żeby wyprowadzić Wielką Brytanię z Unii. Przeciwnie – jego celem było zamknięcie tego tematu wobec rosnącej roli zwolenników brexitu, a zarazem zapewnienie swojej partii kolejnej wygranej (Cameron rządził od 2010 r.). Postawił wszystko na jedną kartę – i przegrał. Ustąpił ze stanowiska wkrótce po referendum, a jego kariera polityczna zatrzymała się na bardzo długo.

Ważne jest jednak, żeby pamiętać, w jakim kontekście doszło do referendum. W słynnym wystąpieniu ze stycznia 2013 r. (tzw. EU Speech) ówczesny premier mówił:

„Dla nas Unia Europejska jest sposobem na osiągnięcie celu – pomyślności, stabilności, jest kotwicą wolności i demokracji zarówno w samej Europie, jak i poza nią – ale nie celem samym w sobie.

Uparcie pytamy: Jak? Dlaczego? W jakim celu? […].

Zawsze słychać głosy domagające się, aby nie stawiać trudnych pytań. Jednak dla Europy i dla Wielkiej Brytanii stawianie ich jest konieczne, ponieważ stoją dzisiaj przed nami trzy wielkie wyzwania.

Jedno wydaje się pewne: zbliża się moment jakiegoś przełomu

Po pierwsze – problemy strefy euro powodują fundamentalne zmiany w Europie.

Po drugie – mamy do czynienia z kryzysem europejskiej konkurencyjności, gdy inne narody świata rwą naprzód.

I po trzecie – pomiędzy UE a jej obywatelami istnieje luka, która w ostatnich latach dramatycznie się powiększyła. Przedstawia ona brak demokratycznej odpowiedzialności oraz zgody, które – tak właśnie – są szczególnie dotkliwie odczuwane w Wielkiej Brytanii".

Przewodniczącym Rady Europejskiej był wówczas Donald Tusk. Tusk doskonale zdawał sobie sprawę z nastrojów w Wielkiej Brytanii i wiedział, że to chodzenie po cienkiej linie. Mimo to jego stosunek do wcześniej przedstawianych przez Londyn postulatów był chłodny, a wobec Camerona zachowywał się nawet protekcjonalnie.

Jeszcze w listopadzie 2015 r. brytyjski premier skierował do „drogiego Donalda" list (brytyjska prasa pisała o nim „Dear Donald letter"), w którym precyzował oczekiwania Wielkiej Brytanii i warunki, na których jego kraj mógłby pozostać we wspólnocie. Oczekiwania te czytane nawet dzisiaj wydają się bardzo sensowne. Jest tam np. mowa o tym, że podatnicy w krajach spoza strefy euro nie powinni być nigdy odpowiedzialni za operacje finansowe, mające na celu podtrzymanie wspólnej waluty. A także o tym, że o wszelkich sprawach, które dotyczą wszystkich państw członkowskich, powinny wszystkie państwa dyskutować i wszystkie decydować.

Cameron domagał się również, aby zwolnić Wielką Brytanię z zawartego w traktatach postulatu pracy nad stworzeniem „coraz bardziej zjednoczonej Unii" (ever closer union). Chciał również wzmocnienia roli parlamentów narodowych i pilnowania zasady subsydiarności.

Odpowiedzi nie były zachęcające ani obiecujące, a przewodniczący Tusk decyzję o ogłoszeniu referendum publicznie nazywał „głupią". Wszystko to pomogło zwolennikom brexitu.

Łatwo było zinterpretować stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej jako echo nastawienia Berlina, który miał nadzieję na wypchnięcie Wielkiej Brytanii z UE, a przy okazji przeczołganie Albionu (co zresztą nastąpiło faktycznie w czasie negocjacji brexitowych). Niemcy, wtedy pod wodzą żelaznej kanclerz, uznawały Londyn za głównego hamulcowego planów integracyjnych, których ostateczną postać promuje teraz kanclerz Olaf Scholz. Wyjście Wielkiej Brytanii z UE pozbawiało także polski rząd, niechętny Berlinowi, istotnego sprzymierzeńca.

OSTRZEŻENIE WCIĄŻ AKTUALNE

Dlaczego warto tę historię przypominać? Gdy rozgrywały się tamte sprawy, wielu komentatorów – w tym niżej podpisany – przestrzegało przed nadmiernym zaciskaniem unijnych więzów,

eprasa.pl c5017bbff7

wskazując, że zamiast do ściślejszej integracji może to w końcu doprowadzić do rozpadu Unii. To ostrzeżenie nie straciło na aktualności.

W scenariuszu na ten rok mamy zatem istotny ruch na rzecz ograniczenia suwerenności państw członkowskich oraz wybory do PE. Ten pierwszy może być na razie tymczasowy, ale też może się okazać, że – zgodnie z traktatami – zostaje zapoczątkowany formalny proces renegocjacji tychże. Jego początkiem byłaby decyzja Rady o powołaniu Konwentu, którego zadaniem byłoby przygotowanie już oficjalnych propozycji zmian traktatowych. A trzeba tu wiedzieć, że Konwent jest ciałem całkowicie poza obrębem demokratycznej legitymacji. Uznano bowiem, że jedynym momentem, kiedy w procesie zmian traktatowych taka ma prawo się pojawić, jest nie czas tworzenia projektu, a jedynie jego zatwierdzania. Muszą to zrobić parlamenty krajowe i ewentualnie – jeśli takie są regulacje w danym państwie – obywatele w referendum.

Mieliśmy w najnowszej historii UE trzy przypadki odrzucenia projektu w referendum. Najpierw w Holandii i we Francji w 2005 r., gdy przepadł unijny „traktat konstytucyjny". Praktycznie ten sam traktat wrócił następnie jako traktat lizboński (bez elementów „superpaństwowych") i został poddany procedurze akceptacji w referendum m.in. w Irlandii w roku 2008. Tam został odrzucony większością ponad 53,4 proc. głosów. Na małą Irlandię posypały się gromy, a największe europejskie stolice przedstawiały ten kraj godnego potępienia hamulcowego europejskiego postępu. Referendum powtórzono w 2009 r. i tym razem ponad 67 proc. Irlandczyków opowiedziało się za przyjęciem traktatu.

Tutaj warto zwrócić uwagę na różnicę pomiędzy Irlandią a Wielką Brytanią w podejściu do wyników referendum. Kiedy po głosowaniu w sprawie brexitu w Zjednoczonym Królestwie odzywały się głosy, że może należałoby je powtórzyć, brytyjski rząd postawił sprawę jasno: żadnej powtórki nie będzie. Obywatele zajęli stanowisko i nie budzi ono wątpliwości. Nie wydarzyło się nic, co by powtórne przeprowadzenie referendum uzasadniało.

Polska jest jednym z państw UE najmocniej narażonych na koszty polityki klimatycznej, jeśli nie wprost najbardziej narażonym

Nie wiemy zatem, czy wyniki głosowania do PE będą już odzwierciedlały nastroje związane z powstawaniem nowego traktatu – o ile taka decyzja zostanie podjęta. Nie jest to jasne, bo tu potrzeba na razie jednomyślności. Znamiennie zabrzmiały słowa Donalda Tuska, wypowiedziane w exposé. Nowy premier stwierdził: „Żadne manewry, żadne próby gier, żadne próby zmian traktatów, które są wbrew naszym interesom [podkr. – Ł.W.] – to nie wchodzi w rachubę". Warto uważnie słuchać polityków, ponieważ mówią oni bardzo często w taki sposób, żeby w przyszłości nie dało się im zarzucić kłamstwa albo złamania obietnicy. Pan premier zastrzegł tutaj, że sprzeciwi się próbom zmian traktatów, ale tylko takim, które „są wbrew naszym interesom". Z jego słów wynika, że jeśli jakieś zmiany będą w opinii obozu władzy zgodne z naszymi interesami – to mogą zostać zaakceptowane.

Na pewno natomiast poważną próbą dla obywateli UE są coraz mocniej odbijające się na nich skutki polityki klimatycznej. Jej ogromne koszty zaczynają ponosić przecież nie tylko Polacy. Dyrektywa EPBD o charakterystyce energetycznej budynków wywołała wzburzenie m.in. w Grecji, ale jej wymogi będą stanowiły ogromne obciążenie nawet dla niemieckich gospodarstw domowych. To w niemiecki przemysł samochodowy uderzają regulacje dotyczące motoryzacji. Nie ma natomiast wątpliwości, że Polska jest jednym z państw UE najmocniej narażonych na koszty polityki klimatycznej, jeśli nie wprost najbardziej narażonym.

2024 – PUNKT ZWROTNY?

W którymś momencie w naszym kraju, ale nie tylko tu, może się pojawić silny społeczny resentyment, bazujący na przekonaniu, że dalsze tkwienie w UE nie oznacza już zysków, a jedynie straty. Niemcy są największym płatnikiem netto od lat, ale czerpią z tego bezsprzeczne korzyści w postaci zwrotu z inwestycji i handlu z innymi, uboższymi państwami członkowskimi. Inaczej to jednak wygląda w przypadku Polski, która niemal na pewno stanie się płatnikiem netto w kolejnej perspektywie budżetowej (od 2027 r., a więc pod koniec tej kadencji Sejmu). Żeby przykryć ten fakt, nie wystarczy już żonglować legendą KPO.

W wielu państwach Unii problemem staje się polityka migracyjna. Na tym przecież wybory wygrała Partia Wolności Geerta Wildersa w Holandii, na tym zdobywa punkty Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen we Francji. To wszystko są czynniki sprzyjające odśrodkowym tendencjom w UE.

Czy zatem Unia się rozpadnie? Na pewno nie w 2024 r., choć może to być rok, który kiedyś, z perspektywy czasu, będziemy oceniali jako punkt zwrotny. Wiele zależy od tego, czy stabilną większość w Parlamencie Europejskim zachowa dotychczasowy establishment z Europejską Partią Ludową i Socjalistami na czele, wspomagany przez dwie frakcje skrajnej lewicy. PE, wbrew rozpowszechnionemu w Polsce mitowi, ma w procesie podejmowania decyzji całkiem wiele do powiedzenia.

Wielkie struktury państwowe czy quasi-państwowe nie rozsypują się zwykle – poza sytuacją wojenną – błyskawicznie, ale zaczynają gnić. Czasami zmiany nie są nawet widoczne dla ich własnych obywateli. Dziś uznajemy rok 476 za kres istnienia cesarstwa zachodniorzymskiego, a zarazem symboliczny początek średniowiecza. Tyle że w gruncie rzeczy obalenie Romulusa Augustulusa przez Germanina Odoakera było pałacowym przejęciem władzy – Odoaker był rzymskim żołnierzem. Dziś powiedzielibyśmy: imigrantem. Dla Rzymian tamtego czasu, szczególnie żyjących na prowincji, był to po prostu kolejny pałacowy przewrót bez natychmiastowych konsekwencji. Historia nigdy nie powtarza się jeden do jednego, ale warto pamiętać, że jest nauczycielką życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c5017bbff7

Pierwszy rok „depisyzacji”

Jan Fiedorczuk

Widmo radykalnej „depisyzacji”, która nastąpi w 2024 r., paraliżuje formację Kaczyńskiego i zapewne uniemożliwi jej skorzystanie z atutów, którymi dysponuje. A tych, mimo przegranych wyborów, PiS posiada nadal całkiem sporo

Truizmem jest stwierdzenie, że w polskim systemie politycznym opozycja niewiele znaczy. Tym razem jednak sytuacja jest niecodzienna, gdyż oto główna partia opozycyjna jest zarazem największym ugrupowaniem w Sejmie i choćby już sam ten fakt sprawia, że dysponująca 191 posłami Zjednoczona Prawica może być dla Donalda Tuska kłopotliwym przeciwnikiem. Może, ale nie musi – gdyż wiele tu będzie zależeć od dyscypliny polityków, ich szczęścia, a także od działań samej koalicji rządzącej. Dzisiaj, owszem, antypisowskie paliwo napędza i cementuje sojusz centrolewu, jednak z każdym mijającym miesiącem, z każdą kolejną aferą i z każdą niedotrzymaną obietnicą wyborczą napięcia w koalicji będą narastać. To z kolei dla izolowanego PiS otwiera pewne pole działania.

MNIEJSZOŚĆ BLOKUJĄCA?

Trzon centrolewu współtworzą cztery główne formacje (KO, PSL, Polska 2050, Lewica) otoczone „wolnymi elektronami”. Tożsamościowy galimatias, który przejawia się w ideowej rozpiętości od Romana Giertycha do Barbary Nowackiej i od Ryszarda Petru do Michała Kołodziejczaka, już dzisiaj przekłada się na tarcia w sferze światopoglądowej (aborcja) oraz gospodarczej (obiecana przez PO kwota wolna od podatku na poziomie 60 tys. zł). Dlatego też partia Razem, nie mogąc wdrożyć swoich lewicowych postulatów, zdecydowała się nie wchodzić do nowego rządu.

Podobnych problemów będzie tylko przybywać w kolejnych miesiącach. Posłowie Lewicy czy Trzeciej Drogi nie muszą otwarcie buntować się przeciwko próbującemu ich zdominować Tuskowi. Wystarczy, że część z nich wstrzyma się podczas kontrowersyjnych głosowań albo nawet nie będzie na sali, aby PiS przy odpowiednim zdyscyplinowaniu parlamentarzystów był w stanie utrącić niektóre legislacyjne plany KO.

Centrolew będzie tak długo monolitem, jak długo program „depisyzacji” będzie wystarczać wyborcom. Potrwa to pół roku, może rok, ale w końcu zemsta na PiS przestanie wystarczać i konieczne stanie się zarządzanie bieżącymi sprawami. Polska 2024 to zupełnie inny kraj niż w 2007 r., gdy społeczeństwo można było w nieskończoność straszyć Kaczyńskim. Trwający osiem lat walec PiS przeorał polskie społeczeństwo na wielu poziomach i powrót do przeszłości już po prostu nie jest możliwy.

Nawet jeżeli posłowie Konfederacji oraz PSL zarzekają się, że do żadnej koalicji z PiS nigdy nie wejdą, to już sama ideowa tożsamość tych partii (łącznie 45 głosów, a można tu doliczyć trzech posłów Kukiz’15 oraz być może kilku z Polski 2050) będzie skłaniała ich, by hamować co bardziej progresywne postulaty KO oraz lewicy. Już teraz to się dzieje. To nadal za mało, by stworzyć rząd, lecz być może wystarczająco, by zatrzymać ideologiczny walec.

PSL jest dzisiaj nieporównanie silniejszą partią niż w latach 2007–2015 (gdy to zwłaszcza pod rządami Janusza Piechocińskiego stał się przystawką PO) i podstawowe pytanie brzmi: Na ile tę podmiotowość ludowcy będą w stanie zachować? Przy odpowiednich wiatrach PiS może, przynajmniej czasami, odgrywać rolę mniejszości blokującej.

PREZYDENCKI HAMULEC

Największym atutem prawicy pozostaje jednak nie arytmetyka sejmowa, tylko Andrzej Duda. Kompetencje głowy państwa są co prawda w polskiej konstytucji mocno okrojone, jednak niepodważalną prerogatywą prezydenta pozostaje możliwość odgrywania wielkiego hamulcowego – wetowania kolejnych ustaw, odsyłania ich do Trybunału Konstytucyjnego i paraliżowania rządu. Tymczasem większość centrolewu nawet wzbogacona głosami Konfederacji nie jest w stanie odrzucić prezydenckiego weta. O ile oczywiście PiS-owcy wykażą się dyscypliną i będą w pełnym składzie uczestniczyć w sejmowych posiedzeniach (do odrzucenia weta potrzeba głosów trzech piątych parlamentarzystów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów).

Polska ustawa zasadnicza wprowadza do ustroju państwa dualizm egzekutywy, co antagonizuje prezydenta oraz rząd i nawet w sytuacji, gdy głowa państwa wywodzi się z tego samego obozu co większość sejmowa, to między oboma ośrodkami władzy z czasem zaczyna dochodzić do napięć i sporów (obserwowaliśmy to wszak w ostatnich latach, gdy Andrzej Duda wetował kolejne kluczowe dla PiS ustawy). I o ile niedawne gesty prezydenta (np. podpisanie ustawy o in vitro) świadczą, że chciałby on najbliższe dwa lata spędzić na spokojnej współpracy, to wątpliwe, by chcieli tego posłowie KO i Lewicy, którzy ostatnie osiem lat spędzili na grożeniu

eprasa.pl c5017bbff7

mu Trybunałem Stanu. Sama logika polskiego systemu w końcu ich skłóci.

Do tego powierzenie misji sformowania rządu Mateuszowi Morawieckiemu, mimo że z góry wiadomo było, że jest to misja straceńcza, jak również ostre sejmowe przemówienie prezydenta sugerują, że Andrzej Duda nie zadowoli się rolą arbitra. Nawet podczas zaprzysiężenia rządu Tuska prezydent wyraźnie dał do zrozumienia, że są obszary, z których nie da się wyrugować.

Prezydent ma zaledwie 51 lat, zapewne myśli już o tym, co czeka go po zakończeniu drugiej kadencji. Ewentualna kariera międzynarodowa jest bardzo wątpliwa ze względu na niesprzyjający rząd, który musiałby poprzeć jego kandydaturę oraz środowisko, z którego się wywodzi, a które na zachodnich salonach jest przecież na cenzurowanym. Jeżeli prezydent nie chce powtórzyć losu Aleksandra Kwaśniewskiego, to może zatem próbować – zapewne pod okiem Marcina Mastalerka – powalczyć o schedę po Jarosławie Kaczyńskim. W takim wypadku jego działania z ostatnich tygodni wydają się nabierać sensu – jeżeli chce nadal na prawicy odgrywać znaczącą rolę, to nie może odwracać się ani od konserwatywnych wyborców, ani od polityków PiS.

Co więcej, już kilka miesięcy temu Sejm uchwalił ustawę zwiększającą kompetencje głowy państwa w prowadzeniu polskiej polityki względem Unii Europejskiej. Nowelizacja nakłada na rząd obowiązek przedkładania prezydentowi propozycji kandydatur na wiele stanowisk, m.in. na członka Komisji Europejskiej, sędziego TSUE czy rzecznika generalnego TSUE. Oczywiście większość sejmowa może ustawę zmienić na dowolnym posiedzeniu, jeżeli tylko sam prezydent jej nie zawetuje.

Andrzej Duda będzie sprawował swój urząd do 2025 r., co oznacza, że niemal jeszcze dwa lata wszystkie co bardziej kontrowersyjne, rewolucyjne ustawy centrolewu będą blokowane, a na tym może korzystać jedynie obóz Kaczyńskiego. Tak naprawdę zatem najbliższe dwa lata, dopóty, dopóki nie zmieni się gospodarz w Belwederze, będą epoką przejściową.

WYSZARPYWANIE PAŃSTWA

Mimo przegranych wyborów to w rękach nominatów PiS pozostaje wiele kluczowych dla państwa instytucji, a urząd prezydenta to tylko jedna z nich. Kolejnym oczywistym przykładem jest Trybunał Konstytucyjny.

Julia Przyłębska pozostanie prezesem do grudnia 2024 r. i jakkolwiek politycy KO uważają, że jej kadencja upłynęła już w 2022 r. (przypomnijmy, że Przyłębska została prezesem TK przed zmianą przepisów), to trudno wyobrazić sobie, aby nowa władza zdecydowała się na wyprowadzenie jej w kajdankach. Jeżeli zatem Tusk nie odważy się na „twarde" rozwiązanie sprawy Trybunału, co musiałoby zaowocować wojną totalną nie tylko z prezydentem, lecz także z wieloma środowiskami centrowymi, a może i instytucjami UE, to co najmniej jeszcze przez rok najważniejszy sąd w Polsce będzie pod kontrolą dotychczasowego kierownictwa. Jak pokazały ostatnie tygodnie i ekspresowo wydawane wyroki w sprawie mediów publicznych oraz kar nałożonych przez TSUE, jeżeli Trybunał będzie miał możliwość rzucać kłody pod nogi nowemu rządowi, to będzie to robił.

PiS już teraz chce wykorzystać tę przewagę i zgłosił do TK przepisy ustawy o Trybunale Stanu, które umożliwiają Tuskowi zawieszenie obecnego prezesa Narodowego Banku Polskiego. Bo to właśnie Adam Glapiński pozostaje kolejną „miną" zostawioną przez PiS, z którą będą musieli się mierzyć politycy PO. Kadencja Glapińskiego trwa do 2028 r., a to oznacza, że Donald Tusk będzie musiał się pożegnać z wizją posłusznego prezesa NBP, który niczym Marek Belka nagrany u Sowy i Przyjaciół dyskutowałby z politykami PO o warunkach wsparcia rządu przez bank centralny w celu pokonania PiS. Belka wówczas stawiał co prawda warunki – nowa ustawa o NBP oraz dymisja wicepremiera Rostowskiego – ale może tym razem udałoby się znaleźć kogoś bardziej uległego, kto realizowałby te same działania, kierując się po prostu szczerym antykaczyzmem.

Idąc dalej – w listopadzie, czyli już po wyborczej porażce, na kolejną pięcioletnią kadencję prezesa Komisji Nadzoru Finansowego został wybrany Jacek Jastrzębski. To ważne stanowisko, wręcz kluczowe z perspektywy systemu bankowego, ubezpieczeń, giełdy czy funduszy inwestycyjnych i emerytalnych. Odwołanie go jest praktycznie niemożliwe, a rząd

To rząd Donalda Tuska przejął teraz władzę, ale rząd PiS zostawił dla niego wiele „min" FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

centrolewu będzie mógł wymienić jedynie czterech członków KNF, co z kolei oznacza, że większość będą stanowiły osoby wybrane w ostatnich latach. Business Insider przekonuje, że wpływy w KNF pozostają istotne dla nowej władzy, gdyż wytyczne Komisji mogą ograniczyć dopływ pieniędzy. „To dla nowego rządu ważna informacja, bo pojawiły się już zapowiedzi, że w ramach finansowania obietnic wyborczych politycy koalicji będą chcieli silniej sięgnąć po zyski spółek kontrolowanych przez Skarb Państwa" – czytamy.

Również w prokuraturze przyszła władza zmierzy się z „minami" poprzedniego rządu. Już w sierpniu PiS uchwalił prawo, które przekazało wiele uprawnień z Prokuratora Generalnego do Prokuratora Krajowego oraz jego zastępców. Prokurator Generalny w dalszym ciągu może wydawać polecenia prokuratorom, jednak ma to robić za pośrednictwem Prokuratora Krajowego. Nie wiadomo jednak, co się stanie, jeżeli nie dojdzie między nimi do porozumienia. Prokuratora Krajowego można odwołać ze stanowiska za zgodą… prezydenta. Obecnie funkcję PK pełni zaufany współpracownik Zbigniewa Ziobry – Dariusz Barski.

eprasa.pl c5017bbff7

Podobnych niespodzianek jest więcej. Choćby zmiana na fotelu prezesa Orlenu, co obiecywali politycy centrolewu, może przeciągać się przez kolejne miesiące. Dziennikarz „Dziennika Gazety Prawnej" Tomasz Jóźwik opisywał tę sprawę niedawno, wskazując, że ze względu na zmieniony statut koncernu w 2018 r. odwołanie Obajtka staje się o wiele bardziej kłopotliwe, niż można było to początkowo przypuszczać.

Osobną kwestią pozostają media publiczne. TVP jest dla nowej większości symbolem rządów PiS i odbicie Telewizji Polskiej stanowi dla KO papierek lakmusowy. Dlatego mimo że kadencja członków Rady Mediów Narodowych oraz członków Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji trwa do 2028 r., a politycy PiS podkreślają, że zmiany w mediach mogą zajść jedynie na drodze ustawy (co wymagałoby przychylności prezydenta), to ekipa Tuska stanie na głowie, byle dopiąć swego, a w ostateczności drastycznie obetnie fundusze bądź też podejmie próbę likwidacji stacji. TVP to symbol rządów PiS (oraz bardzo przydatne narzędzie propagandowe) i to właśnie ten symbol nowa władza musi roztrzaskać, aby zaspokoić żądzę krwi swego betonowego elektoratu.

Ostatecznie jednak nie ma wątpliwości, że koalicja centrolewu przejmie, w mniej lub bardziej elegancki sposób, media publiczne, raczej wcześniej niż później upora się z prezesem Obajtkiem, zaprowadzi „demokrację" w spółkach Skarbu Państwa oraz „praworządność" w prokuraturze i sądach. Niemniej nie będzie to przyjemny proces i Donald Tusk spędzi najbliższe 12 miesięcy na „wyszarpywaniu" kolejnych instytucji. Jak stwierdził jeden z autorytetów demoliberałów prof. Marek Safjan, „trzeba wyrwać się z pułapki prawniczego formalizmu". Aby poradzić sobie ze wszystkimi minami, obóz centrolewu będzie zatem naginał prawo i obchodził instytucje z PiS-owskimi nominatami (być może z równą swawolą, którą wykazał PiS w przeszłości), a to wszystko potrwa.

ZAMIANA MIEJSC

W najbliższym roku partia Kaczyńskiego stanie przed trzema głównymi wyzwaniami: po pierwsze, jesteśmy w trakcie maratonu wyborczego, za rogiem czekają wybory samorządowe, europejskie oraz decyzja w sprawie kandydata do wyborów prezydenckich. Po drugie, w nadchodzących miesiącach PiS będzie musiał mierzyć się z komisjami sejmowymi, nasyłaniem służb, kontrolami, zmasowanym atakiem mediów i postępującą utratą wpływów. Zjednoczona Prawica będzie musiała wykazać się dużą dyscypliną, aby przetrwać ten kryzys. Dyscyplina będzie też konieczna, aby wykorzystać ewentualne potknięcia nowej władzy. Z czasem koalicja centrolewu może zacząć się spierać o projekty i kształt ustaw, jednak jeżeli na kluczowych głosowaniach zabraknie posłów opozycji, to PiS się jedynie ośmieszy (nawet podczas głosowania nad wotum zaufania dla rządu Tuska w Sejmie zabrakło kilku posłów Zjednoczonej Prawicy).

Po trzecie wreszcie, PiS ewidentnie wybrał „ostrą" linię, budując narrację, w której powrót Tuska do władzy to koniec demokracji, zwycięstwo „niemieckiej agentury" etc. Każda kolejna instytucja wyszarpana przez PO będzie powodować utwardzanie tej strategii. Tą ścieżką postępującego radykalizmu Platforma Obywatelska kroczyła przez ostatnie osiem lat. Pierwszy etap wyborczego maratonu PiS już przegrał. Bez porzucenia tej samobójczej taktyki i dokonania głębokiej oraz dla wielu bolesnej reformy partyjnych struktur PiS przegra także kolejne wybory. Co więcej, utwardzanie przekazu, w którym każdy spoza partii jest już niemal zdrajcą ojczyzny, jedynie pozbawi PiS większości atutów, z którymi przechodzi do opozycji. W takiej sytuacji obóz Kaczyńskiego ani nie będzie w stanie skłonić PSL i Konfederacji do wspólnego blokowania pomysłów Tuska, ani nie zaskarbi sobie sympatii prezydenta. Jeżeli zatem PiS zamiast tworzenia opozycji merytorycznej wybierze styl opozycji totalnej, to pozbawi siebie szans na bycie wspomnianą wyżej „mniejszością blokującą".

Najbliższy rok minie zatem z jednej strony na „depisyzacji" instytucji państwa i odgrywaniu się za osiem lat upokorzeń, z drugiej – na krzykach polityków Zjednoczonej Prawicy o upadku demokracji i zagrożonej ojczyźnie. Można powiedzieć, że PiS i PO kolejny raz zamieniły się miejscami, ale sama szarpanina między tymi partiami trwa w najlepsze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c5017bbff7

ZUZANNA DĄBROWSKA: Może zabrzmi to zaskakująco, ale jako suicydolog ksiądz zajmuje się życiem.

KS. TOMASZ TRZASKA: Ta teza jest dla mnie bardzo miła, bo chciałbym być kojarzony właśnie z życiem. Zarówno jako suicydolog, jak i jako pracownik IPN. Mimo że dotykam rzeczywistości życia i śmierci, to cieszę się, że w pytaniu padło słowo „życie". W suicydologii walczymy o życie tych, którzy stracili do niego siły, a także w przypadku pamięci o Żołnierzach Wyklętych walczymy, aby tutaj, na Ziemi, mieli oni swoje życie w pamięci Polaków. Więc tak – zajmuję się życiem, i to na obu tych płaszczyznach.

W przypadku dramatu samobójstwa skupiamy się na osobie, która odbiera sobie życie. Ale przecież pozostawia tutaj swoich bliskich. Oni muszą dalej żyć.

Spotykam się z osobami, które cierpią na chyba jeden z najgorszych rodzajów żałoby, czyli żałoby po śmierci samobójczej. Kiedy ktoś ginie w wypadku, umiera na nowotwór lub po prostu odchodzi z wiekiem, to ta śmierć jest przykra i smutna, ale ma w sobie element jakiegoś zrozumienia. Bo wypadki się zdarzają, i to wiemy. Mamy wobec tego wewnętrzny sprzeciw, ale generalnie wiemy, że takie sytuacje po prostu czasem przychodzą. Natomiast w przypadku śmierci samobójczej jest już całkiem inaczej. Rodzina nie tylko cierpi z powodu straty osoby bliskiej, lecz także czuje, że samobójca mówi im: „Nie chciałem dłużej z wami żyć". To nie jest do końca prawda, ale rodzina w żałobie właśnie tak to czuje.

W jej przeżyciu zwykle konieczne jest także, żeby rodzinie powiedzieć: „Nie jesteście winni tej śmierci". Może też rodzić się myśl, że mogli zauważyć czy zrobić coś więcej. Ale gdy rozmawiam z rodzinami po stracie, pytam je, czy gdyby dostrzegli coś, to czy zrobiliby więcej. Odpowiadają: „Oczywiście, że tak". Wtedy mówię: „To zrobiliście wszystko". W trakcie rozmowy z osobą w żałobie mówię, że to nie jej wina i – co ważne – że ma prawo po tej śmierci żyć normalnie. Jeśli będziesz żył normalnie, czytał książki, chodził do kina, spotykał się z przyjaciółmi, to nie robisz nic przeciw osobie, którą straciłeś, i jej pamięci. Wręcz odwrotnie – pokazujesz, że mimo tego dramatu ty

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

eprasa.pl c5017bbff7

chcesz żyć pięknie, w pewnym sensie trochę za nią.

Czyli że życie ma sens. Po prostu.

Ma sens i powiedziałbym nawet, że ma podwójny sens. Żyjemy wtedy trochę za osobę, która odeszła. W tym świecie wypełniamy lukę swoją obecnością. Kiedy zrozumiemy, czym jest kryzys samobójstwa i walka o życie, to zrozumiemy zarazem, że osoba, która targnęła się na swoje życie, chciała tu być, tylko wszystko ją przygniotło. Chciała, żeby przestało boleć, ale chciała żyć. Przegrała walkę. Skoro więc chciała żyć, to my, żyjąc pięknie, w pewien gorzki sposób realizujemy głębokie pragnienie życia.

Walka o życie nie zawsze wygląda tak samo.

Gdy mówimy o zachowaniach samobójczych, rozróżniamy dwa główne kierunki czy też motywy. Niekiedy, szczególnie na początku, może być trudno zauważyć między nimi różnice. Po pierwsze, mówimy o kryzysie osoby psychicznie zdrowej, która funkcjonuje normalnie. Nawarstwiające się problemy, bolesne doświadczenia mogą sprawić, że osoba ta nagle straci perspektywę i nadzieję, że sytuacja może się zmienić. Może to też być jedno bardzo silne wydarzenie, które trafiło na suicydalny grunt, jakiś słaby moment w życiu. W tym wielkim bólu, który eksperci określają jako „ból psychiczny", człowiek zaczyna widzieć samobójstwo jako drogę do tego, żeby przestało boleć. Drugi kierunek to choroby psychiczne, często depresja, w których też mogą występować epizody kryzysowe. Zarówno w pierwszym, jak i drugim przypadku potrzebne jest takiej osobie wsparcie środowiska i specjalistów.

Jak pomóc samemu sobie, gdy u siebie zauważamy niepokojące sygnały, a jak reagować na problemy osoby bliskiej?

W obu przypadkach „pierwsza pomoc" będzie taka sama, tylko sposób dotarcia inny. Pierwszym krokiem jest zawsze rozmowa, pozwolenie komuś – lub samemu sobie – się wygadać. Ja sam po prostu mogę powiedzieć: „Potrzebuję pomocy. Czy mógłbyś mnie wysłuchać?". I do końca nie ma znaczenia, z kim porozmawiamy, bo tu chodzi o mnie. Nie chodzi o to, żeby otrzymać wiele nic nieznaczących rad lub wyrzutów, ale żeby ktoś mnie wysłuchał. Podobnie osobie bliskiej – powinniśmy dać przestrzeń do wysłuchania. W naszej pracy mamy ważną zasadę „50:10". Na każdą godzinę rozmowy 50 minut mówi osoba w kryzysie, a my raczej zadajemy pytania – takie, które pomagają nazwać pewne rzeczy. Opowiedzenie o swoich trudnościach pomaga obniżyć poziom napięcia, nazwać i zracjonalizować, nawet jeśli są to myśli samobójcze. Dobrze, aby padło pytanie o te myśli, ponieważ wypowiedzenie na głos: „Tak, mam myśli o własnej śmierci, mam myśli samobójcze" powoduje, że ja też sam siebie słyszę. Okazuje się, że gdy to wypowiem, świat nie spada mi na głowę, a wręcz odwrotnie – nazywam swój ból. Następuje wtedy „odwentylowanie". Kolejny krok to skierowanie do pomocy specjalistycznej. Jeżeli oczywiście występuje nagły i bezpośredni zamiar targnięcia się na życie, to nie czekamy. Wzywamy pomoc albo udajemy się z taką osobą wprost do lekarza.

Jeżeli rozmowa jest pierwszym krokiem na drodze zdrowienia, to czy to, że coraz rzadziej, coraz mniej uważnie ze sobą rozmawiamy, jest przyczyną narastającego problemu samobójstw?

Tak. Rozmowa jest pierwszym lekarstwem na kryzys, a z drugiej strony jestem absolutnie przekonany, że jesteśmy nie tyle społeczeństwem, ile wręcz cywilizacją osób niewysłuchanych. Nasze życie to nieustanne bodźce. Kortyzol naprzemiennie z dopaminą, którą sami sobie serwujemy jako sposób na rozrywkę, czyli TikTok, Instagram – wszystko

Z ks. Tomaszem Trzaską, ekspertem Biura do spraw Zapobiegania Zachowaniom Samobójczym Instytutu Psychiatrii i Neurologii, kapelanem Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, laureatem tegorocznej nagrody specjalnej DoRzeczy.pl w ramach Strażnika Pamięci

rozmawia Zuzanna Dąbrowska

Młodym trzeba stawiać wymagania

eprasa.pl c5017bbff7

natychmiast. Cały czas skrajności, które się w nas gromadzą i odkładają, a jednocześnie narasta w nas napięcie.

W mojej ocenie jednym ze źródeł kryzysu jest brak wysłuchania. Nawet jeśli słyszymy, to nie zawsze słuchamy. A jeśli słuchamy, to często od razu pouczamy, dajemy świetne rady, szukamy odpowiedzi. W praktyce nie o to chodzi. W wysłuchaniu chodzi po prostu o wysłuchanie. Powiedzenie: „Jestem z tobą, dzielę z tobą ten smutek/tę radość". W przeszłości ludzie spotykali się wieczorami – zimą w chacie, latem na ławeczce przed domem. Spotykali się, rozmawiali, dzielili tym, co mają. Oczywiście na swój sposób. Chwaląc się, opowiadając historie, plotkując, ale budując w ten sposób interakcje. Każdy mógł się wypowiedzieć. Dziś napięcie rośnie, a nie ma go gdzie wyładować.

Szczególnie podnosi się to w kontekście relacji dzieci z rodzicami, choć zjawisko pogłębił wyraźnie pandemiczny lockdown. Media lewicowo-liberalne remedium widzą w dofinansowaniu psychiatrii dziecięcej. Zgadza się z tym ksiądz?

Co do kondycji systemu opieki zdrowotnej, to nie do końca czuję się kompetentny, by wydać ocenę, ale wiem, że nie chodzi o to, by produkować więcej tabletek przeciwbólowych, ale by usuwać przyczynę bólu, tak żeby nie trzeba było ich brać. Dziś rodziny często są porozbijane, poranione, relacje w nich są zaburzone; mamy podważane permanentnie wartości tradycyjne jak rodzina, wiara, grupa rówieśnicza. Jaka jest odpowiedź? Troska, by dzieci wzrastały w „dobrych" domach. Idealnie byłoby, gdyby w domu byli oboje rodzice, gdyby rozmawiali ze swoimi dziećmi, poświęcali im dużo czasu, a także stawiali wymagania. To właśnie wymagania kształtują człowieka.

Wielu psychologów mówi, że w gabinetach młodzi ludzie podkreślają: „Moi rodzice mnie nie kochają, bo nie stawiają mi granic. Kolega musi być w domu o godz. 21, a ja mogę chodzić, do której chcę". Rodzic uważa, że daje w ten sposób kredyt zaufania, a dziecko odbiera to jako brak troski. Człowiek potrzebuje wymagań, żeby czuł się ważny. O tym mówił, w tak często przywoływanych słowach, św. Jan Paweł II: „Musicie od siebie wymagać, nawet gdyby inni od was nie wymagali. Wbrew wszystkim mirażom ułatwionego życia musicie od siebie wymagać. To znaczy właśnie »więcej być«". Oczywiście dofinansowanie psychiatrii jest niezwykle ważne i konieczne, bo dzięki nim powstało m.in. ponad 300 świetnie działających centrów zdrowia psychicznego. Choć powtarzam – lepiej zapobiegać niż leczyć.

Jednocześnie w tych samych mediach propaguje się ideę, zgodnie z którą rozwód jest dla rozwoju dziecka lepszy niż trudne małżeństwo rodziców.

Dokładnie. Inny przykład to zachowania społeczne. Od dawna – a w ostatnich latach już szczególnie – próbuje się młodzieży powiedzieć, że może i powinna kwestionować cały „świat dorosłych", który próbuje jej stawiać wymagania. Powiedziano, że za pomocą wulgarnych słów można ten świat odrzucać. I część młodzieży to chwyciła. Tylko ci sami ludzie już nie powiedzieli, czym zapełnić pustkę po odrzuconych wartościach. Nie mam na to wewnętrznej zgody, aby w tak instrumentalny sposób traktować ludzi młodych.

Instytut Pamięci Narodowej to legalna instytucja, która wykonuje ogromną pracę. Jeżeli ktoś tego nie widzi, to być może jest ignorantem

Dziś „czarne marsze", a jeszcze kilka lat temu widzieliśmy mocny zryw patriotyczny wśród młodzieży, za sprawą odkrywania dla nich Żołnierzy Wyklętych. Ksiądz jako kapelan Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL z bliska obserwuje, jak ten trend się zmienia.

Ogólnonarodowe poruszenie tematem Wyklętych zmalało, ale jednocześnie stało się bardziej ukierunkowane. W tych przejawach zewnętrznych – jak np. koszulki, udział w uroczystościach – widzimy dość mocny spadek. To jednak nie musi oznaczać nic złego, ponieważ zaangażowanie zmieniło charakter i jest bardziej lokalne. Powstają struktury, stowarzyszenia i społeczne zrywy. Nie wszyscy mówią już o rtm. Pileckim, płk. Cieplińskim czy gen. „Nilu". Coraz częściej poszukuje się lokalnych bohaterów, bliższych naszemu życiu. Zainteresowanie tematem Żołnierzy Wyklętych jest inne, co nie oznacza, że jest gorsze.

Trzeba jeszcze wspomnieć o jednej rzeczy: podjęcie tematu przez władze – czy to centralne, czy lokalne – sprawia, że ludzie czują, iż nie jest konieczne osobiste zaangażowanie. Jeżeli państwo zacznie blokować ten temat, to jestem przekonany, że Polacy powrócą do kultu Żołnierzy Wyklętych. Trochę w geście sprzeciwu, trochę na przekór. Tacy już jesteśmy (śmiech).

No właśnie... Może się okazać, że stanie się to już wkrótce. Mówię, rzecz jasna, o padających ze strony przedstawicieli nowego rządu zapowiedziach likwidacji IPN. Ksiądz sam pracuje w Instytucie.

Po pierwsze, nie wolno straszyć rozwiązaniem instytucji, która działa na rzecz naszej narodowej pamięci. Mam bardzo duży wewnętrzny sprzeciw wobec takiej sytuacji. Polityk, mówiąc „zlikwidujemy IPN", sprawia, że uczciwi ludzie, utrzymujący swoje rodziny, muszą się martwić, iż w imię zemsty politycznej lub polityczno-historycznej stracą pracę. Nie wolno się bawić ludzkimi emocjami po to, by nabić sobie punkty wyborcze.

Po drugie, IPN to legalna instytucja, która wykonuje ogromną pracę. Jeżeli ktoś tego nie widzi, to być może jest ignorantem i należałoby się dowiedzieć, czym jest i co robi Instytut. Jednym z obszarów działania IPN jest prowadzenie poszukiwań i identyfikacji. Ograniczenie finansowania to mówienie rodzinom pomordowanych Polaków: „Być może nigdy nie doczekacie odnalezienia szczątków waszego dziadka, bo my, w imię politycznej zemsty, chcemy zagłodzić IPN".

Po trzecie, Instytut realizuje misję, w której można bardzo dokładnie udokumentować wszystko to, co zostało zrobione, osiągnięcia. Przywołam słowa Kazimierza Pisarskiego, którego ojca, żołnierza, zamordowali komuniści, gdy on miał kilka miesięcy. Stojąc przed kościołem, pokazując na trumnę ze szczątkami, mówi do mnie: „To jest mój tato, proszę księdza". Jeżeli ktoś na to podnosi rękę, to podnosi ją na polską historię i pamięć.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c5017bbff7

Unia kontra kierowcy

Łukasz Zboralski

Unijni politycy chcieli ograniczyć starszym kierowcom ważność uprawnień do kierowania. Jednocześnie branża transportowa wylobbowała u nich, by pozwolić 18-latkom prowadzić ciężarówki. To pokazuje, że hasło „poprawy bezpieczeństwa" jest traktowane różnie – w zależności od tego, jaki interes trzeba ugrać

Unia Europejska ma problem. I widać to od zakończenia pandemii. Urzędnicy postawili sobie ambitne cele ograniczenia liczby ofiar śmiertelnych wypadków drogowych – w 2030 r. miałoby ich być o połowę mniej w Europie względem 2019 r. Jednak w latach 2014–2019 redukcja ta sięgnęła jedynie 6 proc. A do roku 2022 odnotowano w sumie jedynie dziewięcioprocentowy spadek zabitych na drogach.

Pandemia i zamrożenie ruchu pomogło w tej sprawie, ale w latach 2021-2022 odnotowano już znów wzrost zabitych. W 2022 r. życie w wypadkach na terenie UE straciło 20,7 tys. osób, co oznacza, że zginęło o 4 proc. więcej niż rok wcześniej. Liczba drogowych śmierci wzrosła w tym czasie w sumie w 19 krajach, a spadła – czasem tylko nieznacznie – w 13.

Owszem, gdyby na terenie UE nie podejmowano żadnych działań na drogach od 2013 r., trzeba by było powiększyć cmentarze aż o blisko 40 tys. nagrobków. Jednak cel, który miał zostać osiągnięty za siedem lat, mocno się oddalił. Bo oznaczałoby to, że co roku liczba wypadków śmiertelnych musiałaby w Unii spadać aż o 17 proc. To niemożliwe. Nawet kraje zapóźnione pod tym względem, które mogą jeszcze mocno poprawić poziom bezpieczeństwa drogowego, nie wystarczą.

Polska, która w ubiegłym roku wskoczyła z końca zestawienia do średniej unijnej, obcięła liczbę drogowych śmierci aż o jedną trzecią, czyli o tysiąc osób rocznie (tak zadziałało urealnienie mandatów i punktów karnych po 30 latach oraz lepsze prawo w sprawie pierwszeństwa pieszych na przejściach), już kolejnego tak poważnego skoku nie wykona. W tym roku wszystko wskazuje na to, że utrzymamy podobną liczbę zgonów w wypadkach drogowych oscylującą między 1,9 tys. a 2 tys. ofiar. Po prostu wykorzystaliśmy już najłatwiejsze narzędzia. Mamy co prawda jeszcze niedorozwinięty system automatycznego nadzoru nad kierowcami – i właśnie odblokowano na to setki milionów złotych w ramach Krajowego Planu Odbudowy – ale to już i tak nie będzie wielką przemianą. Dalsze zmiany dotyczą przebudowy infrastruktury i będą żmudne oraz długotrwałe.

Z jednej strony mamy więc kraje takie jak Szwecja, Dania, Szwajcaria, Niemcy, Finlandia, w których na milion mieszkańców w 2022 r. ginęło na drogach do 30 osób, a z drugiej mamy wciąż takie kraje jak Chorwacja, Bułgaria, Rumunia, w których ten wskaźnik przekracza 70. Tym pierwszym trudno jest już o mocne spadki, bo wykorzystały wiele narzędzi. Grupie przeciętnej – w której jest Polska – zajmie lata dochodzenie do grupy najlepszych. Krajom z najgorszymi wynikami potrzeba mocnego politycznego przywództwa, które szarpnie kierowców cuglami tak jak niedawno w Polsce.

SENIORZY NA CELOWNIKU

Bruksela zaczęła więc intensywnie szukać pól do poprawy bezpieczeństwa na drogach, które można by zastosować we wszystkich krajach członkowskich odgórnie.

Część z nich ma głęboki sens. To np. prace nad tym, by otrzymanie zakazu jazdy i przekroczenie limitu punktów karnych w jednym kraju członkowskim skutkowało tym samym we wszystkich innych. Kraje UE mają wreszcie zyskać jednolitą bazę i dostęp do wiadomości o uprawnieniach kierowców. Tu zresztą dość dobrze widać, że budowanie jednolitości Unii tam, gdzie to jest łatwe, niekoniecznie jest przez niektórych pożądane. Latem 2023 roku, na uroczystości przyznania Polsce nagrody za największą poprawę bezpieczeństwa ruchu drogowego, przedstawiciel Komisji Europejskiej z Niemiec wił się jak piskorz, gdy pytałem go o to, dlaczego nie można przyjąć np. jednolitych podstawowych limitów prędkości w całej Europie dla dróg szybkiego ruchu, obszarów zabudowanych i dróg pozamiejskich. Każdy kierowca jadący przez UE zawsze wiedziałby, ile może pojechać. Niestety, według komisarza „nie da się" tego zrobić.

Wśród propozycji zmian, którym nadano już kształt projektów, znalazły się i nowe regulacje, które miały objąć seniorów. Pozornie nie bez powodu. Mieszkańcy Unii wciąż się starzeją. Dane Eurostatu z 2022 r. wskazywały, że mediana wieku ludności Unii Europejskiej wyniosła 44,4 roku. Było to o 0,3 roku więcej niż w 2021 r. W ciągu ostatniej

eprasa.pl c5017bbff7

dekady mediana wieku wzrastała średnio o 0,25 roku rocznie z 41,9 roku w 2012 r. Dziś połowa populacji zamieszkującej Stary Kontynent ma więcej niż 44,4 roku.

Najstarsze społeczeństwa to Włochy (mediana 48 lat), Portugalczycy i Grecy (46,1 roku). Niewiele lepiej jest w Polsce, gdzie w ubiegłym roku połowa ludności miała już więcej niż 42 lata.

Najszybciej starzeją się Portugalczycy, wśród których mediana wieku populacji wzrosła w dekadę aż o 4,7 roku. Kolejni są Hiszpanie (4,3), Grecy i Słowacy (4,1) oraz Włosi (4). Polskie społeczeństwo starzeje się też w szybkim tempie, szybszym niż średnia UE – od 2012 r. mediana wieku na Wisłą wzrosła o 3,5 roku.

No dobrze, ale jaki to ma związek z bezpieczeństwem drogowym? Ano taki, że z wiekiem nasz organizm zaczyna działać inaczej. Psuje się wzrok, zatem gorzej widzimy. Czas reakcji się wydłuża. W przypadku młodych ludzi mija 0,6 s, zanim kierowca, chcąc zahamować, w ogóle poruszy nogą w stronę hamulca – z wiekiem ten czas wydłuża się średnio dwukrotnie. A to jeszcze nie wszystko. W rekonstrukcjach wypadków zaczyna się już przyjmować czasy oscylujące wokół 2 s jako reakcję kierowcy na zagrożenie.

Krótko mówiąc: starsi na drodze gorzej widzą, wolniej reagują. A to nie wszystko. Jak wskazują instruktorzy doskonalenia techniki jazdy – a takie zajęcia dzięki samorządowi województwa są darmowe dla seniorów z Mazowsza na Torze Modlin – starsi kierowcy wciąż mają przyzwyczajenia z pojazdów z minionej epoki. Wielu seniorów wciąż nie umie hamować autem z ABS, w którym należy w sytuacji awaryjnej mocno nacisnąć pedał hamulca i nie odpuszczać go, gdy czuć w nim drżenie powodowane przez system niedoprowadzający do blokowania kół.

FOT. ADOBE STOCK

BEZ DYSKRYMINACJI

Zieloni w Parlamencie Europejskim zabiegali więc od dawna, by kierowcy po 70. roku życia nie mieli już ważnych bezterminowo uprawnień do kierowania pojazdami. Proponowano, by seniorzy musieli po przekroczeniu tego roku życia częściej poddawać się badaniom, które przedłużałyby ważność ich praw jazdy.

Na początku grudnia ten pomysł upadł jednak podczas głosowania w Komisji Transportu Parlamentu Europejskiego. Już wcześniej grupa EPL wskazywała, że wprowadzenie obostrzeń dotyczących terminowości uprawnień dla osób starszych byłoby ich dyskryminacją. Tak samo uznano podczas głosowania w Komisji Transportu. Ostatecznie więc seniorzy nie będą mieli ograniczeń w dostępie do prowadzenia pojazdów. Będą podlegać takim samym regułom jak inni. A te reguły mogą się zmienić – projekt zmian zakłada, że prawo jazdy ma być ważne na określony czas. Zgodzono się, że ma to być 15 lat, a w przypadku kierowców zawodowych pięć lat.

Niepewny jest jeszcze los obowiązku badań lekarskich przy odnawianiu uprawnień do kierowania, gdyby powyższe rozwiązanie weszło w życie. Ministrowie do spraw transportu z krajów członkowskich zgodzili się na zezwolenie krajom na wprowadzanie takich badań lekarskich, jednak zgodzili się też, że każdy kraj może zdecydować, iż to sam kierowca w ramach samooceny będzie stwierdzał, czy jego zdrowie pozwala na prowadzenie pojazdów.

Partia Zielonych optuje, by badania lekarskie były wymogiem, a nie opcją przy odnawianiu uprawnień, gdy prawo jazdy na czas określony wejdzie w życie. Tej propozycji nie popierają konserwatyści. Przeciw temu występowała wczoraj m.in. europosłanka Elżbieta Łukacijewska – główna negocjatorka europejskich konserwatystów w sprawie zmian dotyczących prawa jazdy. Zaznaczała, że grupa EPP będzie walczyć o to, by „zachować mobilność i niezależność obywateli", bez narażania ich na „niepotrzebne przeszkody biurokratyczne".

To, że to nie seniorzy są najniebezpieczniejsi na drogach, widać dobrze w polskich danych dotyczących wypadków drogowych. W 2022 r. grupa kierowców 60+ spowodowała w Polsce 3551 wypadki, w których zginęło 361 osób, a 4027 zosta-

eprasa.pl c5017bbff7

ło rannych. W liczbach bezwzględnych jest to skala porównywalna z liczbą wypadków powodowanych przez kierowców młodych – grupa wiekowa 18–24 lata odpowiadała w poprzednim roku za 3059 wypadków, w których życie straciło 281 osób, a rannych zostało 3910 osób.

Jednak grupa 60+ jest bardzo liczna i gdy weźmie się pod uwagę skalę populacji w przedziałach wiekowych, jak na dłoni widać, że najstarsi kierowcy jeżdżą nad Wisłą najbezpieczniej. Wskaźnik liczby wypadków powodowanych na 10 tys. osób w populacji ujawnia, że najczęściej na drogach zagrażali nam w 2022 r. kierowcy w wieku 18–24 lata. Dla nich ten wskaźnik wyniósł 12,01. Drugą grupą najczęściej powodującą wypadki są kierowcy w wielu 25–39 lat (wskaźnik: 7,26), a trzecią kierowcy w wieku 40–59 lat (wskaźnik 5,34).

Wskaźnik powodowanych wypadków na 10 tys. osób dla kierowców z grupy 60+ wyniósł w ubiegłym roku w Polsce zaledwie 3,64. I lepszy wynik mieli tylko nastolatkowie w wieku 15–17 lat (wskaźnik: 1,8) czy dzieci w wieku 7–14 lat (wskaźnik: 0,83).

DZIECI NA TIRY?

Unijni urzędnicy, szermujący hasłem „bezpieczeństwa" w sprawie ograniczania praw do prowadzenia pojazdów seniorom, drugą ręką postanowili załatwić interes biznesu transportowego. I to w sposób, który akurat bezpieczeństwo tylko może pogorszyć.

Otóż firmy z sektora transportu mają dziś problem z pozyskaniem pracowników. Widać to także w Polsce – wakatów jest wiele. Dlatego do pracy od dawna ściągani są obcokrajowcy już nie tylko ze Wschodu, lecz także z Pakistanu czy Indii. Wożą oni już nawet ludzi autobusami w komunikacji miejskiej w różnych miejscowościach.

Biznes postanowił zapewnić sobie dopływ pracowników w sposób zupełnie sprzeczny z rekomendacjami, które w ostatnim raporcie wydała Europejska Rada do spraw Bezpieczeństwa Transportu (ETSC) – napisała ona bowiem w rekomendacjach, że państwa członkowskie nie powinny dopuszczać do obniżania wieku zdobywania uprawnień na żadną kategorię prawa jazdy.

Tymczasem w projekcie zmian prawa w Parlamencie Europejskim znalazły się – i to już jakoś Zielonym nie przeszkadzało – zapisy dozwalające sadzanie dzieci za kierownicę najcięższych pojazdów. Tym bowiem będzie właśnie umożliwienie rozpoczęcia szkolenia do prowadzenia samochodów ciężarowych 17-latkom, a potem samodzielnego prowadzenia pojazdów w wieku 18 lat (choć pod opieką bardziej doświadczonych kierowców).

Wprawdzie kierowcy zawodowi na tle kierowców osobówek powodują znacznie mniej wypadków drogowych (w Polsce nawet mniej niż rowerzyści), jednak nie wszystko to bierze się z bardziej szczegółowych egzaminów badań, które przechodzą – tranzyt ciężarówkami toczy się już głównie drogami szybkiego ruchu i obwodnicami. To najbezpieczniejsze z tras, na których najrzadziej dochodzi do wypadków.

Dziś o uprawnienia do prowadzenia ciężkich pojazdów można ubiegać się w wieku 21 lat.

„Posadzenie nastolatka za kierownicą 40-tonowej ciężarówki grozi poważnymi konsekwencjami dla bezpieczeństwa ruchu drogowego, według danych z krajów, które już na to pozwalają" – ostrzegła ETSC w liście otwartym do ministrów transportu krajów członkowskich. I wskazała na badanie przeprowadzone przez Niemieckie Stowarzyszenie Ubezpieczeń (GDV). Wskazało ono, że kierowcy samochodów ciężarowych w wieku 18–20 lat spowodowali znacznie większą liczbę wypadków skutkujących obrażeniami ciała w porównaniu ze wszystkimi innymi grupami wiekowymi. Dane za lata 2017–2019 wskazywały, że aż 25 proc. najmłodszych kierowców ciężarówek powodowało wypadki, w których ktoś został ranny. Wśród kierowców po 24. roku życia odsetek sprawców takich wypadków spada poniżej 5 proc. i potem jeszcze maleje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c5017bbff7

„Po śniadaniu", 1879 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Sztuka dla nowych czasów

Wiesław Chełminiak

Stolica Węgier oddaje hołd artyście, który „malował tak, jak się oddycha"

Pierre-Auguste Renoir w najśmielszych marzeniach nie liczył, że 100 lat po śmierci jego twórczość będzie aż tak popularna. Rok temu tłumy szturmowały wystawy w Hongkongu i w Tokio, we Włoszech przebojem sezonu wiosenno-letniego była ekspozycja w Rovigo. W Guernsey nadal można oglądać wystawę upamiętniającą 140. rocznicę pobytu artysty na tej normandzkiej wyspie, która wcześniej gościła w Giverny. Od 22 września znakomitym wyborem dzieł Francuza kusi zaś Muzeum Sztuk Pięknych w Budapeszcie.

Właściwie nie ma się czemu dziwić. Sztuka Renoira, współautora uwodzicielskiej legendy belle époque, idealnie pasuje do XXI-wiecznego hedonizmu z jego kultem ciała, słońca i wiecznej młodości. Żywe, intensywne barwy, brawurowe efekty świetlne, dziecięcy zachwyt nad urodą życia... Jakim trzeba być ponurakiem, by nie wpaść w pułapkę zastawioną przez najbardziej przystępnego z impresjonistów?

Styl Renoira ewoluował, ale cel, do którego dążył, był wciąż ten sam. Od początku chciał tworzyć sztukę dekoracyjną i miłą dla oka. „W życiu jest wystarczająco dużo przykrych rzeczy, żebyśmy mieli jeszcze sami produkować brzydactwa" – mówił, gdy zarzucano mu schlebianie burżujskim gustom. Pierre-Auguste wcześnie posiadł wiedzę o upodobaniach klasy średniej. Zaczynał karierę od zdobienia porcelany, wachlarzy i zasłon. W Budapeszcie można podziwiać świecznik w kształcie wazy, ozdobiony frywolnym malunkiem autorstwa utalentowanego nastolatka. Żeby było ciekawiej, właścicielką tego cacka była Coco Chanel.

KUPA GNIJĄCEGO MIĘSA

Kuratorzy wystaw mają z czego wybierać. Renoir rozstawał się z pędzlem i ołówkiem tylko wtedy, gdy spał. Stworzył ponad 4 tys. obrazów. Najwięcej z nich (181) znajduje się w amerykańskiej Filadelfii. Jankesi wykazali się dobrym refleksem. Kupowali dzieła impresjonistów, gdy nie byli oni jeszcze modni. Manet, Bazille czy Cézanne mogli traktować malarstwo jako hobby, gdyż pochodzili z bogatych rodzin. Pierre-Auguste wręcz przeciwnie. Zdarzało się, że przymierał głodem i na piechotę maszerował z Paryża do Fontainebleau, bo nie stać go

eprasa.pl c5017bbff7

było na pociąg ani dyliżans. Nawet kiedy stał się rozpoznawalnym artystą, ojciec krawiec wciąż zarabiał więcej.

W 1878 r. wystarczyło zapłacić 31 franków, by wejść w posiadanie dzieła Renoira. Gdy pod koniec wieku „Bratka" sprzedawano za 22 tys., mistrz uznał, że to gruba przesada. Tymczasem hossa dopiero się zaczynała. Pięć lat po śmierci artysty 16 płócien z późnego, mniej cenionego okresu poszło pod młotek za okrągłe 10 mln franków. W 1968 r. tyle samo kosztował jeden obraz.

Węgrzy chwalą się, że prace Renoira oglądano w Budapeszcie już 120 lat temu. Z prawie 20, będących w posiadaniu tutejszych kolekcjonerów, ostało się jedynie „Popiersie młodej dziewczyny". A teraz dobra wiadomość: autorom wystawy udało się pozyskać niemal wszystkie emblematyczne dzieła Renoira, na co dzień znajdujące się w paryskim Musèe d'Orsay. Tylko „Bal w Moulin de la Galette" zastępuje szkic wypożyczony z Kopenhagi.

„Huśtawka", „La Grenouillère" (wersja ze Sztokholmu) czy „Tors kobiety w słońcu" dokumentują przełom, do którego doszło we francuskiej sztuce w początkach III Republiki. Młodzi malarze zderzyli się wówczas z niechęcią opinii publicznej i wrogością krytyków. Ostatnie z wymienionych płócien porównano z „kupą gnijącego mięsa". Renoir był współtwórcą nowego stylu, tak jak koledzy wyruszał w plener do miejsc, gdzie bawił się i wypoczywał lud paryski. Przewyższał pozostałych impresjonistów empatią. Z identyczną czułością podchodził do obłoków na niebie, kwiatów, psów, kotów oraz ludzi. „Lubię takie pejzaże, po których sam chciałbym wędrować, i kobiece wizerunki, które sprawiają, że chciałbym je objąć i złapać za biust" – przyznawał z rozbrajającą szczerością. Był towarzyski, sporo czasu spędzał w knajpach. Za posiłki ponoć płacił obrazami i rysunkami.

CYGARO, TANIEC, KOBIETY

„Nie mógłbym malować bez modela" – ten cytat otwiera wystawę w Szépművészeti Múzeum. Zanim Renoir stał się rozchwytywanym portrecistą, pozowali mu przyjaciele. Frédérica Bazille'a i Claude'a Moneta uwiecznił przy sztalugach. Wizerunek ojca Alfreda Sisleya, szacownego biznesmena z 1864 r., zaskakuje realizmem. Sukces w oficjalnych kręgach odniósł namalowany 15 lat później konterfekt pani Charpentier, paryskiej lwicy salonowej. W jej mieszkaniu Pierre-Auguste poznał wziętą aktorkę Jeanne Samary.

„Akt leżącej kobiety", 1903 r.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Rudowłosa gwiazda Comédie Française, okrzyknięta następczynią Sary Bernhardt, czy żona kpt. Paula Darrasa sprawiają wrażenie zadowolonych z życia. Podobnie jak panowie pozujący buntownikowi zaakceptowanemu przez stołeczny beau monde. „Degas zwykle portretował męża i żonę w taki sposób, że wyglądali na skłóconych lub znudzonych. Pary Renoira zawsze są szczęśliwe, czy są małżonkami czy też nie" – zauważył złośliwie niemiecki historyk sztuki.

Dysonansem jest nagi „Chłopiec z kotem", nieupubliczniany za życia malarza. Przeważa hipoteza, że modelem był 11-letni Felix Tréhot, brat młodzieńczej kochanki Renoira. Lise urodziła mu dwoje dzieci. Przyczyny i okoliczności rozstania pozostają tajemnicą. Wiadomo tylko, że artysta potajemnie wspierał finansowo swe nieślubne potomstwo. W sali poświęconej portretom umieszczono również obraz „Po obiedzie" z 1879 r. Brat Pierre'a-Auguste'a, Edmond, wyraźnie ukontentowany zapala cygaro. Towarzyszą mu aktorka Ellen Andrée tudzież ubrana na czarno muza malarza Marguerite Legrand, zwana Margot. Pozowała Renoirowi do kilku aktów, m.in. „Torsu kobiety w słońcu". Miała 23 lata, gdy zabił ją tyfus.

Impresjonista znalazł pocieszenie w ramionach pulchnej blondynki Aline Charigot. Unieśmiertelnił przyszłą żonę w „Tańcu na wsi" i „Macierzyństwie", gdy karmi piersią ich najstarszego syna. Z oświadczynami Renoir zwlekał. Zdecydował się, gdy Pierre skończył pięć lat, a jemu samemu zdrowie zaczęło szwankować. Nie ulega jednak wątpliwości, że do końca pozostał wielkim admiratorem płci pięknej.

FESTIWAL NAGUSEK

Wystawa Renoira w Rovigo nosiła podtytuł „Świt nowego klasycyzmu". To aluzja do artystycznej rozterki, w którą malarz popadł, dobiegając czterdziestki. W 1881 r. wyjechał do Włoch i – jak potem wspominał – poczuł się „jak dziecko w szkole". Pod wrażeniem weneckiego i śródziemnomorskiego światła tudzież płócien i fresków Carpaccia, Rafaela, Tycjana oraz Tiepola przestał być impresjonistą. Odszedł od rozmytych konturów i rozjaśnionych barw.

W Rzymie i Pompejach zapoznał się z dziedzictwem antyku. Z dawnych mistrzów nie przypadł mu do gustu tylko Michał Anioł, którego twórczość skwitował jednym zdaniem: „Za dużo mięśni". Podręcznik malarstwa, napisany na początku XV w. przez florentyńczyka Cennina Cenniniego, natchnął Renoira do zmiany techniki. Włoscy kuratorzy uznali ów „powrót do porządku" za zwiastun stylu lat 20. i 30., gdy świat zmęczył się nieco szaleństwami awangardy, a malarze i rzeźbiarze urodzeni na przełomie stuleci podążyli drogą wskazaną przez starzejącego się mistrza.

Francuzi nie zgadzają się z takim postawieniem sprawy. Przypominają, że wcześniej niż Italię Renoir odwiedził Algierię. Dzieła gigantów włoskiego renesansu miał natomiast okazję podziwiać w Luwrze, gdzie za młodu pracował jako kopista. Już wtedy mógł nabrać przekonania, że nie natura, lecz wizyty w muzeach są lepszym źródłem inspiracji. „Zawsze uważałem, że kontynuuję tylko to, co inni znacznie lepiej robili przede mną" – wyznał, będąc już syty uznania. Ci „inni" to jego rodacy: Fragonard, Watteau, Ingres

eprasa.pl c5017bbff7

i Delacroix. Nadal jednak tworzył spontanicznie. W tym sensie nigdy nie przestał być impresjonistą.

Włosi skorzystali z okazji, by w jednym rzędzie z Renoirem ustawić własnych malarzy i rzeźbiarzy z przełomu wieków, którzy z różnych pobudek ulegli paryskim trendom. Węgrzy poprzestali na zareklamowaniu zgromadzonej w Szépművészeti Múzeum kolekcji szkiców i grafik mistrza. Wystawę w Rovigo promowały plakaty z „Kąpiącą się blondynką", z kolekcji właścicieli Fiata, Agnellich. Bratankowie też postawili na akty. Cztery lata temu kosztem 12,3 mln dol. weszli w posiadanie obrazu „Leżąca nago", wcześniej znanego pod bardziej nobliwym tytułem „Odpoczywająca dama".

Modelka Gabrielle Renard nie była damą, lecz kuzynką Aline, sprowadzoną do pomocy przy dzieciach. Spędziła w domu Renoirów 20 lat, by w końcu – ku żalowi mistrza – zdecydować się na zamążpójście i wyprowadzić z Cagnes-sur-Mer. Akt, zestawiony z dwiema innymi wersjami przechowywanymi we Francji, wydaje się kolejnym hołdem złożonym Tycjanowi.

JABŁKO NIEZGODY

„Nie da się wymyślić nic lepszego niż goła kobieta wychodząca z morza lub łóżka" – twierdził nasz bohater, ale czasami pozwalał modelkom pozostać w ubraniach, czesać włosy, grać na pianinie albo gitarze, czytać list lub książkę, praktykować robótki ręczne. Długowłose, leniwe nimfy, które zapanowały nad wyobraźnią starego malarza, może i są bezwstydne, lecz nie wulgarne. Prezentują swe opalizujące ciała, nie mając pojęcia, że mogą wywołać grzeszne myśli. W tej samej konwencji utrzymany jest „Portret modelki z obnażoną piersią", jeden z siedmiu obrazów Renoira kupionych przez Picassa. Z kolei Matisse publicznie zachwycał się płótnem przedstawiającym panie hojnie obdarzone przez naturę, zażywające kąpieli.

Oprócz kobiet patriarcha z Cagnes-sur-Mer lubił malować dzieci i zwierzęta domowe. Dowodem jest portret dziewięcioletniej Julie Manet z kotem. Po przedwczesnej śmierci rodziców Renoir opiekował się dziewczyną, zachęcając, by wzorem wuja Edouarda i matki, Berthe Morisot, chwyciła za pędzel. Równie

„Claude Renoir w kostiumie klauna", 1909 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Huśtawka", 1876 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

„Portret młodej kobiety", ok. 1900 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ochoczo portretował własne pociechy. Claude'a uparł się uwiecznić jako klauna, jednak dzieciak za żadne skarby nie chciał założyć białych pończoch. Ojciec straszył go laniem i oddaniem do przytułku, lecz poskutkowała dopiero obietnica kupna kolejki.

W ostatniej sali wystawy wyświetlany jest trzyminutowy film, nakręcony po 1910 r. Sędziwy artysta siedzi w wózku inwalidzkim, ale bardziej niż zdeformowane dłonie zwraca uwagę jego bystre spojrzenie. Obraz nie kłamie. Wiek i postępujące kalectwo nie zabiły w autorze „Śniadania wioślarzy" radości życia tudzież upodobania do ryzyka i eksperymentów.

Na starość balansował na krawędzi kiczu, nadużywał błękitu, różu, oranżu i czerwieni. Zainteresował się też rzeźbą. Według jego projektów Katalończyk Richard Guino wyprodukował 20 posągów. Do Budapesztu dotarły „Wenus zwycięska" i „Wielka praczka". Bogini w jednej ręce trzyma zdarte z siebie szaty, w drugiej jabłko, którym obdarował ją Parys. Krzepka praczka przysiadła na kamieniu, ona również obywa się bez ubrania.

Listę 70 eksponatów zamykają paleta i pudełko z farbami, których mistrz używał w ostatnich latach. Przeżył małżonkę i (poza Manetem) wszystkich impresjonistów. Doczekał chwili, gdy jego płótna trafiły do muzeów. Prezydent Francji odznaczył dawnego skandalistę medalem Legii Honorowej, a na rynku pojawiły się fałszywe „Renoiry". Kiedyś wyznał, że najlepiej odpoczywa, malując kwiaty, bo praca z modelem zawsze wiąże się z presją. „Kwiaty" – to było ostatnie słowo, które powiedział przed śmiercią.

Za młodu Pierre-Auguste tworzył sztukę, która chciała odzwierciedlać wrażliwość nowej epoki. Z czasem doszedł jednak do wniosku, że całkowite zerwanie z tradycją byłoby ciężkim błędem. Odtąd przestał traktować poważnie rewolucyjne koncepty młodszych kolegów. Wszedł w dialog z klasykami. Jeśli widmo Renoira błąka się po Paryżu, to nie spotkasz go w Musée d'Orsay i Beauburgu, lecz w salach Luwru.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYSTAWA „RENOIR. MALARZ I JEGO MODELE" W BUDAPESZTEŃSKIM MUZEUM SZTUK PIĘKNYCH POTRWA DO 7 STYCZNIA 2024 R. EKSPOZYCJA „RENOIR NA GUERNSEY" ZOSTAŁA ZAMKNIĘTA 15 GRUDNIA 2023 R.

eprasa.pl c5017bbff7

Triumf albo zgon

Piotr Gociek

Cztery wersje przyszłości Polski – większość niewesoła. Tetralogia Jacka Inglota to fascynujące rozważania o rozdrożu historii

Polska będzie mocarstwem albo nie będzie jej wcale – mówił mi Jacek Inglot w 2016 r., gdy nagrywaliśmy telewizyjny program „Literatura na trzeźwo", poświęcony jego książce „Polska 2.0". To odwołanie do słów Piłsudskiego było aktualne wtedy, a dziś okazuje się jeszcze ważniejsze. Inglot prezentował wtedy czytelnikom dwie wersje przyszłości: radosną i ponurą, zestawiając je w jeden tom. „Jest rzecz, która łączy obydwie wersje przyszłości wykreowane przez Jacka Inglota" – pisałem w recenzji na łamach „Do Rzeczy" (nr 32/2016). „To przekonanie, że nasz kraj za kilka lat wkroczy, a może i już wkroczył, w najważniejszy moment swej historii od czasu odzyskania niepodległości w roku 1918".

Przełomowe chwile trwają krótko. Czy nadszedł już czas, by powiedzieć – niczym bohaterowie filmu „Easy Rider" w ponurym finale – „Spieprzyliśmy to"? Ja dziś o literaturze, nie o polityce, ale przecież obydwa te światy splatają się w prozie Inglota nie dlatego, że chciał napisać książki perswazyjne, tylko dlatego, że patrzy na rzeczywistość trzeźwo i pamięta, że idee mają konsekwencje.

W posłowiu do wznowienia „Polski 2.0" pisze: „Celem tej książki nie było jednak detaliczne przewidzenie konkretnych zdarzeń – tym zajmują się jasnowidze, nie pisarze science fiction – lecz wskazanie na tendencje, prowadzące ku mogącym potencjalnie zaistnieć zjawiskom czy procesom. Na tym polu odniosłem sporo sukcesów, zwłaszcza jeśli chodzi o część pierwszą, trafnie przewidując rosyjski ekspansjonizm i wojnę w Ukrainie (w tym wypadku pomógł mi George Friedman, którego futurologicznej wizji z dzieła »Następne 100 lat uwierzyłem«, jak się okazuje, słusznie), prawidłowo też przewidziałem ważną rolę dronów w przyszłych zmaganiach".

ROZDROŻE HISTORII

Siedem lat po premierze książki Inglot uznał, że do dwóch już przedstawionych projekcji przyszłości może dołożyć „kolejne dwie, równie prawdopodobne i potencjalnie możliwe, stąd pomysł »Polski 3.0. Znowu Breslau« i »Polski 4.0. Wielkiej Zmiany« – uznałem, że prawdziwe rozdroże historii, na którym obecnie stoimy (a właściwie się obracamy), powinno się klasycznie składać z czterech dróg". Całość ukazała się w twardej oprawie nakładem wydawnictwa Stalker Books – tu ważna uwaga dla wszystkich, którzy chcą te książki przeczytać: można je nabyć jedynie na stronie wydawcy, czyli w księgarni internetowej Esef.com.pl.

Zanim przejdę do tych najnowszych konceptów przyszłości, przypomnę te opisane w „Polsce 2.0". W „Wojnie dronów" Jacek Inglot jest optymistą i opowiada o mocarstwowej Rzeczypospolitej. Jest rok 2037, Polacy po wycofaniu się Amerykanów z Europy stworzyli blok państw zwany Wyszehradem. Wygrali wojnę z Rosją, obronili Grecję przed Turcją, przyjęli do nowej wspólnoty kraje bałtyckie i Chorwację. Nowa Polska asymiluje żółtych, czarnych i mieszanych, jest nowym centrum Europy. Promieniuje dookoła niczym dawna Ameryka ze swoim mitem „miasta na wzgórzu".

W „Burzy planetarnej" mamy ten sam rok 2037, ale przyszłość jest zupełnie inna. Kierowana przez skrajnych populistów Polska jest chorym człowiekiem Europy, granice są zamknięte i strzeżone niczym w PRL, rządzący dokonują czynów haniebnych i krwawych, byle tylko utrzymać władzę. Taka Polska jest krainą nędzy, bezrobocia, zacofania i beznadziei. Takiej Polski nie da się już reformować, można ją najwyżej z bólem serca porzucić. I rzeczywiście, tak jak w pierwszej mikropowieści jasną przyszłość daje Polakom oświecony dyktator, tak w drugiej historii zawartej w „Polsce 2.0" inna silna jednostka, miliarder Tarkowski, nasza słowiańska wersja Elona Muska, rozpoczyna budowę nowej Rzeczypospolitej – bardzo daleko od Europy. A dokładnie w podwodnych osiedlach na dnie Pacyfiku.

Trudno nie uśmiechnąć się z podziwem nad tym, jak zręcznie wykorzystuje Inglot skrawki rzeczywistości, by tkać niesamowite obrazy przyszłości: pamiętacie, jak wykpiwano Mariusza-Oriona Jędryska, gdy został prezydentem Zgromadzenia Międzynarodowej Organizacji Dna Morskiego? A jeszcze bardziej szydzono z tego, że zgodnie z traktatami międzynarodowymi Polska jest posiadaczem podwodnej działki wydobywczej nieopodal Hawajów (75 tys. km kw.). „Sięgamy dna" – rżał niejaki Juliusz

eprasa.pl c5017bbff7

Ćwieluch w „Polityce". Prawda jest taka, że pod dnem kryją się złoża metali warte grube miliardy, bezcenne zaplecze surowcowe dla Polski. Ale gdzieby tam w „Polityce" na serio o przyszłości Polski.

Poważny jest za to Inglot i nie bierze jeńców. Oto wizja kolejna – przechodzimy już do świeżutkiej „Polski 3.0". Część zatytułowana „Znowu Breslau" rozgrywa się w jeszcze innym strumieniu czasowym. We Wrocławiu na billboardach wiszą hasła „Nowy kraj, nowy ład, nowe życie" czy „Nowa Ojczyzna dobra dla każdego", zakłady komunalne dawno wykupione zostały przez Niemcy, fast food serwowany jest ze świerszczy i innych owadów, chyba że ktoś woli wegetariańską pitę, a darmowa komunikacja publiczna ma zapewnić odpowiednio wysoką frekwencję w głosowaniu (żeby było ważne). Jakie to głosowanie? Ano w referendum decyduje się, do kogo należeć ma region, i nazbyt wiele wskazuje, że zdaniem młodych, postępowych i europejskich wyborców na pewno nie powinni to być polkatole zepchnięci do podziemnego ruchu oporu. Niech żyje Europa regionów, nie ojczyzn! Główny bohater niczym postać z „Małej apokalipsy" błąka się po tym obłąkanym świecie (który zarazem zadziwiająco zdaje się realny, gdy popatrzymy w plany ekolewicy), poszukując gestu, który będzie symbolicznym aktem niezgody, a być może i zdoła coś zmienić, zatrzymać.

„Dla każdego czytelnika jest oczywiste, że patronowała mi »Mała apokalipsa« Tadeusza Konwickiego (motto i imię głównego bohatera są nieprzypadkowe), choć nie chodziło mi o prosty pastisz" – pisze w posłowiu Inglot. „Raczej o wskazanie, że historia lubi się powtarzać, a jeśli już poprzednio była farsą, to teraz może być tylko megagroteską, i to do kwadratu albo i sześcianu. Dlatego mojej powieści patronuje także dwóch innych wielkich polskich pisarzy z ubiegłego wieku, mistrzów groteski i absurdu – Stanisław Ignacy Witkiewicz i Witold Gombrowicz". W tej wersji świat kończy się nie z hukiem, nie ze skomleniem, lecz z chichotem wariatów. Świat, czyli Polska.

„Polska 4.0. Wielka zmiana" to antyutopia, w której kraj rozpada się na dwie części, ale nie są to protektoraty zaborców, lecz strefy zasiedlenia, realizacja postulatów niektórych „Silnych Razem", którym marzy się wyrzucenie „pisowców" na Podkarpacie bądź dokądkolwiek. Fajnopolacy mają „Wolną Polskę", a polkatole swoje osobne terytoria, gdzie żyją po staremu. Oczywiście był i epizod wojny domowej – fajnopolaków przeciw polnaziolom. Niby wszystko się unormowało i każdy żyje, jak chce. Ale tak naprawdę historię wprawia w ruch wielki plan Wielkiej Zmiany. Główna bohaterka, lesbijska policjantka, rozważa: „Ostatnio zwróciłam uwagę na analizę zajmującą się demografią obu stref: polkatolska kurczyła się coraz wyraźniej, mimo »naturalnej« rozrodczości, z roku na rok coraz niższej, poza tym młodzież gremialnie przenosiła się do Wolnej Polski, co oczywiście jeszcze pogarszało wskaźniki […]. Wygrywali, dzień po dniu, stopniowo, tak jak sobie autor Wielkiej Zmiany założył". Kto i dlaczego jest autorem tego pomysłu, zdradzał nie będę, nie chcę przyszłym czytelnikom Inglota psuć lektury. A wszystkie te cztery książki przeczytać trzeba koniecznie. „Nie wiem, która postać Polski się zmaterializuje – wiem, że przyszłość musi się zdarzyć". Tymi słowami zamyka Inglot swoje posłowie do „Polski 4.0". Ale jaka?

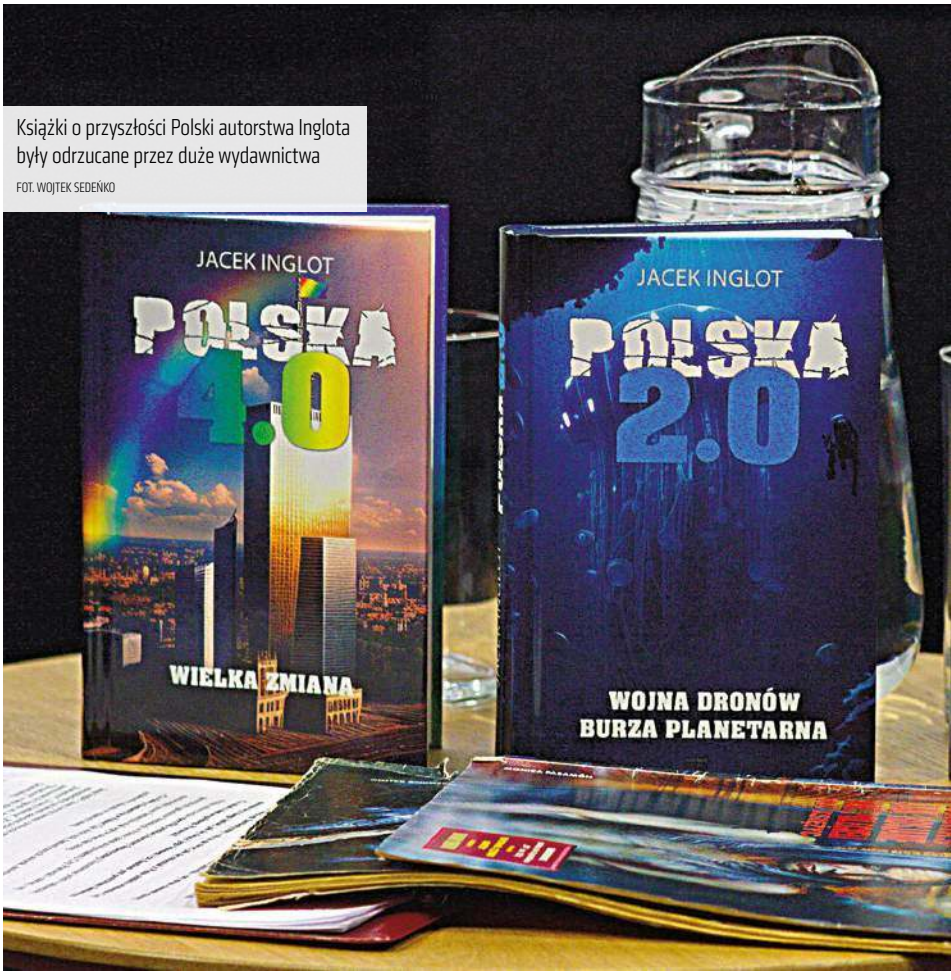

Książki o przyszłości Polski autorstwa Inglota były odrzucane przez duże wydawnictwa

FOT. WOJTEK SEDEŃKO

KASANDRA

Jacek Inglot w roli Kasandry niektórym może się wydać marudzącym tetrykiem, dla innych będzie zbyt bezczelny, a już na pewno mainstream zawyje po przeczytaniu „Polski 3.0" i „Polski 4.0" (jeśli je przeczyta). Nie zmienia to tego, że jest Inglot jednym z najlepszych polskich autorów fantastyki minionych trzech dekad, że wciąż pisze świetnie, że jest pisarzem osobnym, który nie goni za modami i sięga po pióro wtedy, kiedy ma coś do powiedzenia. Nie jest więc twórcą bestsellerów. I tak pewnie pozostanie. „Od lat żywię przekonanie, że większość Polaków to ludzie bez wyobraźni, którzy na dodatek boją się myśleć o przyszłości – zastanawianie się nad czymkolwiek odleglejszym niż następny tydzień wydaje im się sprawiać ból wręcz fizyczny" – wyznaje Inglot. Człowiek, który dla współczesnej polskiej fantastyki zrobił

eprasa.pl c5017bbff7

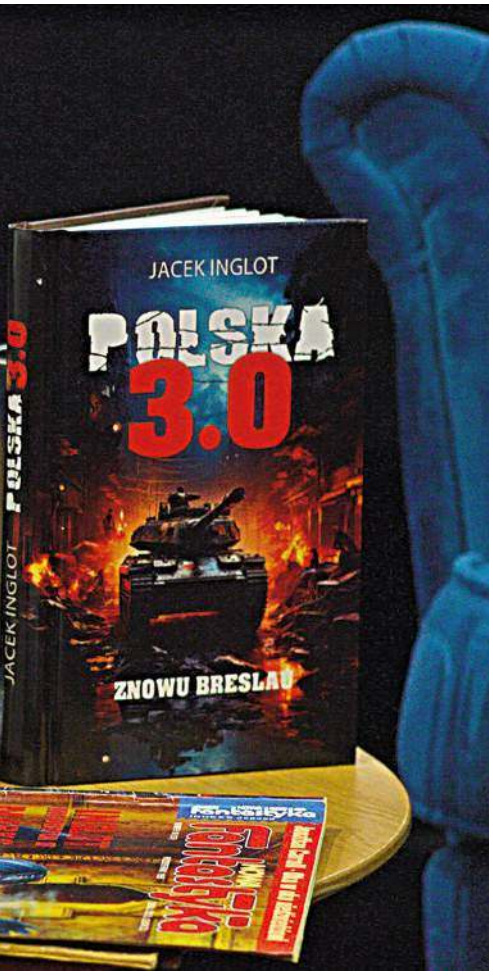

Jacek Inglot, pisarz, krytyk i recenzent

FOT. WOJTEK SEDENKO

bardzo wiele – wspomnijmy choćby najlepszą polską historię alternatywną, czyli powieść „Quietus". Jest też pisarzem bardzo nietypowym, bo niewyhodowanym na fanowskich fascynacjach hałaśliwą popkulturą, tylko na Mickiewiczu, Słowackim, Witkacym, Gombrowiczu czy Konwickim. Krótko mówiąc, jest kimś, kto o literaturze myśli poważnie.

Zawody fantasty i polityka mają wiele wspólnego: w obu trzeba się zastanawiać nad tym, co może pójść nie tak

Od lat powtarzam, że zawód fantasty i polityka mają ze sobą wiele wspólnego. W obu profesjach najważniejsze jest zastanawianie się nad tym, co może pójść nie tak. Tyle tylko, że pisarze czytają polityków, a politycy zwykle nie czytają fantastów. Tu dochodzimy do kwestii najsmutniejszej: tego, kto i o czym chce oraz może dyskutować. Kto i kogo może czytać. A ta dyskusja okazuje się powrotem do rozmowy o tym, kto w Polsce kontroluje kanały dystrybucji prestiżu oraz agendę literackich dyskusji. Pamiętam czasy, kiedy „Aksamitny anschluss" Eugeniusza Dębskiego, rzecz o ponownym niemiecko-rosyjskim rozbiorze Polski, mógł się ukazać (lata 90.) w SuperNowej obok książek Sapkowskiego. Pamiętam jak w owej dekadzie Rafał A. Ziemkiewicz zdobywał nagrody Zajdla (najważniejsze w polskiej fantastyce) za powieści „Pieprzony los kataryniarza" oraz „Walc stulecia", które w poważniejszy i mądrzejszy sposób niż „Aksamitny anschluss" zmagały się z polskim fatum – ponurymi sąsiadami i ponurą przyszłością. Obie książki ukazały się zresztą w tej samej SuperNowej, w tej samej serii co Sapkowski.

Jaki zaś był los dyskusji o Polsce zaproponowanej dziś przez Inglota? „Polska 2.0" raczej zignorowana. Konspekty ciągu dalszego odrzucone przez dwóch dużych wydawców. Wreszcie po latach pisarz wraca do porzuconego projektu i efekt końcowy wydaje w firmie zacnej, lecz niestety niszowej, bo wspomniany Stalker Books dystrybuuje swoje nowości jedynie na konwentach fantastyki i na jednej stronie internetowej. Nie wszystkim wolno to samo. Kiedy Żulczyk pisze słabą okrutnie opowieść fantastyczną „Czarne słońce", przesyconą paranoją (antypisowską, antynaziolską, antykatolską etc.), jego książka straszy z witryny każdej księgarni. No ale widzicie, lęki Żulczyka są postępowe, europejskie i słuszne, a lęki Inglota – wręcz przeciwnie. Nie mam więc wątpliwości, że jeśli tzw. mainstream tetralogię „Polska" zauważy, to najwyżej jako temat do żartów w felietonie Ćwielucha czy Vargi. Nic to. Każdy z czytelników czytających te słowa może w rozmowie z Inglotem wziąć udział, sięgając po książki dużo bardziej drażniące i ciekawsze od przeważającej większości tego, co dziś sprzedaje się jako „polską literaturę współczesną".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c5017bbff7

Bicz satyry na

Dariusz Wieromiejczyk

Serial „1670" jest nudny, przewidywalny i zaskakująco nieśmieszny

Widzowie „Netflixa" oglądać właśnie mogą nowy polski serial komediowy zatytułowany „1670". Towarzyszą mu intensywna kampania reklamowa i entuzjastyczne recenzje krytyków. Są one zaskakująco jednomyślne – recenzenci porównują „1670" do filmów Monty Pythona, komedii Stanisława Barei, piszą o „mistrzowskim scenariuszu" i gwarantowanym sukcesie nowej produkcji Netflixa. Od dawna nie czytałem tak zgodnych i harmonijnie zorkiestrowanych zachwytów. Popadające w egzaltację recenzentki (większość znalezionych w Internecie tekstów wyszła spod pióra kobiet) już dziś obwołują serial „jedną z najbardziej udanych komediowych produkcji tego roku (a może nawet i kilku ostatnich lat)". Autorka recenzji w gazecie.pl zaczyna swą pieśń pochwalną słowami: „Jestem tak nieprzyzwoicie zachwycona i urzeczona, że nie wiem, co zachwalać najbardziej". Recenzentka portalu film.org.pl zatytułowała tekst słowami: „Klękajcie narody! Przed wami prawdziwie polski serial o prawdziwych Polakach", a portal Rzeczpospolita.pl zapowiada recenzję słowami: „»1670« to nowy »Miś«. Serial Netflixa nie uznaje tabu".

Moim zdaniem serial „1670" jest nudny, przewidywalny i zaskakująco nieśmieszny. Wiem, że dźwigając już szósty krzyżyk na karku, nie należę raczej do grupy widzów, dla których przeznaczona jest ta produkcja. Poczucie humoru jest darem Bożym, rozdzielonym wśród ludzi bardzo nierównomiernie. Ma ono wiele rodzajów i to, co śmieszy jednego, dla drugiego może być drętwym sucharem. Całkiem możliwe, że pokolenie dzisiejszych 20-, 30-latków rży z radości, oglądając coś, co odbieram jako żarty zbyt często wysilone i żenujące. Zdecydowałem się więc przedstawić serial Netflixa nie swoimi słowami, a frazami zachwyconych nim krytyków. Mam nadzieję, że nie tylko opiszą one sam serial, lecz także dadzą obraz umysłowej formacji ludzi recenzujących „produkcję kulturalną" w mediach „głównego nurtu".

„SWOJSKO" I „PRZEWROTNIE"

„Oczywiście, tak jak scenarzyści »The Office«, osoby odpowiedzialne za »1670« mają serce po właściwej stronie i nie powielają krzywdzących stereotypów, lecz bardzo sprawnie i celnie je obśmiewają. Podobnie jak wiele innych brzydkich zjawisk, takich jak patriarchat, dyskryminacja mniejszości, klasizm czy religia. Przeciwwagę dla zacofanego otoczenia stanowi tutaj Alina (Martyna Byczkowska), córka Jana Pawła (Bartłomiej Topa) – feministka zatroskana o losy chłopów i przyszłość planety" (Film.org.pl).

„Główny bohater, szlachcic Jan Paweł (świetnie się tu sprawdza komediowe wyczucie Bartłomieja Topy), pragnie być »najsłynniejszym Janem Pawłem w historii Polski« i skupia się na nienawiści do bardziej światłego sąsiada. Jego żona Zofia (Katarzyna Herman) w wolnej chwili leży krzyżem w salonie […]. Córka Aniela (Martyna Byczkowska) jest świadoma politycznie i walczy o równość, ale gdy chłopki proponują jej jedzenie i gorącą kąpiel, to na chwilę zapomina o rewolucji […]. Ale największą gwiazdą, istnym Stephensonem 2-18 tej galaktyki, jest Jakub, drugi syn Jana Pawła. Jako młodszy syn nie otrzymałby nic ze spadku, więc przystąpił do duchowieństwa. Wcielający się w Jakuba Michał Sikorski, przypominający w charakteryzacji członka rodziny Adamsów, ubiera swoją postać w odpryski stereotypowych polskich duchownych z każdej epoki. Opłatę pobiera przed posługą, a gdy słyszy, że do wsi może dotrzeć choroba, zaczyna sprzedawać pakiety mające zapewniać dodatkową opiekę świętych. Bez żenady wykorzystuje ciemnotę wiernych i własne stanowisko, by jak najwięcej ugrać dla siebie" (Onet.pl).

„Albo kiedy Jan Paweł mówi, że wszystko sam osiągnął ciężką pracą swoich chłopów, a jeden ze szlachciców tłumaczy: »Bóg, honor, ojczyzna – trzy

eprasa.pl c5017bbff7

Sarmatów

FOT. ROBERT PAŁKA/NETFLIX

najczęstsze przyczyny zgonów polskich szlachciców«, też jest swojsko, choć przewrotnie [...]. Istnieje duża szansa, że bardzo konserwatywni i przywiązani do tradycyjnych wartości widzowie mogą tego poczucia humoru nie zrozumieć. Ich strata" (Gazeta.pl).

ZIDEOLOGIZOWANIE DZIENNIKARZY

Odnoszę wrażenie, że pisane językiem walki klasowej recenzje nie tylko pokazują zideologizowanie „postępowych" dziennikarzy, lecz także mówią nam wiele o walorach opisywanego serialu. Czego nie powiedzieli tropiący „klasę ciemiężycieli" recenzenci, dopowiadają aktorzy. Grający rolę „najsłynniejszego Jana Pawła" Bartłomiej Topa w wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej" pozwala czytelnikowi przenieść się do „słusznie minionych" czasów.

„Ja jestem ze wsi i jakoś mnie chyba zdrowo ustawia to moje chłopsko-robotnicze pochodzenie – choć rodzice mi dali edukację, całej trójce rodzeństwa możliwość skończenia szkoły muzycznej" – ogłasza dumny z klasowej przynależności aktor.

W sielankowym niczym odpoczywający po pracy traktorzyści obrazie pojawia się jednak pewien zgrzyt. Jak poinformowały przed trzema tygodniami branżowe media, „dyrekcja amerykańskiej platformy streamingowej Netflix postanowiła w trybie pilnym rozstać się z producentką Anną Nagler, która od trzech lat pełniła funkcję dyrektor ds. seriali na Europę Środkowo-Wschodnią". To właśnie Anna Nagler pilotowała produkcję tak zachwalanego przez polskich recenzentów serialu „1670". Informacja o jej „pilnym" i ze wszech miar nieoczekiwanym zwolnieniu nie została niestety w żaden sposób zinterpretowana przez zachwyconych „kultowymi" żartami publicystów. Producentkę „oszałamiającego sukcesu" zwalnia się kilkanaście dni przed premierą?

REŻ. MACIEJ BUCHWALD, KORDIAN KĄDZIELA „1670" NETFLIX 2023

Spróbujmy uzupełnić tę lukę. Ośmioodcinkowy serial „1670" kosztował Netflixa grubo ponad 20 mln zł. Jego potencjał na jakimkolwiek światowym rynku poza Polską jest żaden – siermiężna lewicowa publicystyka uderzająca w narodowe wady Polaków nie interesuje na świecie nikogo. Wyszydzanie polskiej religijności i toporne dowcipy z husarzy mają może jakiś powab dla otumanionych wzajemną nienawiścią polskich plemion – i dla nikogo więcej. Hołdownicze porównania serialu do wyśmiewającego epokę carycy Katarzyny serialu „Wielka" lub parodiującego „Wikingów" serialu „Norsemen" są zupełnie chybione. Polacy nie stworzyli nośnego w globalnej popkulturze stereotypu polskiej historii – więc parodiowanie przywar Sarmatów nie jest dla nikogo, poza nimi samymi, atrakcyjne ani czytelne. Pieniądze zainwestowane w polską „publicystykę historyczną" raczej się Netflixowi nie zwrócą.

Pamiętajmy też, że amerykańskie korporacje medialne są, czego nikt w Stanach Zjednoczonych nie ukrywa, narzędziem realizowania celów politycznych światowego hegemona. Po przejęciu przez Elona Muska portalu Twitter ujawniono, że był on nafaszerowany ekspracownikami służb specjalnych bardziej niż bakaliami świąteczny makowiec.

Całkiem niedawno prezydent Joe Biden straszył swoich wyborców Rosjanami na polskiej granicy i konfliktem, w którym ginąć mogą „amerykańscy chłopcy". Czy promowanie w Polsce obrazu nieudolnych husarzy, którzy w każdej bitwie udają martwego, a w niewoli jest im znacznie wygodniej niż w domu, naprawdę jest przekazem na czasie? Czyżby, jak wielekroć w historii bywało, wzajemne opluwanie się naszych „elit" musiał ujmować w karby mądrzejszy od nas, choć niekoniecznie życzliwy naszym rzeczywistym interesom sojusznik? Tak czy owak, dyrektor Anna Nagler już w Netflixie nie pracuje, a szanse na kolejny sezon „kultowej" dla „uświadomionych klasowo" widzów produkcji wydają mi się bardzo mizerne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c5017bbff7

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

★★★★★☆

REŻ. SAM FELL „UCIEKAJĄCE KURCZAKI: ERA NUGGETSÓW" („CHICKEN RUN: DAWN OF THE NUGGET")
WIELKA BRYTANIA 2023, ANIMOWANY

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Kurczak potrafi

Niemal ćwierć wieku minęło, więc hodowcy kurczaków stali się sprytniejsi, a same kurczaki – odważniejsze. Ale tylko te, którym udało się prysnąć z farmy pani Tweedy w finale „Uciekających kurczaków" (2000). Dziś Ginger, Rooster i reszta ferajny żyje bezpiecznie na wyspie pośrodku jeziora. Ale gdy ich córka Molly da się zwieść opowieści o szczęśliwej farmie i ucieknie z domu, wtedy trzeba będzie rozpocząć ekspedycję ratunkową.

„Uciekające kurczaki" były parodią filmów o ucieczkach z obozów, ciąg dalszy („Uciekające kurczaki: Era nuggetsów") to już zabawa motywami z serii o Bondzie. Rzekomo „szczęśliwa farma" to twierdza strzeżona pilniej od kryjówek Blofelda, nie zabraknie też szalonego (ale na szczęście fajtłapowatego) naukowca.

Nowe „Uciekające kurczaki" są równie zabawne jak poprzednie i chyba bardziej przystępne dla familijnej widowni od oryginału, który był jednak zabawą mroczną (nieustanne aluzje do wojennej, obozowej rzeczywistości). Teraz także idzie o życie więzionych (i ogłupianych) na futurystycznej farmie ptaków, ale opowieść jest o ton cieplejsza.

Reżyser Sam Fell (znamy go jako twórcę m.in. „Wpuszczonego w kanał") dopisuje kolejny sukces do listy dokonań studia Aardman (serie „Wallace & Gromit" czy „Baranek Shaun"). Jego film spodoba się dzieciakom i rozbawi dorosłych; ja nie miałem takiej frajdy, odkąd oglądałem „Iniemamocnych" Brada Birda. Choć rzecz zrobiona została na zamówienie Netflixa, to nie ma w niej ani krzty indoktrynacji, jest za dużo brytyjskiego humoru, co najlepiej możemy docenić, oglądając wersję oryginalną z napisami, czyli słysząc całą rewię akcentów z Wysp.

Jednej rzeczy obronić się nie udało, czyli aktorów z pierwszej części w głównych rolach. Głosem koguta Roostera nie jest już Mel Gibson, którego zastąpił Zachary Levi. Z kolei w roli Ginger zamiast Julii Sawalha słyszymy Thandiwe Newton. Na szczęście Miranda Richardson powraca jako straszna pani Tweedy. Jedynymi niezadowolonymi po seansie mogą być miłośnicy fast foodu oraz notoryczni drobiożercy, ale chybna nawet oni będą odtąd nieco inaczej patrzeć na opakowania z napisem „od szczęśliwej kurki". ©℗

NOWE SERIALE: „W NIEMIECKIM DOMU"

„Deutsches Haus" to restauracja, którą prowadzi rodzina Bruhnsów, a także symbol powojennych Niemiec Zachodnich. Niemiecki dom pełen jest tajemnic i niedopowiedzeń. Młoda Eva odkryje podczas procesu oświęcimskiego, że jej prywatna historia łączy się z dziejami wielkiej zbrodni. Udana serialowa ekranizacja powieści Annette Hess. Przesłanie jasne: w niemieckim domu trzeba posprzątać, bo wciąż wszyscy uważają się za niewinnych. ©℗

Piotr Gociek

- *twórca: Annette Hess* ***„Niemiecki dom" („Deutsches Haus")****, Niemcy 2023*

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Christos Nikou* ***„To może boleć" („Fingernails")****, USA 2023* (tv+)
- *reż. Tim Brown* ***„Plan emerytalny" („The Retirement Plan")****, USA 2023* (CINEMAN)
- *reż. Nicol Paone* ***„Interes życia" („The Kill Room")****, USA 2023* (polsat box go)

eprasa.pl c5017bbff7

sky SHOWTIME

Na krawędzi zagłady

„Muszę dokonać w życiu czegoś wyjątkowego!" – marzy niedoszły laborant i weteran amerykańskiej interwencji w Iraku. Dobry Bóg spełni to życzenie: Dan będzie miał okazję ocalić ludzkość, zaatakowaną przez wyjątkowo krwiożerczych kosmitów. A przy okazji skonsolidować swoją rodzinę (Spielberg lubi to). Nie ma to jak film klasy B z 200-milionowym budżetem. Mózg odpoczywa, tylko produkcja endorfin idzie pełną parą. Fantastyka militarna z zasady nie jest adresowana do wielbicieli prozy Prousta, lecz twórcy „Wojny o jutro" traktują widzów jak skończonych idiotów. Oczywiście już w epoce teatru działali (i zwyciężali) autorzy żerujący na pomysłach poprzedników. Strzelba, pokazana w pierwszym akcie, w ostatnim musiała wystrzelić. Tutaj też nikt i nic nie pojawia się na ekranie przypadkowo. Wszystko jest wtórne, od megatwardziela, który potrafi łzę uronić, do łebskich Murzynów i tuneli czasoprzestrzennych. Czasem McKaya i spółkę stać na realizm: słusznie uznali, że nie każdy człowiek pali się do zdobycia pośmiertnego orderu za ofiarność i odwagę. Zwykle jednak marnują fabularny potencjał. Skoro bestie najpierw pojawiły się w Rosji, to można było nakręcić scenę z Putinem, daremnie próbującym ukryć się w bunkrze. Zamiast do kin film trafił na rynek wtórny. Czy aby na pewno tylko z powodu pandemii? ©℗

★★★☆☆☆
REŻ. CHRIS MCKAY
„WOJNA O JUTRO" („THE TOMORROW WAR")
USA 2021
wyst. Michael Pratt, Yvonne Strahovski, J.K. Simmons

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SYLWESTER Z SINATRĄ

prime video

Co może być wyzwaniem godnym eksspadochroniarzy, którzy z niewielką pomocą polskojęzycznych czterech pancernych wygrali drugą wojnę światową? Zdobycie Las Vegas, a dokładniej zawartości sejfów pięciu największych kasyn. Organizator skoku, Danny Ocean, kocha ryzyko, lecz jego plan ma ręce i nogi. Panowie zamierzają przystąpić do akcji, gdy ochrona traci czujność, czyli w noc sylwestrową. Ten klasyk heist movie jest w gruncie rzeczy poczciwą, seksistowską komedią z elementami musicalu (gdy ma się w obsadzie gwiazdy estrady, trzeba to wykorzystać). Na szczęście nonszalancja Sinatry i jego kumpli uratowała „Ryzykowną grę" przed osunięciem się w banał. Frank występował w amerykańskiej stolicy hazardu przez 43 lata, był nawet właścicielem jednego z kasyn. Pewnie dlatego w filmie zamiast włoskiej mafii pojawia się enigmatyczny, lecz wszechmogący pan Santos. Czwarta gwiazdka za finałowy twist. ©℗

★★★★☆☆
REŻ. LEWIS MILESTONE
„RYZYKOWNA GRA" („OCEAN'S ELEVEN")
USA 1960
wyst. Frank Sinatra, Dean Martin, Sammy Davis Jr.

PARYSKI SPLEEN

KINO

We Francji życie okołofilmowe zawsze trąciło nepotyzmem, więc Philippe Garrel, obsadzając w głównych rolach troje własnych dzieci, żadnego faux pas nie popełnił. „Wielki wóz" jest zresztą dziełem poniekąd autobiograficznym. Traktuje o nieuchronnym przemijaniu form sztuki. „Rozpad zagrażający rodzinnej firmie lalkarzy jest metaforą świata, w którym zanikają tradycje". A mówi to pogrobowiec sławetnej paryskiej rewolucji 1968 r. Jego bohaterowie również mają serca po lewej stronie. Od babci – komunistki, dumnej z aktu apostazji – do wnuczki, która walczy ze złem, obnażając się na Polach Elizejskich. Tytułowy teatrzyk to mikrokosmos. Ktoś się rodzi, ktoś umiera, miłość się kończy lub zaczyna, jeden idealista robi karierę, drugi wręcz przeciwnie. Gdy reżyser zaczyna gonić w piętkę, do akcji wkracza narratorka, przed którą przyszłość nie ma żadnych tajemnic. Marionetki, wszystko marionetki ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★★☆
REŻ. PHILIPPE GARREL
„WIELKI WÓZ" („LE GRAND CHARIOT")
FRANCJA/ SZWAJCARIA 2023
wyst. Louis Garrel, Damien Mongin, Esther Garrel

GRA TYGODNIA: „ROBOCOP: ROGUE CITY"

★★★★☆☆

Kto pamięta trzask wsuwanej do magnetowidu kasety VHS; kto „nie przewijał na podglądzie, bo się zniszczy"; komu nie przeszkadzał kaszel czy inne odgosy sali kinowej uwiecznione na kasecie oryginalnopodobnej, ten doceni klimat i odniesienia do filmowego pierwowzoru. Gra polskiego studia jest lepsza, niż się spodziewaliśmy. Wygląda świetnie, jest dynamiczna, soczysta, wypełniona po brzegi satysfakcjonującymi strzelaninami. Co rusz puszcza oko do starszych graczy, którzy poczują się jak u dobrego kumpla, gdy cyfrowy RoboCop przemówi głosem Petera Wellera. ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** ***akcji***
- ***Platforma:*** ***PS5, XSX, PC***
- ***Producent; wydawca:*** ***Teyon; Nacon***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c5017bbff7

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Duch przygody

To już ósme wydanie „Syberii" Jacka Pałkiewicza, pierwotnie będącej reportażem z wyprawy, którą ten wytrwany podróżnik zorganizował i przeprowadził jeszcze przed końcem komunizmu, u samego jego schyłku – w 1989 r. Autor będzie potem wielokrotnie jeździł do Rosji, docierał do najdalszych jej zakątków, zdobędzie syberyjski biegun zimna, coraz lepiej poznawać będzie tę ziemię, często i nie bez powodu nazywaną „nieludzką", i jej mieszkańców. Kolejne edycje „Syberii", ukazujące się ze znamiennym podtytułem: „Biegun zimna, polski ślad i dobrosąsiedzkie relacje", wzbogacał autor o opisy nowych swoich doświadczeń i o refleksje, jakże często wykraczające ponad zwyczajowe podróżnicze komentarze.

Generalnie u podstaw postrzegania przez Pałkiewicza Rosji, a już szczególnie Syberii, było przeświadczenie, że żyją tam ludzie wspaniali, niewinni temu, jakie jest ich państwo: opresyjne, agresywne, imperialne. Autor „Syberii" przywołuje w tym kontekście zdanie Czesława Miłosza, który mówił, że „jak każdy Polak lubi Rosjan, ale gardzi Rosją". U Pałkiewicza o pogardzie nie było mowy, ale podkreślał, że „inaczej postrzegamy Rosjan, zwykłych ludzi, a zupełnie inaczej widzimy Rosję jako państwo, co wynika z długiej historii wzajemnych antagonizmów, poczucia krzywdy za przymusową sowietyzację kraju oraz represje bezpieki bolszewickiej stworzonej, o ironio, przez Polaka Feliksa Dzierżyńskiego. Barbarzyńska inwazja psychopaty Putina na Ukrainę cofnęła nas do czasów zimnej wojny, zagrażając pokojowi całego kontynentu. Oczywiście nie sprzyja to bez-

FOT. CEZARY PIWOWARSKI/WIKIMEDIA COMMONS CC BY 3.0

stronnej ocenie ludności Federacji Rosyjskiej".

Ta ocena musi być jednak jednoznaczna i taka też jest, a że od emocji niewolna, to zrozumiałe. Opowiada o tym we wstępie Jan Grzegorczyk, znany pisarz i wydawca, przypominając, jak krótko po wybuchu wojny opublikował Pałkiewicz „Apel do moich przyjaciół Rosjan", domagając się odcięcia przez nich od agresji Putina na Ukrainę: „W postscriptum pod tekstem napisał, że zrzeka się członkostwa w Rosyjskim Towarzystwie Geograficznym, którego prezesem jest Siergiej Szojgu, minister obrony Rosji, prawa czy nieprawa ręka Putina. To właśnie on przecież osobiście zaprosił Pałkiewicza do odradzającego się Towarzystwa, dając mu legitymację z numerem siedem, jak James Bond" [legitymację z następnym, ósmym numerem otrzymał Siergiej Ławrow – przyp. K.M.].

„W kolejnych publikacjach – pisał Grzegorczyk – jeszcze bardziej wyostrzył swoje tezy. Nie mógł zrozumieć, że nikt ze znanych mu Rosjan nie okazuje wstydu za mordowanie niewinnych ofiar". W efekcie – czytamy – „na Syberii, jak w całej Rosji jego noga nigdy już nie postanie. Te granice są dla niego zamknięte. Nie skorzysta już z glejtu od Eduarda Szewardnadzego, który umożliwił mu poruszanie się po całym terenie imperium. Na szczęście jest ta książka, dzięki której Syberia pozostanie dla nas i dla niego wciąż otwarta".

A czyta się ją, mimo upływu lat, wciąż znakomicie. Potrafi Pałkiewicz wciągnąć czytelnika w perypetie związane z wyprawą, przybliżyć sylwetki jej uczestników, zaprezentować skomplikowane często dzieje odkrywanych krajów i ludów, ukazać jakże liczne polskie ślady na tej ziemi, którą prezentuje w całym jej groźnym pięknie, tak że zapiera dech. „Syberia" Jacka Pałkiewicza przeczy rozpowszechnionej opinii, jakoby literatura podróżnicza nie miała dziś sensu, nie dorównuje bowiem filmowi i po co opisywać coś, co można pokazać. Pałkiewicz, owszem, ze znawstwem operuje obrazem, stąd też „Syberia" jest gęsto i ciekawie zilustrowana, ale stawia na słowo. I oddaje hołd swoim mistrzom, bo to na ich książkach podróżniczych się wychował. Na Conradzie i Kiplingu, na opowieściach, które poznał za sprawą Verne'a i Stevensona, Melville'a i Saint-Exupéry. I, jakżeby inaczej, Jacka Londona. Tego, który w jednym z reportaży napisał, co autor „Syberii" cytuje: „Duch przygody jest coraz silniejszy, pomimo lokomotywy parowej oraz spółki Thomas Cook i Syn".

Literatura podróżnicza od dawna nie jest już jednym z ważniejszych okien na świat, ale – jak powiada Pałkiewicz – „wciąż jest to ciekawy sposób na poznawanie nieznanych krain". Takie książki „pobudzają ciekawość, motywują do aktywności i… wychowują, przekazując i sławiąc uniwersalne wartości: bohaterstwo, dobro czy uczciwość". I taką też książką jest „Syberia". ©℗

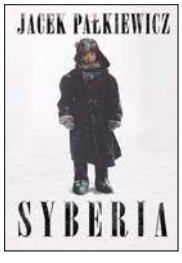

★★★★★

JACEK PAŁKIEWICZ „SYBERIA" ŚWIAT KSIĄŻKI, WARSZAWA 2023

eprasa.pl c5017bbff7

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Podróż sługi

Sprzedany za młodu przez ojca, głodujący, samotny. A zarazem ciekawy świata ulubieniec kobiet; wreszcie drobne ziarenko w żarnach wielkiej historii. Na niespełna 300 stronach Abdulrazak Gurnah wskrzesza świat z początków XX stulecia, czyniąc naszym przewodnikiem młodego Yusufa. Jest to podróż przez Afrykę, jest to podróż przez krainę, która już nie istnieje; jest to wreszcie Bildungsroman. Niemiecki termin pasuje, tym bardziej że na horyzoncie podróży, to znaczy u kresu powieści, majaczą już niemieckie siły kolonialne, które brać będą tubylców w kamasze, wszak nadchodzi wojna światowa (jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, że będziemy je numerować).

„Raj" nie jest jednak tyradą przeciw kolonializmowi białego człowieka. Jeśli już, to demaskatorskim portretem czasów i miejsca, w których nigdy żadnego raju nie było. Tytuł odczytywać należy mocno szyderczo. Ląd piękny (choć niebezpieczny), ale jego mieszkańcy zamknięci w kręgu wyzysku i przemocy także bez pomocy Europejczyków, piekło gotowali sobie sami Arabowie i Afrykańczycy, Hindusi i muzułmanie. Taka jest – niestety – kolej rzeczy, wcale nie potrzeba europejskich parowców u brzegów, by skonstruować świat wedle zasady „pan i niewolnik, hegemon i plebs". Biała inwazja dołożyła do tego palimpsestu jeszcze jedną warstwę, ot, tyle. Ale żyjemy w czasach, kiedy mówienie rzeczy oczywistych może sprowadzić na człowieka anatemę cancelculturowych „silnych razem". Wystarczy w Ameryce głośno powiedzieć, że Arabowie przehandlowali w dziejach więcej niewolników niż biali, a mimo to nikt ich nie zachęca, by za to przepraszali.

Szczęście ma Abdulrazak Gurnah, że jest laureatem Literackiej Nagrody Nobla (2021), więc sława będzie mu tarczą. „Raj", powieść przepiękna, mądra i smutna, była jego przepustką do międzynarodowego rozgłosu. Wydana w roku 1994, nominowana do Bookera i Whitbread Prize, była czwartą powieścią Gurnaha, ale pierwszą wybitną. Zdaniem części krytyków to także jego najlepsza książka; zapewniam jednak, że i wydana w ubiegłym roku powieść „Powróceni" to rzecz znakomita. Dorobek tanzańsko-brytyjskiego pisarza, podobnie jak dzieła Kazuo Ishiguro czy Salmana Rushdiego, udowadnia, że w literaturze dawne imperium brytyjskie jest jak obwarzanek: najlepsze po brzegach. ©℗

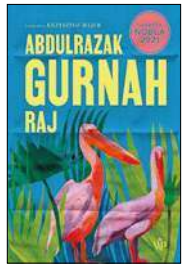

★★★★★☆

ABDULRAZAK GURNAH „RAJ" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

W Polsce znana głównie jako autorka powieści, tymczasem Iris Murdoch (filolog klasyczny i studentka filozofii u Wittgensteina) pisała także istotne eseje w obronie klasyków, metafizyki i literatury.

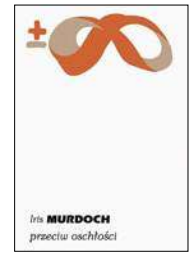

IRIS MURDOCH „PRZECIW OSCHŁOŚCI" PIW

Biografia wodza III Rzeszy, w której ważniejsze od pytań o przebieg poszczególnych kampanii są te o inspiracje i plany Hitlera. Czyli jak (i czyje) idee ukształtowały światopogląd tyrana.

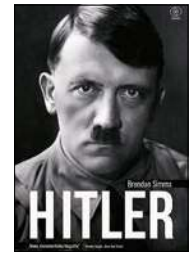

BRENDAN SIMMS „HITLER" REBIS

Wybór esejów i felietonów autora „Roku 1984" przygotowany przez Bartłomieja Zborskiego. Można rzec: teksty najlepsze, a w każdym razie najistotniejsze, wreszcie w jednym miejscu.

GEORGE ORWELL „JAK WAM SIĘ PODOBA" BELLONA

Pierwsza na polskim rynku biografia wybitnego węgierskiego pisarza – i od razu świetna. Napisał ją wielki znawca i kustosz spuścizny autora „Żaru", który opracował także do druku jego „Dziennik".

recenzuje Piotr Gociek

TIBOR MESZAROS „ODYSEJA XX WIEKU. SÁNDOR MÁRAI" CZYTELNIK

KOMIKS TYGODNIA: „CZARNE MYŚLI"

Francuskiego rysownika Franquina (1924–1997) kojarzymy głównie z zabawnymi seriami „Gaston" oraz „Sprycjusz i Fantazjusz". Tom „Czarne myśli" zbiera opowieści, które bawią w sposób odmienny, jest to bowiem humor smoliście czarny, by nie rzec wisielczy. Od prywatnych traum autora do uzasadnionych lęków przed coraz bardziej szalonym światem: jeśli coś może pójść źle, to pójdzie źle z pewnością.

Piotr Gociek

ANDRÉ FRANQUIN „CZARNE MYŚLI" WYDAWNICTWO KURC 2023

eprasa.pl c5017bbff7

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Architekt marzyciel

W czasach architektonicznego pragmatyzmu i nudy, w czasach szarych bloków z wielkiej płyty i domów kostek projekty Witolda Lipińskiego wyglądały bardziej jak ilustracje do książek Lema niż jak projekty, które miałyby się urzeczywistnić w rzeczywistości PRL. A jednak część z nich powstała, z tym najbardziej ikonicznym – budynkiem nowego Wysokogórskiego Obserwatorium Meteorologicznego na Śnieżce.

Ale zaczął Lipiński to swoje architektoniczne spełnianie marzeń, tę ucieczkę przed światem, od własnego podwórka. Dosłownie. Jego własny dom, „dom igloo" jest jednym z kanonicznych dzieł profesora Politechniki Wrocławskiej.

Na wystawie „Kształt marzeń" prezentowanych jest blisko 20 projektów, które zostały stworzone w najbardziej fascynującym okresie twórczości Witolda Lipińskiego. Realizacji doczekało się niestety tylko pięć z nich. Choć biorąc pod uwagę ich śmiałość i czas, w którym powstały, to i tak imponujący wynik. ©℗

FOT. MUZEUM ARCHITEKTURY WE WROCŁAWIU

GDZIE? *Muzeum Architektury we Wrocławiu*
KIEDY? *do 31 marca*

FOT. ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE W WARSZAWIE

TYSZKIEWICZ ODNALEZIONY

Benedykt Henryk Tyszkiewicz, polsko-litewski arystokrata i fotograf, rodzinną fortunę w dużej mierze przeznaczył na rozwój swojej fotograficznej pasji. Wystawa w Łazienkach prezentuje blisko 200 oryginalnych odbitek jego prac. Zdjęcia Tyszkiewicza uznawane były za zaginione, a on sam znany był jedynie za sprawą kilku zachowanych fotografii i nielicznych publikacji w prasie. Kilka lat temu na Litwie wypłynął ogromny zbiór prac zafascynowanego fotografią arystokraty. ©℗

GDZIE? *Łazienki Królewskie*
KIEDY? *do 10 marca*

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Takie jest życie!

W pierwszej połowie lat 80. Madness nie mieli sobie równych na brytyjskiej liście przebojów. W ciągu pięciu lat umieścili w Top 10 16 singli i sześć albumów. Grupa do dziś występuje w niezmienionym sześcioosobowym składzie.

Na 13. albumie studyjnym Madness zaprasza na przedstawienie music-hall. Jako dzieci członkowie zespołu wkradali się do proletariackich sal koncertowych, w których muzyka i teatr łączyły się z satyrą, komentarzami społecznymi oraz popisami akrobatów i iluzjonistów. Zapewne stąd oryginalny duch londyńskiego music-hallu zawsze był obecny w slapstickowych, przerysowanych piosenkach Madness.

Dlatego też album „Teatr absurdu…" w swej strukturze odzwierciedla wiktoriański melodramat. Przewodnikiem po nim jest aktor Martin „Bilbo Baggins" Freeman, który krótkimi zapowiedziami wprowadza nas w kolejne akty spektaklu. Czternaście piosenek łączą wspólny melancholijny nastrój oraz temat. Jest to bowiem opowieść o absurdach życia starzejącego się bohatera. Członków zespołu wspierają dodatkowi wokaliści, sekcja smyczków i… szczekający pies. Na „Theatre of the Absurd..." muzycy z uśmiechem spoglądają przez różowe okulary życia, odsłaniając zjedzone przez mole dywany i łuszczące się tapety, które skrywają się za wyszukanymi fasadami londyńskich kamienic. ©℗

★★★★★☆
MADNESS
„THEATRE OF THE ABSURD PRESENTS C'EST LA VIE"
BMG

★★★★★☆
KRZYSZTOF KOMEDA QUINTET
„LIVE IN BLED 1965"
GAD

Nieznane dotąd nagrania z festiwalu w słoweńskim Bledzie. Kwintet (Stańko, Muniak, Dyląg, Dąbrowski) wykonuje rozbudowane wersje „Kattorny" i „Svantetic". Pół roku później utwory zostaną nagrane, w innym składzie, na epokowy album „Astigmatic".

★★☆☆☆☆
RÓŻNI WYKONAWCY
„AKADEMIA PANA KLEKSA"
MAGIC

Sukces oryginalnej muzyki do „Akademii…" opierał się na zaraźliwych melodiach Korzyńskiego i kapitalnych tekstach Brzechwy i Gradowskiego. Unowocześnione wersje piosenek irytują, a nowe utwory są bezbarwne. Nie ma „Lenia" ani „Kaczki Dziwaczki". Ani dla rodziców, ani dla dzieci.

eprasa.pl c5017bbff7

Balkony samotności

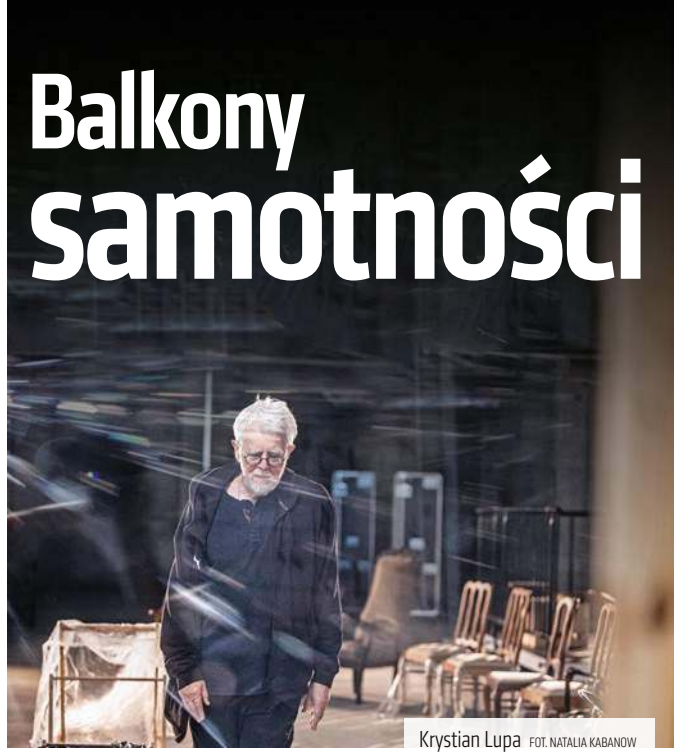
Krystian Lupa FOT. NATALIA KABANOW

Grzegorz Kondrasiuk

Reżyseria w przypadku Krystiana Lupy to zawód, któremu długowieczność sprzyja. Wciąż potrafi wykreować na scenie niepodrabialną atmosferę

Krystian Lupa pokazał (przedpremierowo) swój najnowszy spektakl „Balkony – pieśni miłosne" stworzony we wrocławskim Teatrze Polskim w Podziemiu. Wykorzystał w nim nieco przykurzoną sztukę Federica Garcíi Lorki „Dom Bernardy Alby" i powieść Johna Maxwella Coetzeego „Lato". Okazało się, że wciąż ma coś do powiedzenia. Nie jest komiwojażerem wizji świata jako strefy komfortu, hygge i well-beingu. Nie udaje, że w teatrze da się uszczęśliwić ludzkość.

Jesienią rozpętała się afera w La Comédie de Genève, gdzie Lupa wszedł w konfrontację z ekipą techniczną tego teatru. Przygotowywany tam spektakl według prozy W.G. Sebalda odwołano, ale potem okazało się, że paryski Odéon nie widzi problemu i na styczeń przejął premierę. Co charakterystyczne, współpracownicy i aktorzy z obsady usiłowali Lupę tłumaczyć z oskarżeń o przemoc, mówiąc, że „to skomplikowane". Bo aktorzy ciągle szanują Lupę, tak jak teatralna Europa Zachodnia, bo tak potrafi pięknie opowiadać o bankructwie wnętrza Europejczyka z perspektywy późnej melancholii, bliźniacza dusza Larsa von Triera i Michela Houellebecqa. Po wypadkach genewskich Lupa równolegle pracował po cichutku w Paryżu i we Wrocławiu, w Teatrze Polskim w Podziemiu, czołowej opozycyjnej placówce odwołującej się do „legendy" z czasów dyrekcji Krzysztofa Mieszkowskiego. Właśnie w Teatrze Polskim Lupa osiągał świetne rezultaty, ale potem rozbity zespół rozpierzchł się, wielu aktorów przyciągnęła Warszawa. (Krótka dygresja: mało kto chce pamiętać, że odbyło się to w 2014 r. nie z powodów politycznych, ale przez deficyt w budżecie Teatru: z inicjatywy SLD-owskiego marszałka Zarząd Województwa Dolnośląskiego jednogłośnie odwołał Mieszkowskiego).

Reżyseria w przypadku Lupy to zawód, któremu długowieczność sprzyja. Wciąż potrafi wykreować na scenie niepodrabialną atmosferę. Patrzymy na fasadę kamienicy, a zarazem ogromny ekran, z dwoma symetrycznie rozmieszczonymi po bokach balkonami pierwszego piętra. Przed nim rozegrają się sceny z dramatu Lorki, wywołane z jego pamięci, zainscenizowane raczej jako pastisz, kostiumowa satyra. Z offu – jak zawsze – dobiega głos samego Lupy wspominającego matkę, a potem komentującego zachowania postaci, aktorów, publiczności. Na fasadzie obrazy Goi, wielkoformatowe projekcje, filmy albo celebracje gęstej gry aktorów. To kreacja przestrzeni po śmierci, ze wspomnienia. Do tego – nieustannie podsycana atmosfera erotyzmu. Eros i Tanathos, banał przecież, wielokrotnie ogrywany. Ale sekret tkwi w artyzmie budowania dramaturgii, w prowadzeniu aktorów. Z fabułą Lorki przenika się fantazja biograficzna o młodym, jeszcze nieukształtowanym, niepewnym siebie Coetzeem (świetny Andrzej Kłak). Lupa sięgnął po jego teksty (ponoć dawna fascynacja lekturowa, podebrana mu przez Warlikowskiego) z dwóch powodów. Poszukał w „Lecie" (tak jak u Lorki) obowiązkowej, bieżącej publicystyki, wojenki z konserwatyzmem i katolicyzmem, a także pokazał artystę – wyobcowanego nadwrażliwca, w czasach młodzieńczego idealizmu. „Kiedy szachiści grają o przewagę, kolejne pokolenia są pożerane!" – wykrzykuje do ojca, którego oskarża o konformizm. A w porażającej scenie pierwszego zbliżenia pisarza z przyjaciółką (Marta Zięba), do muzyki puszczanego na adapterze w potężniejącym akompaniamencie kwintetu Schuberta – od subtelności do przesterowanej tortury – dotkliwie pokazane jest mijanie się w samotności dwojga ludzi. Za Coetzeem Lupa mówi: nie można zmusić nikogo do usłyszenia piękna Schuberta, do bliskości, do pełnego zrozumienia. To nie istnieje. Pozostaje pożądanie, jako jedyny horyzont.

W programie spektaklu czytam o „tkwieniu w więzieniach myślowych konwencji, obowiązujących norm moralności, obyczajowych tabu, w klatkach schematów pokoleniowych", a „te więzienia w dotkliwy sposób deformują nasze życie". Ale spektakl jest o czymś znacznie większym, tak jak „Imagine" z warszawskiego Teatru Powszechnego, gdzie Lupa oskarżał swoją generację, dziedziczącą hipisowskie ideały, wykrzykując: „Wszystko spierd……!". Kolejne odsłony jego teatru są równie pesymistyczne, naszą cywilizację uważa za przegraną, o czym – co udowadniają „Balkony" – nadal potrafi opowiadać przy pomocy dobrej literatury. Takiego Lupę, nieobawiającego się kompromitacji, przerażonego mechanizmami, które uruchamia, można też obejrzeć w filmie dokumentalnym „Spróbujmy skoczyć do studni" Piotra Stasika i Doroty Wardęszkiewicz. Z tym nihilistą, udającym utopistę, można się przynajmniej nie zgodzić. ©℗

„BALKONY – PIEŚNI MIŁOSNE"
REŻYSERIA: KRYSTIAN LUPA, TEATR POLSKI W PODZIEMIU (WROCŁAW)
POKAZ PRZEDPREMIEROWY NA FESTIWALU BOSKA KOMEDIA 2023

eprasa.pl c5017bbff7

Z Grzegorzem Braunem, prezesem Konfederacji Korony Polskiej, posłem Konfederacji
rozmawia Ryszard Gromadzki

Jestem etatowym potworem

RYSZARD GROMADZKI: Jak się pan czuje w roli „wroga publicznego numer jeden"? Po tym, jak zgasił pan chanukowe świece w Sejmie, sypią się na pana gromy. Miał pan na pewno świadomość konsekwencji swojego działania. Co było jego motywem?

GRZEGORZ BRAUN: Zwłaszcza w ostatnich latach to zdaje się moja etatowa rola: potwór do straszenia grzecznych czytelników „Gazety Wyborczej" i „Gazety Polskiej". Nie powiem, że rola ulubiona, ale podejmuję ją z poczucia obowiązku. Obowiązku nieignorowania zła. Celebrowanie plemiennych, rasistowskich, więc z mojego punktu widzenia wprost satanistycznych rytuałów nigdy nie powinno być aprobowane, a już na pewno nie w Sejmie RP. Świętowanie Chanuki z niby-niewinnym rytuałem zapalania świec to tylko pozór, a sentymentalny, rzekomo pokojowy przekaz to fałsz. Tymczasem istotny sens i przesłanie Chanuki to jest celebrowanie triumfu talmudystów nad resztą świata, nad nami, nie-Żydami. Ten program ideowy jest artykułowany wprost w słowach modlitwy, która towarzyszy zapalaniu chanukowego świecznika: „Dziękujemy Ci, Boże, że wydałeś tak wielu niewiernych, w ręce tak nielicznych Twoich wiernych". Po której stronie chce się zatem plasować ktokolwiek, kto bierze udział w takim rytuale? Chanuka to – ni mniej, ni więcej – święto ludobójstwa. Oczywiście wywiedzione z Ksiąg Machabejskich i Księgi Judyty, które należą także do naszego katolickiego kanonu, ale kiedy dwóch mówi to samo, to doprawdy nie zawsze oznacza to samo.

Pański czyn potępiły wszystkie ugrupowania reprezentowane w Sejmie. Odcięła się od pana także Konfederacja, zawieszając pana w prawach członka klubu i zakazując panu wystąpień z sejmowej trybuny.

Bądźmy wyrozumiali. Ta sytuacja skutkuje dużymi przeciążeniami, na które nie wszyscy są odporni. Może tyle w tej sprawie.

Nawet wśród głosów panu przyjaznych komentujących na internetowych forach wydarzenia w Sejmie częste są opinie, że posunął się pan za daleko, a swoim zachowaniem dał do ręki argument wrogom Polski, którzy mogą znów odwoływać się do sławetnej maksymy byłego izraelskiego premiera Szamira, który mawiał, że „Polacy wyssali antysemityzm z mlekiem matki".

Posądzanie mnie o taką sprawczość to dla mnie skądinąd komplement. Ale doskonale pan wie, że propaganda antysemityzmu na świecie nie wymagała z mojej strony żadnej aktywności. Żeby uporczywie propagować najdziksze insynuacje na temat Polaków, i to na najszerszą, globalną skalę, Żydzi nie potrzebowali żadnej zachęty z mojej strony. I wydaje mi się, że propaganda antypolonizmu jest w interesujący sposób zsynchronizowana właśnie z tresurą naiwnych i potulnych Polaków, prowadzoną m.in. poprzez takie właśnie talmudyczne, plemienne, satanistyczne rytuały jak Chanuka w miejscach publicznych w Polsce. Oczywiście będę z zainteresowaniem przypatrywał się temu, jak inni, mądrzejsi i bardziej do tego powołani lepiej radzą sobie z problemem antypolonizmu i w ogóle żydowskiego rasizmu. Będę przyklaskiwał wszystkim działaniom, które w tej kwestii przybiorą inne formy.

Kardynał Grzegorz Ryś powiedział, że wstyd mu za czyn, którego się pan dopuścił w Sejmie, i przeprosił za niego społeczność żydowską w Polsce. Jak pan skomentuje stanowisko kard. Rysia?

To się samo komentuje. Mogę tylko zwrócić uwagę, że kard. Ryś bardzo konsekwentnie propaguje kontrfaktyczną wersję historii. Tak co do judaizmu, jak protestantyzmu. Kardynał Ryś ma na koncie wieloletnią, intensywną dezinformację opinii publicznej, propaguje brednie i urojenia na temat Żydów i protestantów. Z całym szacunkiem dla księcia Kościoła i osoby duchownej przyjmę każde wyzwanie czy też zaproszenie, które nie spodziewam się, żeby akurat z tej strony nadeszło, do debaty historycznej, teologicznej, której celem byłoby ustalenie stanu faktycznego. Na gruncie mojej wiedzy i moich skromnych kwerend historycznych mogę stwierdzić, że talmudyzm, szczególnie w wydaniu sekty Chabad-Lubawicz, to dziki, plemienny kult własnej rasy, a zatem kult rasistowski, którym powinni zainteresować się nie tylko badacze, lecz także prokuratorzy.

Pierwotny projekt tzw. ustawy wiatrakowej przedłożony w Sejmie przez Koalicję Obywatelską, Polskę 2050 i PSL to...

... to jest wielopiętrowy skandal. Klasyka gatunku „lub czasopisma". Tylko tym razem to nie wrzutka złożona z dwóch słów, ale cały odrębny podrozdział ustawy. Ale skandal jest przecież normą życia politycznego w post-PRL, w eurokołchozie, w każdym razie przez całą poprzednią kadencję.

Myślę, że przez całe ostatnie trzydzieści kilka lat...

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl c5017bbff7

Tak. Ale ja mówię jako naoczny świadek i marginalny uczestnik wydarzeń ostatniej kadencji Sejmu. Mogę zaświadczyć, że to był standard ustawodawstwa PiS-owskiego czy Zjednoczonej Łże-Prawicy. W rozmaite z pozoru zacne projekty jakichś tam deregulacji czy zaprowadzania, przepraszam za słowa, „prawa i sprawiedliwości" zawsze zdążyli wpisać jakieś mniejsze czy większe łajdactwo. W ustawę deklaratywnie mającą wzmacniać bezpieczeństwo dzieci wpisali scentralizowany systemem rejestracji rozwoju psychofizycznego dzieci i młodzieży, w ustawę upraszczającą procedury biurokratyczne wpisali opodatkowanie zrzutek. I tak bez końca. Zatem wiatraki na dobry-zły początek tej X kadencji, w której ton nadawać będzie z kolei totalna opozycja, to jest dowód na to, że „wart Pac pałaca" i że „PiS-PO jedno zło". Wracając do pańskiego pytania, powiedziałem, że to piętrowy skandal, bo oczywiście skandalem jest samo stręczenie Polakom wiatraków do mielenia ptaków. Bo to się w normalnym świecie po prostu nie kalkuluje, polecam „Kompendium wiedzy o elektrowniach wiatrowych, słonecznych, węglowych i atomowych" śp. inżyniera Marka Zadrożniaka. Kalkuluje się węgiel, którego akurat mamy pod dostatkiem aż do końca świata i jeden dzień dłużej.

Jednak Polska, która ma największe zasoby węgla w Europie, musi się ich wyrzec.

Jesteśmy działką numer jeden na globusie. Nie tylko pod tym względem zresztą. Wmawianie Polakom, że wiatrakami do mielenia ptaków można nasz piękny kraj napędzić, ogrzać i oświetlić, to jest szkodliwe doktrynerstwo, w którym interes narodowy, korzyści indywidualne i zbiorowe nie są priorytetem. Priorytetem jest tresowanie ludzi. Priorytetem w całym tym „zielonym ładzie", podobnie zresztą jak w „tęczowym" czy w reżimie sanitarnym, jest zawsze to samo, co w każdej komunie – czy czerwonej, czy różowej, sowieckiej czy eurokołchozowej – tresowanie i mamienie ludzi po to, żeby ich obrabować. Polacy są obiektem kradzieży zuchwałej i bezczelnej napaści. Jeśli chodzi o eurokomunę, o rządy Brukseli nad Polską, to nic dziwnego. To, co jednak mnie zawsze, mimo wszystko, dziwi, to to, że tu, w Warszawie, jest tylu ludzi chętnych, by czerpać zyski ze współudziału w tej kradzieży zuchwałej. Kto przyjmuje wszystkie te „zielone łady", handel emisjami dwutlenku węgla, całą tę quasi-religijną doktrynę klimatyzmu, ten działa na szkodę i zgubę własnego narodu. Ale w gabinetach rządowych i samorządowych trwa ożywiona krzątanina, niczym w judenratach na wiosnę 1940 r., nikt nie ośmiela się kwestionować mądrości etapu, każdy kombinuje, jak się urządzić.

Pana obserwacja przywołuje ponury wiek XVIII, czas upadku I Rzeczypospolitej i wyrodne elity, a raczej zaprzańców, którzy nią kupczyli.

Myślę, że to jest porównanie dla współczesnej łże-elity zbyt pochlebne. Ludzie w tamtych czasach nie zaprzeczali jeszcze porządkowi naturalnemu. Zdradzając ojczyznę, nie rozstawali się z rachunkiem ekonomicznym, arytmetycznym. Przykładem, który przemawia do mojej wyobraźni, jest korespondencja Hugona Kołłątaja. Uchodzi on u nas za bohatera albo jednego z ojców demokracji, gdy tymczasem był aferałem i zaprzańcem. Był rewolucjonistą, zwolennikiem rewolucji światowej, która szła wówczas z Francji. Listy Kołłątaja zaświadczają, że był on jej gorącym poplecznikiem i liczył na to, że – cytuję – „obali trony i ołtarze". Ciekawa rzecz, że ten ksiądz, którego nie wiadomo, kto i gdzie wyświęcił, nie wiadomo, do której diecezji przynależał, cieszy się, że obalone zostaną trony i ołtarze. Ale w tej samej korespondencji on potrafił odnosić się do – nazwijmy to – biznesowych szczegółów. Wymieniał informacje i wydawał zlecenia swoim plenipotentom i zarządcom dóbr, których się nakradł w czasach swojego urzędowania na Uniwersytecie Jagiellońskim. Więc z jednej strony kibic rewolucji, z drugiej – bardzo zapobiegliwy burżuj. Kiedy pisze do niego jego zarządca z Krzyżanowic Dolnych, że się „ludkowie zbuntowali" i chłopi się czegoś domagają, to on, kibic rewolucji, odpisuje z oburzeniem: „Jak to? Wobec mnie? A takim byłem dla nich dobrym panem". Stawiam znak ujemny przy postaci, która tutaj, w Sejmie, ma swoją plakietę, zdaje się w sali Konstytucji 3 maja.

Pytał pan o elity. Porównanie rządów postpeerelowskich i eurokołchozowych w Polsce do czasów „wielkich zdrajców" wypada na niekorzyść tych współczesnych, bo tamci przynajmniej władali piękną polszczyzną, potrafili pisać nawet i mową wiązaną. To byli ludzie większego formatu. Kiedy parę lat temu szydziłem z rządów Zjednoczonej Łże-Prawicy, nazywając ich grupą rekonstrukcji historycznej sanacji, to czyniłem to porównanie ze świadomością jego nieadekwatności. Bo i tamte trepy Piłsudskiego, ci wszyscy jego pułkownicy, to byli ludzie wprawdzie straszni, ale z jakąś klasą. To często byli ludzie nietuzinkowi, ba, nawet wybitni, np. jako literaci, patrz: Wieniawa, Sosnkowski czy Kostek-Biernacki. To byli ludzie mający polor dawnej cywilizacji polskiej. A któż tutaj (w Sejmie) dziś pisuje ciekawą prozę? Kto tłumaczy klasyków? Cóż, jak diagnozowali klasycy marksizmu, historia nigdy się nie powtarza jeden do jednego, tylko zawsze jako farsa.

Jak w takim otoczeniu, wobec tej farsy, bronić kategorii pod nazwą „interes narodowy"? Czy nie jest to, nomen omen, walka z wiatrakami?

Interes narodowy, racja stanu – trzeba używać tych pojęć, trzeba szukać istotnych punktów odniesienia. To, z czym mamy w tej chwili do czynienia, nazywać bez obawy pomyłki zdradą, zaprzaństwem, łajdactwem, złodziejstwem. Warto też zauważyć, że wcale nie wszyscy chcą własnego państwa. Tu, w Sejmie, od wolnej Polski większość woli land eurokołchozowy albo stan amerykański. Wiem, co mówię, mam dobry przegląd postaw i charakterów w Komisji Obrony Narodowej i w Komisji do spraw Unii Europejskiej. Bynajmniej nie wszyscy są przywiązani do tradycji i cywilizacji narodu polskiego. Czeka nas w tych dniach świąteczny festiwal zapewnień, że wszyscy przecież jesteśmy Polakami. Że wszyscy jakoś tam szanujemy, choć może różnie pojmujemy dobro wspólne. To niestety tylko miłe urojenie.

Usłyszymy też pewnie rytualne apele o odbudowę polskiej wspólnoty...

No więc ja dziękuję. Nie poczuwam się do wspólnoty z ludźmi, którzy dybią na życie, zdrowie i majętność moich rodaków. Choćby czynili to, jak w ostatnich latach, pod fałszywą flagą biało-czerwoną, pod znakiem Solidarności, z Żołnierzami Wyklętymi i podchorążymi listopadowymi na dokładkę. Te znaki rozpoznawcze polskiego patriotyzmu zostały właśnie ostatecznie skompromitowane przez reżim pandemistów i podżegaczy wojennych, którzy pozamykali Polaków milionami do aresztów domowych zwanych kwarantanną, lockdownami zrujnowali setki tysięcy

eprasa.pl c5017bbff7

firm rodzinnych, przez blokadę systemu lecznictwa wyprawili dodatkową ćwierć miliona Polaków na tamten świat. Skrócili nam średnią prognozowaną długość życia o parę lat, a liczba prób samobójczych, zwłaszcza wśród nieletnich, bije rekordy światowe. Polacy są ginącym plemieniem. Demograficznie zwijamy się, schodzimy ze sceny dziejowej na własne życzenie. Jeżeli tego trendu nie zatrzymamy i nie odwrócimy, to nie trzeba będzie żadnych bombardowań czy agresji zewnętrznej. Wystarczy nowa dawka eksperymentalnego preparatu czy nowa kampania propagandy dewiacji, żeby zniszczyć kolejne młode życie, kolejną rodzinę. Mieliśmy tego spektakularną odsłonę w tej nowej kadencji, gdzie pierwszym projektem ustawy było finansowanie procedury in vitro przez państwo.

Głęboko wymowne...

Owszem, dokonało się to z całkowitym wyabstrahowaniem z realiów medycznych, naukowych, socjologicznych, prawnych. Wszyscy zbiorowo odmówili odnoszenia się do faktów, uczyniono z tego coś w rodzaju aktu strzelistego tej „religii" opartej na zaprzeczeniu naturalnemu porządkowi i właśnie faktom. Nie odwołuję się tutaj do argumentów ze sfery moralności i religii. Mogę dużo mówić o faktach medycznych.

Wiem. Pamiętam pańskie filmy dotyczące tej materii.

W takim razie pozwolę sobie odesłać do nich czytelników – np. „Eugenika, w imię postępu" niestety wciąż jakoś nie chce się zdezaktualizować.

Jak odwrócić ten zorientowany przeciw życiu trend, który przetacza się przez Polskę?

Myślę, że na dobry początek trzeba po prostu nazywać rzeczy po imieniu.

A więc przywrócić prawdziwe znaczenie pojęciom i słowom?

Tak. Polska jako land eurokołchozowy się kończy. Nie zaczyna, jak to wmawiano sobie zaledwie ćwierć wieku temu, w procesie akcesyjnym. Polska się kończy. Triumfuje „doktryna Olechowskiego" zawierająca się w cytacie: „Będziemy mogli współdecydować o własnych sprawach". No to właśnie „współdecydujemy". Na granicy z Ukrainą, bez żadnego wsparcia ze strony rządu, swoich interesów bronią zdesperowani transportowcy i rolnicy. Oni przecież nawet nie kwestionują narzuconych reguł gry, domagają się tylko równości tych reguł dla wszystkich. Ale w Polsce, którą zarządzają „słudzy narodu ukraińskiego" pod dyktando obcych ambasad, to najwyraźniej zbyt wiele. A obok praktyki eurosocjalizmu w sferze gospodarczej jest jeszcze cała sfera poprawności politycznej, której mantry powtarzane są niczym akty strzeliste nowej quasi-religii, także tu, w Sejmie. Nasze dzieci są dezinformowane, deprawowane, dezorientowane na różne sposoby. Właśnie w ramach niesprzeciwiania się doktrynom nowoczesności. A na straży tych doktryn stoją ambasady mocarstw, których reprezentacje maszerują w paradach dewiantów. Widzimy tam regularnie reprezentację ambasady USA czy państwa położonego w Palestynie. Również polityka bezpieczeństwa we wszystkich wymiarach została scedowana na instancje zewnętrzne. Szprycowane, zdekompletowane i rozbrojone Wojsko Polskie jest dziś faktycznie niezdolne do stawienia czoła poważniejszym zagrożeniom. Podobnie policja, skompromitowana egzekwowaniem zamordyzmu covidowego i zabawami granatnikiem w Komendzie Głównej. Braków kadrowych i braków w uzbrojeniu, nawet banalnego niedostatku amunicji, którą tak hojnie wysłano na Wschód, nie nadrobi się z dnia na dzień. Aby te dramatyczne braki obnażyć, nie trzeba aż wojny i okupacji, wystarczy niszcząca fala migracji, która jest wciąż najbardziej realnym zagrożeniem.

Pańskie „przestrogi dla Polski" zderzają się z murem obojętności, delikatnie rzecz formułując...

Trudno tu mówić o satysfakcji, ale przecież w paru kluczowych kwestiach się nie pomyliłem. Nie myliłem się, alarmując z Sejmu o projekcie totalitaryzmu pandemicznego. Wszystkie diagnozy, które stawiałem ze swoimi współpracownikami i ekspertami, potwierdziły się w całej rozciągłości. Wspomnę o naszym zespole parlamentarnym Norymberga 2.0 działającym wtedy, kiedy jeszcze to nie było modne, czy książkach z cyklu „Fałszywa pandemia", z których pierwsza była składana zaraz wiosną 2020 r. Nie pomyliłem się, przestrzegając przed podżeganiem do wojny i wpychaniem Polski do wojny. Kiedy podnosiliśmy hasło „Stop ukrainizacji Polski", to z pewnością nie wszyscy podzielali ten sceptycyzm. Myślę, że teraz, po upływie nie tak wielu miesięcy, wszyscy trochę lepiej rozumieją, że mamy problem, który władze warszawskie ściągnęły na naród polski. Moim zdaniem to są kategorie kodeksowe. To jest sprowadzanie zbiorowego niebezpieczeństwa, to jest podżeganie do wojny czy pochwalanie praktyk, których kodeks karny nie pochwala. Pomijam już przestępczy wymiar finansowy tych praktyk, nielegalne podatki czy raczej kontrybucje, którymi Polacy zostali obłożeni na rzecz Ukraińców. Plus całe to zakłamywanie historii w ramach hurraentuzjastycznych narracji o rzekomej wspólnocie doświadczeń i celów, z których głównym miała być unia polsko-ukraińska. Przecież prezydent belwederski Duda mówił o tym wprost w maju 2022 r., „że faktycznie nie będzie między nami granic". Jeżeli się wcześniej milczało w sprawie ludobójstwa ukraińskiego na Polakach, to milczenie w sprawie ludobójstwa żydowskiego na Palestyńczykach przychodzi, jak widzę, bardzo łatwo. To cały logiczny łańcuch, który mądrość ludowa, internetowa przedstawiła w postaci mema: „Adam Słodowy radzi, jak przerobić maseczkę na chorągiewkę ukraińską". W ostatnich miesiącach te ukraińskie chorągiewki przerobiono na chorągiewki państwa położonego w Palestynie. I pewnie to nie jest to jeszcze ostatnie słowo.

Jakie to poczucie, kiedy mając świadomość racji, spotyka się z rechotem i wyzwiskami? Nie wchodzi pan w rolę herolda przegranych spraw?

W bieżącej polityce, jak wiadomo, posiadanie racji o niczym nie decyduje i niczego zgoła nie znaczy. Ale przynajmniej mogę z dużym spokojem odnotować, że nie mam niczego do odszczekiwania, że nie muszę wykonywać tak gwałtownych zwrotów przez rufę, których teraz dokonują ekwilibrystycznie rozmaici stratedzy, nie powiem z Bożej łaski, raczej z łaski rozmaitych instancji, przede wszystkim zagranicznych. Jak podżegacze wojenni, którzy jeszcze rok temu pchali Polaków w wojnę na całego, a teraz ogłaszają wielkie odkrycie, że chyba jednak mityczna kontrofensywa na Ukrainie nie spełniła oczekiwań, a może jej wcale nie było. Ja takich zwrotów przez rufę wykonywać nie muszę, odszczekiwać nie mam czego. Mógłbym tylko powtarzać: „A nie mówiłem?". Ale to nie jest polityka. Dlatego

eprasa.pl c5017bbff7

cieszę się, że nie spełnił się mój najczarniejszy sen, którym byłoby odnalezienie się w tym miejscu w kolejnej kadencji znów jako jedyny poseł Konfederacji Korony Polskiej. Cieszę się, że w Sejmie X kadencji znaleźli się moi najbliżsi koledzy i współpracownicy, posłowie: Skalik, Fritz i Zapałowski.

Widzi pan w Sejmie nowej kadencji możliwości budowania choćby doraźnych sojuszy, które dawałyby szanse na obronę fundamentalnych dla Polski spraw?

Nad tym właśnie pracuję. Bardzo staram się wychodzić poza nasze „bańki". Prawackie, patriotyczne, narodowe, niepodległościowe, tradycjonalistyczne. Chciałbym, by nie zamykała się na innych choćby np. Konfederacja. Konfederacja Wolność i Niepodległość, pięć lat temu utworzona, była wynalazkiem nowatorskim i pionierskim na polskiej scenie politycznej. Właśnie dlatego, że dała ramy praktycznemu współdziałaniu bez iluzji wielkich zjednoczeń. Będąc w pełni świadomymi ciekawych, ożywczych odmienności i różnic aż do zaciekłych konfliktów między nami, stworzyliśmy wspólną formację, dzięki której pokonaliśmy prawo ciążenia politycznego, to znaczy udało nam się wznieść ponad próg wyborczy. Sądzę, że jeśli Konfederacja zbierała i ma wciąż do zebrania premię, to właśnie za to praktyczne współdziałanie. Proszę zauważyć, że Konfederacja jest modelem tej Polski, w której – jak mniemam – obydwaj wolelibyśmy żyć. Polski, w której mieszczą się bardzo różni ludzie, nieujednoliceni, nieubrani w ten sam mundurek, nieśpiewający koniecznie tej samej piosenki.

Odwołuje się pan do najlepszej tradycji różnorodnej Rzeczypospolitej.

Różnorodnej, ale bez wątpliwości co do tego, jakie są jej rdzeń, pryncypia, standard cywilizacyjny. Jeśli do tej wielkiej Rzeczypospolitej mogli z sukcesem pchać się drzwiami i oknami ludzie z różnych stron świata – nawet, proszę zauważyć, kiedyś jacyś Braunowie – to właśnie dzięki temu, że cywilizacja łacińska daje standard relatywnie największego bezpieczeństwa bez glajchszaltowania, ujednolicania i zamordyzmu.

To uniwersalny model, zachowujący siłę przyciągania, do którego nadal możemy się odnosić, czy tylko sentymenty? Coś, na co nie ma już miejsca w naszej pokręconej rzeczywistości?

To jest właśnie ten wybór. Czy uznajemy jakąś mniemaną marksowską konieczność dziejową i rezygnujemy z aspiracji do standardów cywilizacyjnych czy bierzemy się za to barbarzyństwo, i to takie hardcore'owe barbarzyństwo. Proszę zwrócić uwagę, że mamy teraz do czynienia z procesem odwróconym, ale ściśle analogicznym do tego, co wydarzyło się tutaj 1000 lat temu, kiedy nasi przodkowie przyjęli chrześcijańską „franczyzę cywilizacyjną". Tu, w leśnych ostępach, w których praktykowano ofiary z ludzi, a dzieciobójstwo i przymuszanie dziewcząt do małżeństw było standardem. Dodajmy do tego niewolnictwo i szukającą nowych „terenów łowieckich" żydowską lichwę. Teraz, kiedy katolicyzm jest w odwrocie, to wszystko wraca.

Z kultem Molocha, czyli dzieciobójstwem na czele...

Dokładnie, kultem Molocha. Obaj dobrze wiemy, że nie jest to żadna figura literacka. To, co wydarzyło się w tym Sejmie wokół zootechnicznej procedury in vitro, na którą popyt gwarantowany stworzyła właśnie pierwsza ustawa procedowana w X kadencji, to nic innego jak akt quasi-religijny. Z abdykacją rozumu. Z generalną odmową odniesienia się do faktów medycznych, socjologicznych czy prawnych. Więc wszystko wraca. Lichwa, czyli niewolnictwo rozłożone na raty, niewolnictwo korporacyjne, niewolnictwo zbiurokratyzowane – to ciągle jest to samo. Tyle tylko, że niegdyś pan z troski o własną majętność dbał o wikt i opierunek niewolników. Dzisiaj korporacje nie poczuwają się do tego obowiązku. Dodajmy do tego rejestru handel ludźmi, handel organami. Do tego rozmaite specjalnie spreparowane doktryny.

Vide: „śmierć mózgowa".

Mam nadzieję, że wprowadzimy to obłędne, zbrodnicze pojęcie „śmierci mózgowej" na jeden z naszych zespołów parlamentarnych. To jest niewątpliwie jeden z flagowych projektów „cywilizacji śmierci", tuż obok przemysłu aborcyjnego i propagandy dewiacji.

To na koniec, pozwoli pan, zapytam metaforycznie: Czy rycerze śpiący pod Giewontem kiedyś się obudzą?

W 2015 r. wraz z Włodzimierzem Skalikiem i Romanem Fritzem, dziś posłami Konfederacji Korony Polskiej na Sejm, tworzyliśmy organizację Pobudka. To było właśnie od budzenia śpiących rycerzy. Współczesny rycerz nie musi koniecznie pobrzękiwać zbroją. Może pobrzękiwać kluczykami do nie najgorszego auta z silnikiem spalinowym oczywiście. I w tym być może nasza szansa. Okienko możliwości i iskierka nadziei, że atak rewolucji na nasze zdrowie, życie i majętność sięgnął poziomu dóbr i potrzeb elementarnych. Sięgnął talerza, na którym będziemy mieli przed sobą, i to jest ten dylemat współczesności, albo schabowego, albo świerszczowego. Sięgnął naszego garażu albo będziemy mieli własny środek lokomocji i wolność przemieszczania się dalej niż w granicach „15-minutowego miasta". Przypominam, że mieliśmy już w Polsce przykład 15-minutowych miast, w czasie drugiej wojny światowej rozwijali je u nas „z rozmachem" Niemcy.

Rewolucja sięga naszego domostwa i żąda, żebyśmy się spowiadali, jak się ogrzewamy, czym oświetlamy. Sięga również naszych dzieci, w sposób najbardziej zbrodniczy, łajdacki. Nadzieja w tym, że to są tematy, z którymi nareszcie możemy wyjść poza naszą bańkę. Dopóki rozmawiamy o przyczynach rozbiorów Rzeczypospolitej czy o dużej geopolityce, dopóty to dla większości naszych rodaków, nawet naszych sympatyków i wyborców, są to abstrakty. Ale już dylemat „schabowy czy świerszczowy" jest dylematem codzienności. I na tym poziomie możemy szerzej dotrzeć z naszym przesłaniem wolności, prawdy i piękna.

A gdyby jednak bezpośrednie zaangażowanie w politykę miało nie okazać się stałe, wróci pan do filmów?

Nie będę musiał wracać z daleka, w końcu finalizuję montaż filmu dokumentalnego „Gietrzwałd 1877. Wojna światów". Projekt ruszył, zanim jeszcze przeszedłem do politykowania na pełny etat. W takim tempie, na jakie mnie stać, zważywszy na pierwszoplanowe traktowanie obowiązków poselskich, jeszcze trochę to potrwa, ale w montażowni już widać światło w tunelu. Z góry zapraszam na premierę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c5017bbff7

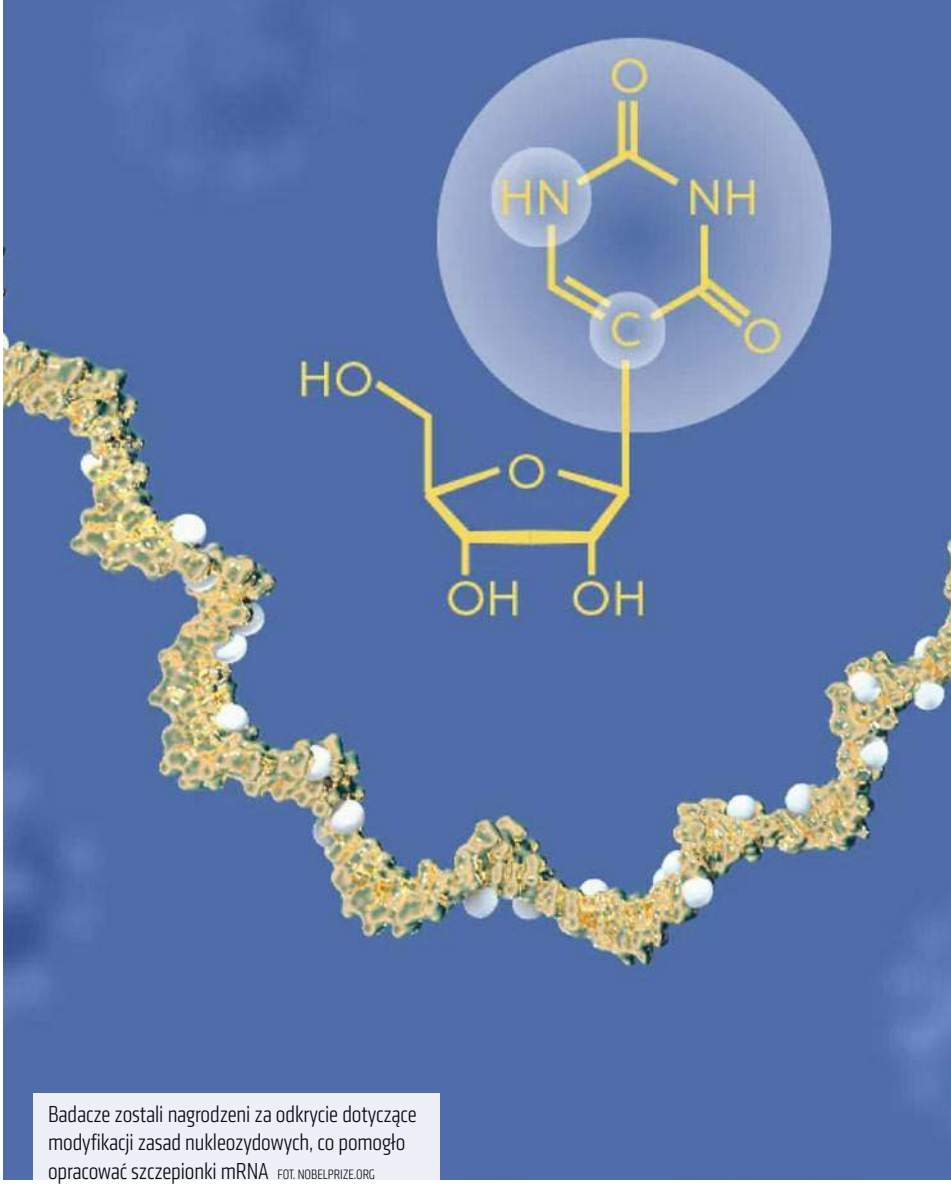

Badacze zostali nagrodzeni za odkrycie dotyczące modyfikacji zasad nukleozydowych, co pomogło opracować szczepionki mRNA FOT. NOBELPRIZE.ORG

Jerzy Karwelis

Mariusz Jagóra

Laureatów Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii i medycyny wyciągnięto z covidowego kapelusza

Komitet Noblowski podjął decyzję o przyznaniu nagrody w dziedzinie fizjologii lub medycyny za rok 2023 wspólnie dla Katalin Karikó i Drew Weissmana za ich odkrycia dotyczące „modyfikacji zasad nukleozydowych, które umożliwiły opracowanie skutecznych szczepionek mRNA przeciwko COVID-19". W uzasadnieniu podano, że te odkrycia miały „kluczowe znaczenie dla opracowania skutecznych szczepionek mRNA przeciwko COVID-19 podczas pandemii, która rozpoczęła się na początku 2020 r. Dzięki swoim przełomowym odkryciom, które zasadniczo zmieniły rozumienie interakcji mRNA z naszym układem odpornościowym, laureaci przyczynili się do bezprecedensowego tempa rozwoju szczepionek podczas jednego z największych współczesnych zagrożeń dla zdrowia ludzkiego". Napisano też, że „szczepionki przeciwko COVID-19 uratowały miliony istnień ludzkich i zapobiegły ciężkim chorobom u wielu innych osób, umożliwiając społeczeństwom otwarcie się i powrót do normalnych warunków".

Już samo uzasadnienie Komitetu Noblowskiego wskazuje na propagandowy aspekt tego werdyktu. Zazwyczaj uzasadnienia są nudnawymi opisami technikaliów danego odkrycia, rzadko tylko odnoszącymi się do ogólnospołecznego znaczenia. Tutaj mamy odwrotnie. Ratunek dla milionów ludzi, zagrożenia dla zdrowia wynikające z pandemii i cudowne remedium. Już to pozwala na zapalenie czerwonej lampki ostrzegawczej i skłania do przyjrzenia się sprawie. No cóż, taki Nobel zaraz po pandemii nie może być przypadkowy i pora rozłożyć to na czynniki pierwsze.

ZA CO TEN NOBEL

Para naukowców, dość dawno zresztą, odkryła, że wystarczy tylko urydynę zastąpić pseudourydyną, a system immunologiczny da się oszukać. Ten nieoszukany odkrywał obce mRNA w organizmie i poddawał je procesowi rozpadu. Modyfikacja pozwala na zwiększenie wydajności wprowadzania obcego mRNA do ludzkich komórek i umożliwia tworzenie dużej liczby protein przez organizm, przy jednoczesnym stłumieniu naturalnych odpowiedzi immunologicznych na te białka. Czyli noblowskie odkrycie umożliwiało ukrycie obcego (tu – wstrzykniętego) mRNA przed reakcją systemu odpornościowego, co umożliwiało w rezultacie wniknięcie do komórki i przeprogramowanie jej na produkcję słynnego już białka kolcowego.

Wszystko super, pod warunkiem jednak, że to mRNA jest bezpieczne. A przed stosowaniem tej technologii ostrzegał… sam laureat. Jeszcze pięć lat temu w opublikowanej w 2018 r. w „Nature" pracy „Szczepionki mRNA – nowa era w wakcynologii" tegoroczny noblista Drew Weissman zwracał uwagę, że podczas gdy badania przedkliniczne wywołały wielki optymizm co do perspektyw i zalet szczepionek opartych na mRNA, ostatnie doniesienia kliniczne doprowadziły do ostudzenia oczekiwań. Szczepionki oparte na platformie mRNA zostały zarzucone nawet w przypadku aplikowania ich zwierzętom, a nawet ludziom, dla których były już ostatnią, rozpaczliwą szansą na ocalenie życia.

eprasa.pl c5017bbff7

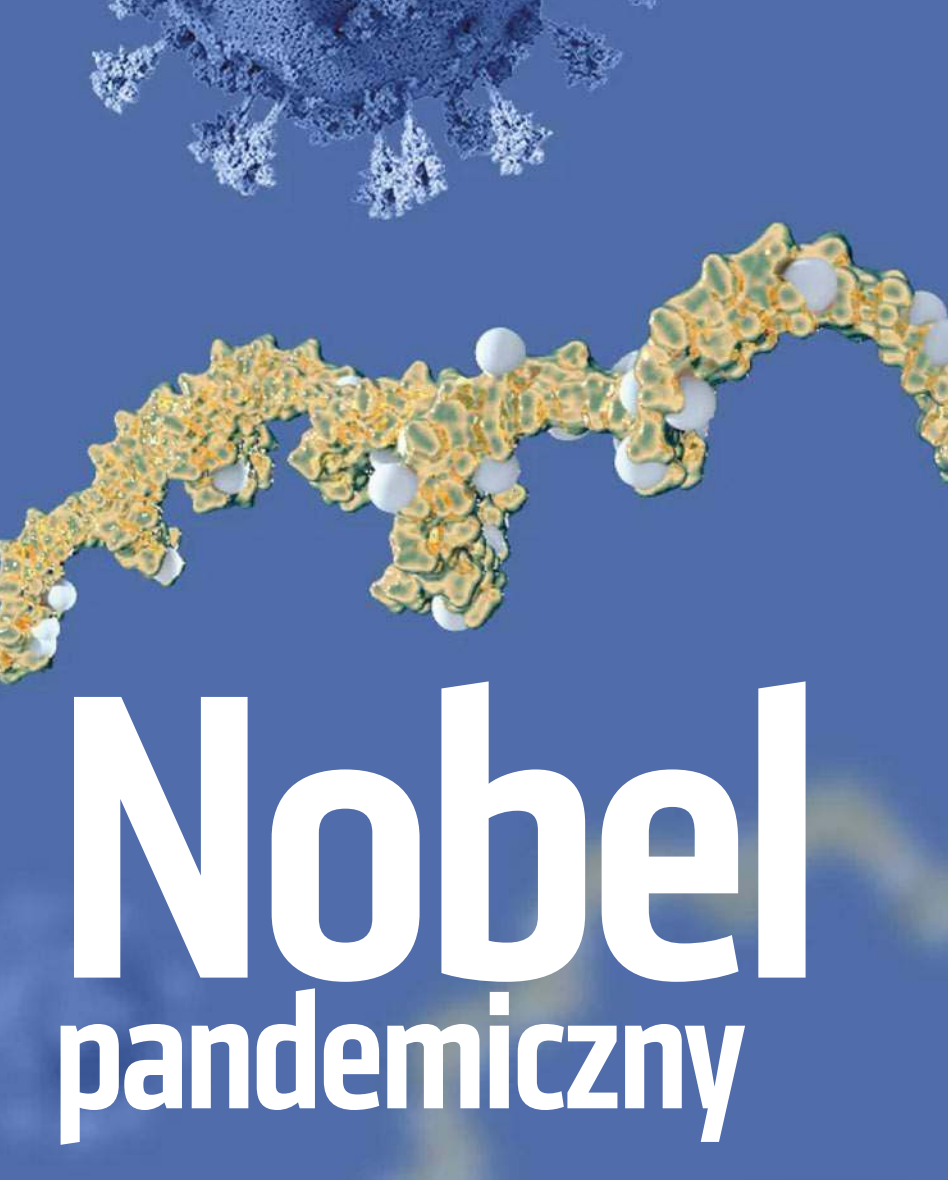

Nobel pandemiczny

Cudownie zostały wyciągnięte z kosza na czas pandemii, kiedy nagle stały się zbawienne, głównie na podstawie decyzji organów kontrolnych, opartych nie na badaniach własnych, ale na raportach dostarczonych przez producentów. Badania poddane później analizie nie wytrzymały naukowej próby, ale nie ma to obecnie żadnego znaczenia. Same rządy pospieszały producentów, by się nie certolili z procedurami, które trwać powinny latami – mieli dostarczyć nadzieję na „co bądź", w dodatku umowy z państwami powodowały, że to władze stały się wyłącznymi adresatami ewentualnych żądań odszkodowawczych. Podatnik miał ze swoich podatków zapłacić za błędy rządzących. Klasyka.

PRAWDZIWY LAUREAT

Robert Malone, komentując decyzję Komitetu Noblowskiego, zwrócił uwagę, że wynalazczość w zakresie produkcji, struktury i wykorzystania mRNA do celów szczepionkowych jest od dawna chroniona przez Urząd Patentów i Znaków Towarowych Stanów Zjednoczonych. Przez wiele patentów otrzymanych na podstawie jego prac z lat 1987–1991, z których wszystkie wymieniają Malone jako wynalazcę. Nie jest jasny powód, dlaczego Komitet Noblowski zdecydował o przyznaniu nagrody, ograniczając się do samych szczepionek COVID-19 mRNA, zamiast uhonorować pomysłodawców i twórców technologii platformy, która umożliwiła ich powstanie. Bo odkrycia laureatów nie odnoszą się do zastosowania tych technologii do szczepionek, o czym tak szczodrze wspomina się w uzasadnieniu nagrody. Żadna z przytaczanych przez Komitet Noblowski publikacji nie omawia potencjalnego wykorzystania odkrycia do opracowania szczepionki, tak jak to zrobił Robert Malone w swoich badaniach 15 lat wcześniej.

Obecne odkrycie nie było przełomowym ulepszeniem istniejącego stanu wiedzy, który umożliwił opracowanie szczepionek, bo szczepionka CureVac niemieckiego koncernu chemicznego Wacker, która nie zawierała pseudourydyny, także dawała silną kliniczną odpowiedź adaptacyjną przeciwciał przeciwko SARS-CoV-2. Dawka (i – jak się wydaje – także toksyczność) preparatu mRNA zastosowanego przez CureVac w testach klinicznych była niższa niż ta zastosowana przez Modernę i BioNTech, a miana przeciwciał, chociaż niższe, nadal były dość znaczne. Badania kliniczne zostały jednak przerwane, a CureVac zrezygnował z rywalizacji w wyścigu szczepionek przeciwko COVID-19, prawdopodobnie z powodu braku wystarczających funduszy.

Nie ma jednak wątpliwości, że włączenie pseudourydyny nie jest konieczne, aby dostarczony mRNA wywołał adaptacyjną odpowiedź immunologiczną. Twierdzenie, że włączenie pseudourydyny jest odkryciem „umożliwiającym" opracowanie skutecznych szczepionek mRNA przeciwko COVID-19, jest więc fałszywe.

SZCZEPIONKI – OCENA PO LATACH

Twierdzenia o cudownej roli szczepionek i uratowaniu milionów ludzi przed śmiercią, a także umożliwienie im powrotu do normalności wydają się mocno przesadzone. Szczepionka powoduje wiele problemów, a używanie argumentu, że dzięki niej doszliśmy od śmiertelności 3,4 proc. do poziomów 0,15–0,27 proc. to propaganda. Jest na to wiele dowodów, począwszy od tego, że samo mierzenie zakażeń było wątpliwe z powodu dyskusyjnej wiarygodności testów stwierdzających zakażenie. Bez tej pewności można produkować wszelkie dane o śmiertelności, bo nie wiadomo, na co naprawdę zmarli ci ludzie.

Skoro nie można zmierzyć skuteczności szczepionki jako ochrony przed śmiercią, to może chociaż można ocenić jej bezpieczeństwo? Jak nie wiadomo, czy leczy, to może sprawdzić, czy przy-

eprasa.pl c5017bbff7

padkiem nie szkodzi? Na pewno nie zapobiega transmisji, bo sami producenci zeznali, że nie badali szczepionek na tę okoliczność. A więc czy szkodzi?

Okazało się, że tego też nikt nie badał, a wszelkie decyzje dopuszczeniowe zostały podjęte przez władze na podstawie niepełnych danych od producentów. Czemu niepełnych? Ano dlatego, że sami rządzący pośpieszali producentów o wyniki i musiały z nich wypaść badania odległych skutków szczepionek, takich chociażby jak np. wpływ na rozrodczość czy płody zaszczepionych matek. W końcu i producenci, i władze długo się bronili przed nazwaniem szczepionek mRNA preparatami genetycznymi, ale już w tej sprawie polegli pod ciężarem oczywistych faktów – jak coś wchodzi do wnętrza komórki i potencjalnie może modyfikować jej genotyp, to nie można o tym opowiadać jak o plasterku na paluszek.

Mamy do czynienia z wysypem wielu chorób w stopniu do tej pory niesłychanym. Kiedy się pochylić nad każdą z grup, to medycyna covidowa zaraz znajduje jakieś ekwilibrystyczne powody, dlaczego akurat w latach 2021–2023 tak musiało się stać. Wtedy należy podbić stawkę. Tak jak ze „sprawdzam" dla pandemii, którym był zerowy (do czasu grzebania w systemie zdrowia) wzrost ponadnormatywnej śmiertelności, tak i teraz można sprawdzić bezpieczeństwo szczepionek na dużej bazie, zadając pytanie: Czy od czasu wprowadzenia szczepionek i zaszczepienia miliardów ludzi wzrosła śmiertelność czy nie?

Obecne analizy oparte na danych dotyczących śmiertelności ze wszystkich przyczyn wskazują albo na brak skuteczności szczepionek, albo na ich skuteczność ujemną, począwszy od dwóch do siedmiu miesięcy po podaniu. Ujemna skuteczność w tym przypadku odnosi się do obserwacji, że biorcy są bardziej narażeni na hospitalizację z powodu COVID-19 niż osoby nieotrzymujące produktów opartych na mRNA.

Badania dowodzą również, że rozpoczęcie kampanii szczepień jest skorelowane ze wzrostem śmiertelności z wszystkich przyczyn, a nie ze spadkiem. W opublikowanym we wrześniu raporcie z badania „Śmiertelność związana ze szczepionką COVID-19 na półkuli

Katalin Karikó i Drew Weissman pracują m.in. w Perelman School of Medicine na Uniwersytecie Pensylwanii FOT. NOBELPRIZE.ORG

południowej" poddano szczegółowej analizie dane dotyczące śmiertelności z jakiejkolwiek przyczyny dla 17 krajów równikowych i półkuli południowej. Udowodniono, że we wszystkich krajach objętych analizą śmiertelność z jakiejkolwiek przyczyny wzrosła po wprowadzeniu szczepionek przeciwko COVID-19.

FOLLOW THE MONEY

Jak powiedział pewien mądry człowiek: „Kiedy szukałem w medycynie nauki – nie znalazłem jej, ale jak zacząłem w nauce szukać pieniędzy, to znalazłem medycynę". Idąc śladem pieniądza, zawsze się trafi na teorie spiskowe, które z upływem czasu stają się coraz mniej teoriami, spiskowość zaś dotyczy raczej nie ich odkrywców, ale uczestników pragnących ją ukryć. To wychodzi zawsze przy takich okazjach, może wyglądać na nudne i maniakalne, ale działa zawsze.

Spójrzmy pod tym kątem na bohaterów dramatu. Mamy trójkąt bermudzki: po pierwsze laureaci. Katalin Karikó, urodzona na Węgrzech biochemiczka, jest wiceprezesem BioNTech RNA Pharmaceuticals i adiunktem w Perelman School of Medicine na Uniwersytecie Pensylwanii. Jest najbardziej znana ze swojej pracy nad technologią mRNA, która jest wykorzystywana w szczepionkach Pfizer i Moderna COVID-19. Doktor Weissman jest profesorem badań nad szczepionkami w Perelman School of Medicine na Uniwersytecie Pensylwanii, tym samym, który nawiązał długoterminową współpracę z firmą Pfizer.

Drugi wierzchołek to dający nagrody. Karolinska Insitutet według słów Roberta Malone'a była silnie dotowana przez Pfizera. To dość powszechna praktyka; jak to mówią niektórzy nowi posłowie: „ryba psuje się od góry". Skoro WHO podejmująca międzynarodowe decyzje w sprawie zdrowia publicznego jest dotowana w 80 proc. przez prywatne firmy, to nie ma się co dziwić jednemu instytutowi medycznemu, który przypadkiem łączy dwie funkcje – dostaje granty od Big Pharmy i wybiera laureata noblowskiej nagrody w dziedzinie medycyny. Czasami ten „konflikt interesów" jest łagodzony decyzją koncyliacyjną – jak ta obecna.

Trzecim wierzchołkiem tego covidowego trójkąta jest Big Pharma, która łączy sponsorskimi ramionami wszystkie poprzednie wierzchołki. I tak – instytuty są oczywiście jak najbardziej obiektywne, naukowcy zaś podążają za prawdą.

SKUTKI DECYZJI

Widać, że wyciągnięto laureatów z covidowego kapelusza. Pytanie tylko: po co? Jedni – ci bardziej optymistyczni – uważają, że chodzi tu o ochronę szczepionkowych rozrabiaczy: rządowych decydentów, pośpieszanych producentów oraz autorytetu medycznych koryfeuszy, którzy na szczepionkach wybudowali – albo tylko na nich postawili – swą wątpliwą karierę. Teraz to wszystko ma być uświęcone (i rozgrzeszone) autorytetem noblowskim.

Drudzy – mniej optymistyczni, których tu nazwę realistami – uważają, że tu nie chodzi o ochronę przeszłości, ale prewencję, czyli działania na przyszłość. I nie tylko dlatego, że światowe władze zdrowotne nie słuchają ostrzeżeń i dalej wmuszają w strategicznych rezerwach i regulacyjnych pułapkach szczepienne covidowe szaleństwo, ale że pocovidowa nauka sponsorowana uznała całą platformę szczepionek mRNA za skuteczną i bezpieczną do całej serii innych powszechnych szczepień, nie tylko na COVID-19. Co razem z doskonalonym paszportem covidowym i rozszerzaną listą szczepień obowiązkowych gotuje nam świetlaną przyszłość, w której blasku grzać się będą chyba już tylko laureaci Nobla, wyciągnięci taktycznie z mroków, by oświetlić ich jako personifikację bohaterskiego covidianizmu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c5017bbff7

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Zdrajca Marian Spychalski

Przypadkiem był rzadkim: inteligent, architekt, a także członek nielegalnej Komunistycznej Partii Polski i agent sowieckiego wywiadu.

W wojsku nie służył, w wojnie 1939 r. udziału nie wziął. W konspiracji był, owszem, ale komunistycznej. Został z marszu jednym z czołowych działaczy PPR i szefem sztabu Gwardii Ludowej. Wkrótce objął funkcję szefa Wydziału Informacji (wywiadu i kontrwywiadu). Awansował od razu do stopnia… majora GL. Jednym z jego głównych zadań było rozpracowywanie działaczy Polskiego Państwa Podziemnego oraz kadry oficerskiej AK i NSZ. Miał, niestety, wiele niewątpliwych sukcesów, ustalając nazwiska wielu działaczy PPP.

Jedną z najbardziej haniebnych akcji antypolskich było zdobycie konspiracyjnego lokalu Wydziału Bezpieczeństwa Delegatury Rządu (17 lutego 1944 r.) i przejęcie znajdującego się tam archiwum. Akcja została przeprowadzona wspólnie z gestapo, kierował nią SS-Hauptsturmführer Wolfgang Birkner. Napastnicy podzielili się łupem sprawiedliwie – Niemcy wzięli dokumenty dotyczące zbrodni niemieckich, PPR-owcy dotyczące ich rozpracowań. Po wszystkim Niemcy (?) zamordowali siedem osób znajdujących się w zdobytym lokalu.

Spychalski wkrótce został oddelegowany do Moskwy, wraz ze „zdobyczą". Musiała być dla Sowietów cenna, skoro na Kremlu otrzymał stopień majora ludowego Wojska Polskiego. Od tej pory jego dwoista kariera (wojskowa i polityczna) potoczyła się błyskawicznie: w ciągu zaledwie roku doszedł do stopnia generała dywizji (!), został też członkiem Komitetu Centralnego i Biura Politycznego PPR.

W latach 1950–1956 w ramach wewnętrznych porachunków w PZPR był więziony (sprawa Władysława Gomułki). Do łask powrócił w październiku 1956 r., zostając m.in. ministrem obrony narodowej, członkiem Biura Politycznego i wkrótce marszałkiem „ludowego" wojska. Jego ponowna błyskotliwa kariera została jednak przerwana w 1968 r., w związku z kampanią „odżydzania" wojska i partii, którą prowadził Wojciech Jaruzelski. Spychalski (przez swych przeciwników zwany „Mońkiem") został Przewodniczącym Rady Państwa PRL. Była to namiastka tytularnej prezydentury PRL.

Jego brat Józef (płk sł. st. WP) był przewidziany na zastępcę dowódcy AK. Z racji utrzymywania potajemnych kontaktów z Marianem został przesunięty aż do Krakowa, na komendanta okręgu. Żona Józefa, Eleonora, od jesieni 1939 r. była funkcjonariuszką sowieckiego wywiadu, w KG ZWZ-AK pełniła funkcję w Oddziale V – łączności. Równolegle od 1942 r. służyła w wywiadzie GL-AL, podlegając swemu szwagrowi Marianowi. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Choinka a sprawa polska

Jednym z najbardziej charakterystycznych symboli świąt Bożego Narodzenia jest choinka, chociaż przystrajanie świerka lub jodły jest obyczajem stosunkowo młodym. Tradycja pochodzi bowiem z Alzacji i związana jest z kulturą protestancką. Wielkim admiratorem choinki był Marcin Luter, dzięki czemu obyczaj ten przyjął się w ewangelickich częściach Niemiec. Do Polski przynieśli go osadnicy z Zachodu w czasach zaborów i początkowo zyskał popularność wyłącznie w miastach, ale z czasem trafił do domów w całym kraju.

Choinkę przystrajano początkowo ozdobami wykonanymi w domu, do tego dochodziły jeszcze cukierki, owoce czy pierniczki. Ważnym elementem były świeczki mające odstraszyć złe moce, będące przy okazji najbardziej niebezpiecznym elementem wystroju drzewka. W drugiej połowie XIX w. pojawiły się szklane bombki choinkowe, natomiast na elektryczne oświetlenie drzewek trzeba było jeszcze długo czekać.

W ziemiańskich dworach z reguły przestrzegano zasady, by choinka nie stała w tym samym pomieszczeniu, w którym spożywano kolację wigilijną. Wiadomo było bowiem, że leżące pod nią prezenty będą rozpraszać najmłodszych uczestników uroczystości. Wreszcie jednak nadchodziła właściwa chwila i dzieci wbiegały do pomieszczenia, w którym stała choinka, a pod nią leżały prezenty.

Chociaż drzewko stało się uniwersalnym symbolem Bożego Narodzenia, to w poszczególnych regionach Polski różnie nazywano postać przynoszącą prezenty. Najbardziej popularny był oczywiście Święty Mikołaj, ale na Górnym Śląsku podarunki przynosiło Dzieciątko, natomiast na Podkarpaciu aniołek. Na dawnych terenach zaboru pruskiego (Wielkopolska, Pomorze, Kujawy) domowników zaopatrywał gwiazdor – postać o twarzy pokrytej sadzą, w futrzanej czapie, a czasami z rózgą dla niegrzecznych dzieci. Oczywiście w czasach PRL usiłowano wprowadzić „świecką tradycję" i prezenty miał rozdawać Dziadek Mróz. Pomimo natrętnej propagandy nie przyniosło to efektów, chociaż trzeba przyznać, że władze próbowały zadziwiających metod, by wykorzenić katolickie treści z obyczajów bożonarodzeniowych.

W »Twórczości« w numerze grudniowym – notowała ze zgrozą Maria Dąbrowska – drukowana jest epopeja o Stalinie jakiegoś gruzińskiego poety, wzorowana zupełnie na kantyczkach i kolędach o narodzeniu Chrystusa. Jest i »święta rodzina« (dla odmiany – szewców) i ludzie śpiewający z darami etc. [...]. I jeśli dalej ta koszmarna inscenizacja się uda, to śmierć Lenina i narodzenie Stalina będą świętowane zamiast Bożego Narodzenia".

Na szczęście nigdy do tego w naszym kraju nie doszło… ©℗

eprasa.pl c5017bbff7

Terlikowski, Kędzierski i permisywizm seksualny

Paweł Chmielewski

Coraz więcej katolików w Polsce zastanawia się nad gruntownym odrzuceniem pryncypiów teologii moralnej, której naucza Kościół katolicki. To nie tylko teologowie związani z „Więzią" czy „Tygodnikiem Powszechnym", lecz także znani publicyści. Szczególnie niepokojące jest to, że mają sojuszników... wśród wielu czołowych hierarchów Watykanu

FOT. ADOBE STOCK/12 KREDEK

W dziedzinie seksualności nauka Kościoła jest banalnie prosta. Akt seksualny jest moralnie właściwy wówczas, gdy dokonuje się w małżeństwie i gdy zachowana zostaje jego wewnętrzna otwartość na przyjęcie nowego życia. Wszystko inne jest grzechem, zależnie od okoliczności ciężkim lub rzadziej lekkim. Katolicyzm głosi tę prawdę niezmiennie od dwóch tysięcy lat, co nierzadko było przedmiotem ataków, szyderstw czy polemik. Nigdy jednak teologiczna krytyka nauki Kościoła nie była tak zaawansowana i szczegółowa jak dzisiaj – i w tym sensie obecne wyzwanie, choć w swojej istocie jest katolicyzmowi znane, rodzi szczególne trudności. Tym bardziej że towarzyszy mu gigantyczna siła oddziaływania współczesnej kultury, która nie może zrozumieć samych fundamentów stojących za katolicką teologią moralną.

W ostatnich miesiącach w Polsce próbę wprowadzenia do naszej dyskusji wątków permisywizmu moralnego w dziedzinie seksualności podejmuje zwłaszcza dwóch publicystów: Marcin Kędzierski oraz Tomasz Terlikowski. Czynią to na różne sposoby i odmiennymi środkami. Kędzierski gra w otwarte karty i stawia konkretne postulaty, podczas gdy Terlikowski zadaje raczej pytania i w niektórych tekstach sugeruje, że zmiany w nauce Kościoła mogą być jakoby po prostu nieuchronne. To, co ich łączy, to przyjmowanie tzw. perspektywy relacyjnej, to znaczy twierdzenie albo przypuszczanie, jakoby obiektywne normy prawa moralnego musiały ustąpić lub zostać głęboko przemodelowane ze względu na uczucia łączące partnerów seksualnych.

Kędzierski dał temu wyraz w głośnym i szeroko komentowanym tekście pt. „Katolicka etyka seksualna: przed drugim etapem rewolucji relacyjnej", który opublikował latem na łamach „Więzi". Terlikowski wyraził to np. w „Plusie Minusie" w połowie września. Pierwszy z autorów skupił się na próbie argumentowania za dopuszczalnością antykoncepcji oraz innych form obezpładniania aktów seksualnych w małżeństwie; drugi wyciągając logiczne wnioski z tej perspektywy, stawiał np. pytanie o to, dlaczego mamy nadal „wyłączać z przestrzeni etycznej akceptacji pary jednopłciowe". Czytelnik zainteresowany szczegółami ich wizji bez trudu odnajdzie właściwe teksty w Internecie; ja chciałbym skupić się raczej na pokazaniu źródeł, kontekstu i konsekwencji myślenia, które proponują wymienieni autorzy oraz grono teologów skupionych wokół kilku liberalnych ośrodków teologicznych w Polsce.

ŹRÓDŁA PROBLEMU

Głównym filozoficznym źródłem próby wprowadzenia do Kościoła permisywizmu seksualnego jest autonomia moralna Immanuela Kanta z jej postulatem nakładania na człowieka tylko takich etycznych ograniczeń, które wynikają z czysto rozumowej analizy rzeczywistości; oznacza to w praktyce odrzucenie jakiegokolwiek zewnętrznego autorytetu, w tym autorytetu Pisma Świętego oraz oczywiście papieża. Kantowska filozofia została włączona do teologii chrześcijańskiej najpierw przez autorów protestanckich, później, już w XX w., również przez katolickich. Przyjęcie absolutnego prymatu racjonalnej analizy oznacza konieczność oparcia się wyłącznie na twierdzeniach naukowych. W dziedzinie seksualności kierunek rozwoju wyznaczają prace freudystycznych psychiatrów, zwłaszcza Wilhelma Reicha, spopularyzowane przez takich filozofów jak Herbert Marcuse, Michael Foucault, Judith Butler i inni.

Do tego dochodzi kontekst swoistej kultury dialogu w samym Kościele. Po Soborze Watykańskim II Kościół katolicki zaczął funkcjonować w nowym paradygmacie odniesienia do świata, które odtąd miało stać się pozytywne i nastawione na wzajemną wymianę. Od rewolucji seksualnej 1968 r. wielu zachodnich teologów jest żywo zainteresowanych przeprowadzeniem takiej wymiany również na gruncie teologii moralnej. Współczesna kultura ukształtowana przez myśl oświeceniową i postmodernistyczną jest całkowicie niekompatybilna z klasyczną katolicką moralnością. W praktyce więc wymiana jest jednokierunkowa – to wyłącznie autorzy katoliccy przyjmują świeckie normy, nigdy odwrotnie. Stoi za tym z jednej strony chęć utrzymania się

eprasa.pl c5017bbff7

w głównym nurcie debaty intelektualnej Zachodu, z drugiej strony pragnienie niwelowania napięcia pomiędzy Kościołem a światem, w którym żyjemy.

Fundamentalne znaczenie mają też głębokie przemiany społeczne spowodowane gwałtownymi przekształceniami w kulturze materialnej. To zwłaszcza rewolucja feministyczna, napędzona przez wynalezienie skutecznych środków antykoncepcyjnych. Tradycyjna wielodzietna rodzina nie jest już modelem wzorcowym w żadnym rozwiniętym państwie Zachodu; wzorcem stała się rodzina z niewielką liczbą dzieci, w której zarówno ojciec, jak i matka angażują znaczną część swoich sił w pracę zawodową. Realizacja tego modelu w skali masowej jest niemożliwa bez odrzucenia katolickiej nauki moralnej; duszpasterze odczuwają w efekcie naturalną pokusę pośredniego lub bezpośredniego sięgania po teologów inspirowanych filozofią oświeceniową i postmodernistyczną, bo dzięki temu ich przesłanie trafia w gusta i oczekiwania odbiorców. Jaki ksiądz albo katecheta powiedzą dzisiaj, że sposób życia zdecydowanej większości otaczających go katolików jest głęboko nieuporządkowany?

KAPITULUJĄCY KOŚCIÓŁ

To bardzo trudne, tym bardziej że duszpasterze nie mają dobrego oparcia w aktualnej nauce papieży. Można wprawdzie odwoływać się do prostych i oczywistych zakazów stosowania antykoncepcji, niegodziwości wchodzenia w relacje przed- i pozamałżeńskie czy nawet homoseksualne, ale jest to mało skuteczne. Między formacją intelektualną, moralną i duchową współczesnych ludzi a nauczaniem Kościoła zieje gigantyczna przepaść: nauka Kościoła wywodzi się z prawa naturalnego i Objawienia, a współczesna kultura jest jak najdalsza od kontaktu zarówno z jednym, jak i z drugim. Zamiast podjąć próbę nowego przedstawienia światu swojej wielowiekowej nauki, Kościół tymczasem stopniowo rezygnuje z wielu istotnych elementów własnej Tradycji

Do 1954 r. Kościół katolicki jednoznacznie uczył np. o tym, że życie w dziewictwie jest zasadniczo lepsze i doskonalsze od życia w małżeństwie. Pius XII opisał to i uzasadnił w encyklice „Sacra virginitas". Niestety, zarówno św. Jan Paweł II, jak i Franciszek w różnych wystąpieniach i dokumentach sugerowali, że nie należy mówić o takiej wyższości i należy raczej wskazywać na dziewictwo i małżeństwo jako formy równoważne. Podejrzewam, że wielu czytelników instynktownie zgadza się z takim poglądem; jest to jednak efekt zastąpienia w naszym codziennym myśleniu tradycyjnego katolickiego ujęcia ujęciem rewolucyjnym. Dla przeszłych pokoleń było oczywistością, że dziewictwo jest lepsze od małżeństwa. Dziś już tak nie jest, a Kościół po prostu abdykował z głoszenia prawdy.

Do tego dochodzi poważne zaburzenie w przedstawianiu celów małżeństwa. Do 1968 r. Kościół mówił zawsze, że głównym zadaniem małżeństwa jest płodzenie potomstwa, a relacja między małżonkami jest wprawdzie ważna, ale jednak podporządkowana tamtemu celowi prymarnemu. W encyklice „Humanae vitae" św. Paweł VI zaczął sugerować równoważność celów prokreacyjnego i relacyjnego, a późniejsza teologia i duszpasterstwo zaczęły wprost przedkładać cel relacyjny nad prokreacyjny. Nagle okazało się, że małżeństwo służy budowaniu miłości między małżonkami, a dzieci mogą, ale wcale nie muszą pojawiać się w małżeństwie, są niejako dodatkiem. Dlatego właśnie Marcin Kędzierski może argumentować za dopuszczalnością antykoncepcji: niemal wszystko, co wzmacnia relację między małżonkami, staje się właściwe i godziwe. Tomasz Terlikowski może pytać o dopuszczalność aktów homoseksualnych, bo przecież i one mogą być nakierowane na budowanie intymnej i miłosnej relacji między partnerami.

Nie możemy poddawać nauki moralnej Kościoła chaosowi i zaburzeniom współczesności

W Rzymie taka etyka relacyjna odnosi dzisiaj poważne triumfy. W 2016 r. jej elementy zostały zawarte w adhortacji „Amoris laetitia" papieża Franciszka. Przewodniczący Papieskiej Akademii Życia abp Vincenzo Paglia, wychodząc od prymatu relacji w związkach, mówi o możliwości zaakceptowania antykoncepcji. W grudniu Dykasteria Nauki Wiary – za oficjalną aprobatą papieża – wydała deklarację „Fiducia supplicans", w której udzielono zgody na błogosławienie osób żyjących w związkach „nieregularnych" oraz „homoseksualnych", w imię docenienia „wartości" takich jak „wzajemna odpowiedzialność".

SPRAWY NIE BEZ ZNACZENIA

Wielu uważa, że zmiany w zakresie etyki seksualnej są dopuszczalne, bo to sprawy drugorzędne względem istoty wiary chrześcijańskiej: Bóg wcielił się w człowieka, śmierć krzyżowa Boga-Człowieka odkupiła ludzi, Chrystus zmartwychwstał i w Nim czeka zbawienie. To jednak jeszcze nie wszystko. Pan Jezus uczył również o moralności; a Sobór Trydencki bardzo jednoznacznie ogłosił, że Kościół jest nieomylny zarówno w zakresie wiary, jak i moralności. Powtórzyły to w różnych formach oba sobory watykańskie. Jeżeli współcześni katolicy uznaliby, że w sprawach moralnych Kościół przez dwa tysiące lat się mylił, to powstałby nierozwiązywalny problem. Skoro Kościół mylił się, mówiąc, że ma uprawnienie do definiowania moralności, to mylił się w sprawie własnych kompetencji, to znaczy wiary w to, czym on sam jako Kościół jest. Jeżeli tak, to dlaczego nie miałby się mylić, twierdząc, że został uprawniony przez Chrystusa do świadczenia o Jego śmierci i zmartwychwstaniu? To również jest przedmiotem wiary.

A przecież – i to jest najważniejsze – tradycyjna nauka Kościoła na temat moralności seksualnej jest po prostu obiektywnie słuszna i prawdziwa. Nasze czasy nie mogą tego dostrzec tylko dlatego, że są całkowicie oderwane od naturalnego porządku. Nie możemy jednak poddawać nauki moralnej Kościoła chaosowi i zaburzeniom współczesności; odwrotnie – naszą miarą jest właśnie porządek naturalny. Biorąc pod uwagę współczesną sytuację człowieka, teologia moralna powinna, być może, przyjąć bardziej złożoną ocenę wagi różnych grzechów seksualnych; nie może jednak posunąć się do tego, by czyn obiektywnie nieuporządkowany i zły po prostu nazwać właściwym i dobrym. Byłby to błąd, a w Kościele nie ma miejsca na błędy doktrynalne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl c5017bbff7

Krzysztof Masłoń

Bohater podłych czasów

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

Fakty z życia człowieka bez sumienia

W tekście pośmiertnym „New York Times" nazwał go „zajadłym komunistą, który stał się bohaterem wolności słowa" i „człowiekiem, którego Polacy kochali nienawidzić". Jedno i drugie to nieprawda; komunistą, przynajmniej formalnie, nie był, a do PZPR, mimo ponawianych prób, nie chciano go przyjąć. Sławę zdobył w czasach, w których o wolności słowa Polacy mogli jedynie marzyć, on zaś skwapliwie to wykorzystywał. Nie kochano go nienawidzić, ale nienawidzono, i to z całej mocy. Tyle że ograniczano się do lżenia go na rozmaite sposoby, a obelgi – co zauważył Marek Nowakowski w powstałych w 1985 r. „Kamieniołomach" – „… tylko rajcują Urbana. Uwielbia gniew i obrzydzenie na swój temat. Traktuje jako cenne dowody popularności". Do czasu – pisał Nowakowski – „sprawiał wrażenie sceptycznego libertyna bez ambicji udziału w rządzeniu. Tymczasem jego ostatnia kreacja rzecznika prasowego rządu wyraźnie odpowiada mu najbardziej. Rozkwitł wszystkimi kolorami. Istny paw. Jest w nim coś ze sprzedajnych pismaków epoki stanisławowskiej. Podobny do takich osobistości, jak Kalasanty Szaniawski – jakobin, później ruski cenzor w Kongresówce, czy Jacek Jezierski – osławiony kasztelan z Łukowa, radykał i pamflecista, wreszcie targowiczanin. Była taka tradycja. Urban w jej ciągu. Uznał, że czasy generałów to światły absolutyzm, i myśli o sobie jak Wolter przy pruskim Fryderyku. Kto go tam wie. Pychy i próżności wiele w tej baryłce".

W „Nowej Wsi", w której rozpoczynał dziennikarską karierę, nazywano go „Brzusiem", dla podwładnych w „Nie" był „Tatusiem", naród nazywał go „Uszatkiem". Albo po prostu „ch..em".

Przeżył 89 lat. Zmarł 3 października zeszłego roku; dokładnie w rocznicę śmierci zmarła jego trzecia z kolei żona, Małgorzata Daniszewska. Śmierć małżonka skwitowała w „Nie" zdaniem: „Łysy walnął w kalendarz". Teraz walnęła i ona, co skwapliwie odnotowały media, przy okazji odmładzając ją o cztery lata. W rzeczywistości ta trzecia żona Urbana młodsza była od niego o 18 lat. Pobrali się na Mazurach w czerwcu 1985 r. On – dwukrotny rozwodnik, miał 52 lata, ona – raz rozwiedziona, lat 34. Mieli po jednej córce.

Fakty z życia tego człowieka bez sumienia czy – jak sam o sobie mawiał – z sumieniem idealnie czystym, bo nieużywanym, porządkuje wydana właśnie przez uważaną niegdyś za bogobojną oficynę Znak biografia „Urban" Doroty Karaś i Marka Sterlingowa. Ponad 600-stronicowa.

INFANTYLNY TROLL

Długimi latami przekonywał, że piewcą stanu wojennego stał się na skutek nagłej, wielkiej i niepohamowanej miłości do gen. Jaruzelskiego. Teraz zebrane zostały dowody, że było to uczucie odwzajemnione. I to jeszcze jak!

„Czy pan wie, kim są dwaj najodważniejsi ludzie, jakich spotkałem w życiu? Mówię o tym z pewnym zażenowaniem, jako że żaden z nich nie jest wojskowym. Jeden to Michnik – wreszcie zrozumiałem, co to za człowiek – a tym drugim, co może pana zdziwić, jest Jerzy Urban" – mówi Jaruzelski Lawrence'owi Weschlerowi. Dziennikarz „New Yorkera" w 1995 r. opisuje sylwetkę Urbana dla prestiżowego amerykańskiego magazynu. W „Urban Blight" były rzecznik jest przedstawiony jako postać niezwykła, wręcz magiczna. Parę lat później Weschler dołączy tekst do książki o znaczących osobach żydowskiego pochodzenia z Europy Środkowej. Urban znajdzie się tam m.in. obok reżysera Romana Polańskiego i rysownika Arta Spiegelmana (twórcy komiksu „Maus"). Tytuł „Urban Blight" zostanie przetłumaczony na polski jako „Troll".

On sam o swoim żydostwie mówił z dystansem: „Czuję się bardziej Polakiem niż Żydem. Często nawiązuję do swojego pochodzenia, ale traktuję to

eprasa.pl c5017bbff7

z ironią". Gdy przypominano, że w 1956 r. oskarżano go o antysemityzm, prostował: „Raczej antyizraelskość. Mnie się ten kraj nie podobał. Arabowie byli w nim prześladowani. ONZ nazwał go wówczas krajem rasistowskim". Utrzymywał też, że „prześladowania Żydów w 1968 roku nie były takie straszne. Wyjazdy? Utrata intratnych posad to nie powód, żeby przestać się czuć Polakiem albo przestać wierzyć w ideały". Nie precyzował, o jakie ideały mu chodziło.

Nie uważał się za dziecko Holokaustu, choć gdyby jego rodzicom nie udało się w 1939 r. zmienić okupacji niemieckiej na sowiecką i przedostać się z Łodzi do Lwowa, trafiliby pewnie do getta, a tam niemający jeszcze w 1942 r. 10 lat chłopiec nie przeżyłby zapewne akcji nazwanej „Wielka Szpera", w której straciły życie żydowskie dzieci mające mniej niż właśnie 10 lat.

Najczęściej grywał trefnisia, uważając, że w błazeńskiej czapce mu do twarzy, ale zdarzyło się – w książce „Jerzy Urban o swoim życiu rozmawia z Marią Stremecką" (2013) – zaprezentować „swoją refleksyjną oraz inteligencką stronę". Przyznaje się tam – czytamy teraz – „do podziwu dla filozofa Zygmunta Baumana, tłumaczy się z wrogości wobec wszelkiego nacjonalizmu (zalicza do niego syjonizm i polski patriotyzm), podkreśla więź z dyskryminowanymi (gejami, czarnymi, imigrantami). Przyznaje, że wrażenie zrobiła na nim książka Jana T. Grossa »Sąsiedzi«, opisująca pogrom Żydów w Jedwabnem, którego sprawcami byli Polacy. O mordach słyszał wcześniej, ale nowością dla niego był ostracyzm wobec Polaków, którzy Żydów ratowali.

Dochodzi też do wniosku, że jego własna pamięć z czasów okupacji jest infantylna. Zmuszony przez Stremecką określa swoją tożsamość: jest Polakiem żydowskiego pochodzenia. Ma też poczucie podwójnego wstydu, bo nacjonalizm jest właściwością i Żydów, i Polaków".

Wstydzić powinien się za milion innych rzeczy, a swoje poglądy pro- i antyżydowskie zmieniał w zależności od koniunktury. Po „Szoah" Claude'a Lanzmanna grzmiał przeciw temu filmowi, doprowadzając zresztą do emisji jego fragmentów w Telewizji Polskiej. Niebawem jednak pogodzi się z wymową „Szoah", podzielając twierdzenie Lanzmanna, że „za antysemityzm Polaków odpowiada Kościół". Bezbożnictwo Urbana było zresztą wyjątkowe i raziło nawet pomniejszych nieprzyjaciół Kościoła. Z tym większą satysfakcją po nagłośnionych przypadkach księży pedofilów pisał: „W latach 90. »Gazeta Wyborcza« oskarżała »Nie« o zoologiczny antyklerykalizm. Teraz wprowadziła się do sąsiedniej klatki". I rzeczywiście.

ZŁOŚLIWY ŻÓŁTODZIÓB

W jakiejś mierze był samoukiem czy wręcz niedoukiem. Jeśli mu wierzyć, to maturę zdał dzięki przynoszonym przez matkę nauczycielom jedwabnym krawatom, chusteczkom i pończochom, które przysyłał kuzyn z Mediolanu, a na studia dziennikarskie, których ostatecznie nie ukończył, dostał się dzięki wsparciu ojca.

Języków obcych nie znał, dopiero na stare lata zaczął dukać po angielsku. Swoją drogą ciekawe, kto streszczał mu filmy oglądane na festiwalach, na które wysyłała go „Polityka". Ale też z takiego Nowego Jorku przysłał tekst ciekawszy niż stali korespondenci, rezydujący w Stanach od lat. No cóż, był inteligentny, co przyznawali nawet jego wrogowie, a cóż dopiero przyjaciele.

Maria Lewińska, pisząca po polsku pisarka izraelska, która z kraju wyjechała w 1958 r., na temat Urbana wręcz piała, twierdząc, że nie znała człowieka bardziej błyskotliwego. A była jego koleżanką z uniwersytetu, na który jednak zaglądał sporadycznie, zajęty pracą dziennikarską w „Nowej Wsi". Redaktor naczelna pisma, Irena Rybczyńska, matka Agnieszki Holland, tak go wspominała: „To był przystojny, trochę nieśmiały [sic! – przyp. K.M.] chłopiec. Przyszedł z opinią utalentowanego, nieco niesfornego żółtodzioba. Ale był zabawny, wesoły, egzotyczny – coś nowego, bo całkiem wolny od piętna Holokaustu, jak się wydawało. Byli w redakcji inni Żydzi, starsi, posępni, ale Jerzy był zupełnie inny. Lubiano go, ale potrafił być

eprasa.pl c5017bbff7

złośliwy, boleśnie ranić i po prostu nie wiedział, kiedy przestać".

Nawiasem mówiąc, Agnieszka Holland jeden ze swoich pierwszych filmów, nowelę ze zbiorowego dzieła „Obrazki z życia" (1975), zrealizowała właśnie na podstawie jego felietonu „Dziewczyna i »Akwarius«". Inne nowele, reżyserowane m.in. przez Jerzego Domaradzkiego, Feliksa Falka i Barbarę Sass-Zdort, też miały pierwowzory w postaci bardzo popularnych wtedy tekstów publikowanych w „Kulisach", a podpisywanych przez Urbana pseudonimem Jerzy Kibic.

Pisał też Urban scenariusze do kompletnie i słusznie zapomnianych filmów Juliana Dziedziny z 1968 r. „Ortalionowy dziadek" (krótkometrażowego) i „Otello z M-2". Był jeszcze „Sekret" Romana Załuskiego (1973). Rzekomo nie chciał pisać dla Barei, gdyż nie odpowiadało mu jego poczucie humoru. Tak przynajmniej twierdził.

W 1955 r. postawił krok niezwykle ważny w jego drodze zawodowej, przechodząc z „Nowej Wsi" do „Po Prostu". Gdy po zamknięciu przez Gomułkę niepokornego tygodnika szef Biura Prasy KC Artur Starewicz wydał Urbanowi zakaz pracy, z pomocą pospieszył Leszek Kołakowski, radząc: „Idź na studia. Dam ci rekomendację na stypendium w Oxfordzie". Ale uczyć się, i to angielskiego, po co? Podziękował. Niebawem zaczął pisać w „Kulisach" relacje z procesów sądowych. Tak narodził się Jerzy Kibic.

W „Polityce" pod nazwiskiem zadebiutuje w 1961 r. Wcześniej gościł na łamach pisma Rakowskiego jako Jan Rem. Po latach powróci z tą żurnalistyczną ksywą do innych tytułów, że wspomnę tylko „Tu i Teraz".

Na nienawiść zapracował sobie w gorącym czasie po sierpniu 1980 r., wcześniej funkcjonował jako czołowe pióro „Polityki" uznawanej za pismo z lekka krytyczne wobec władzy. Właściwa opozycja dopiero się kształtuje; po wydarzeniach czerwca roku 1976 powstaje Komitet Obrony Robotników. „KOR – czytamy w książce Doroty Karaś i Marka Sterlingowa – zakładają warszawscy inteligenci, uważni czytelnicy »Polityki«. Są wśród nich znajomi Urbana: z Jerzym Andrzejewskim łączy go żona [druga – przyp. K.M.], Adamowi Michnikowi pomagał w publikowaniu tekstów, gdy ten był bez pracy, z Janem Józefem Lipskim spotykał się w redakcji »Po Prostu« (Urban nadal uważa, że Lipski podstępnie wrobił go w podpisanie politycznie zabarwionych kondolencji po profesorze Stanisławie Ossowskim).

Dziennikarze »Polityki« i współpracownicy KOR-u tworzą przenikające się środowiska. Spotykają się w tych samych kawiarniach, śmieją z tych samych kabaretowych numerów, tak samo narzekają na cenzurę i coraz gorsze zaopatrzenie w sklepach. Hanna Krall poznaje lekarza Marka Edelmana, który podpisał się przeciwko zmianom w konstytucji. Wanda Falkowska spotyka się ze sprzyjającymi opozycji adwokatami, m.in. Janem Olszewskim. Doskonałe znajomości w środowisku KOR ma Kazimierz Koźniewski (który współpracuje też ze Służbą Bezpieczeństwa). Urban podejrzewa Fikusa o romans z pisarką Anką Kowalską. Z kolei Ankę Kowalską posądza o romans także z Rakowskim. KOR uważa za salonowe przedsięwzięcie". W czym jednak się myli.

CZŁOWIEK WŁADZY

Na powstanie Solidarności reaguje niemal tak alergicznie jak na wybór papieża Polaka. Nawiasem mówiąc, „Polityka" wiadomość o wynikach tak radosnego dla narodu konklawe podała na trzeciej stronie, na pierwszej publikując reportaż Urbana z Czechosłowacji za temat mający naszą wzajemną, jakże owocną współpracę.

Po latach, w 2002 r., opublikuje artykuł „Obwoźne sado-maso", nazywając Jana Pawła II „Breżniewem Watykanu", „sędziwym bożkiem" i „gasnącym starcem". Będzie go to kosztowało 20 tys. zł grzywny, a w imię gwałconej rzekomo w Polsce wolności słowa bronić będą Urbana Reporterzy bez Granic i Międzynarodowy Instytut Prasy z Wiednia.

Po śmierci Karola Wojtyły ogłasza z dumą: „Nie jestem w żałobie po papieżu. Razi mnie totalny atak triumfującego katolicyzmu. Mierzi obłuda wyrażana przez żałobnie wymodelowane minki prezenterek TV. Razi Lis, który łzawi, żłobiąc bruzdy na make-upie". I tutaj trudno odmówić Urbanowi racji. Pamiętają może państwo łzy Moniki Olejnik po katastrofie w Smoleńsku? No właśnie.

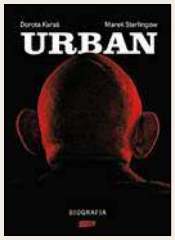

DOROTA KARAŚ, MAREK STERLINGOW „URBAN" ZNAK 2023

Na razie mamy jednak czas Solidarności i Urbana z dnia na dzień coraz lepiej czującego się w roli człowieka władzy. W końcu zachęcony przez Rakowskiego wysmaża diagnozę polityczną w postaci długiego listu do nowego „Pierwszego" – Stanisława Kani. Ten zaprasza go do siebie, podejmuje winem, sam się ubzdryngala. Jeszcze krok, a zostanie Urban rzecznikiem rządu.

Wcześniej jasno wskaże, jaką pozycję obecnie zajmuje. Posierpniowe emocje studzi w swoim stylu wulgarnym kawałem politycznym: „Polak, Anglik i Francuz rozmawiają o fizycznych zaletach kobiet swojej narodowości. Angielki są dorodne, Francuzki mają niewiarygodnie cienką kibić. Atrybutem Polek są pośladki.

– Gdy rano wychodzę do pracy, klepię żonę w dupę – zwierza się Polak. – Te drgania rozchodzą się, rozchodzą i rozchodzą tak, że kiedy z pracy wracam, to tyłek drży jeszcze. I to nie dlatego, że my, Polacy, mamy żony o tak grubych zadach, lecz dlatego, że dzień pracy jest teraz u nas taki krótki".

Czytelnicy są oburzeni. Ludzie mówią: No pewnie, przedtem o wolnych sobotach ani się komu śniło, a w kopalniach i w niedziele zapędzano nas do roboty. Chcesz zarobić? Tyraj na okrągło. Niemcy ujmowali to jakoś podobnie: „Arbeit macht frei".

Niebawem Urban w „Szpilkach" wydrukuje felieton o tym, że gdy jego żona przypina sobie znaczek Solidarności, to dostaje w ryj. Śmieszne? Tak sobie.

W styczniu 1981 r. demonstracyjnie występuje ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Nie podobają mu się poglądy kierownictwa SDP, a legitymacja stowarzyszenia w pisaniu mu ani nie pomaga, ani nie przeszkadza. Zresztą niebawem zostanie rzecznikiem rządu (17 sierpnia 1981 r.), ministrem, a potem mieć będzie swoje pismo, w którym wydrukuje, co zechce. Na razie, w trakcie wysoce emocjonalnej dyskusji na Foksal, po jego zapewnieniu, że nie jest przyjacielem Michnika, „siły antysocjalistycznej" – jak zwykł się on podówczas przedstawiać – słyszy: „Jurek, już nie

eprasa.pl c5017bbff7

musisz się bać. Pamiętam, jak mi pomagałeś". A wraz z nim słyszy pełna sala kolegów dziennikarzy, i nie tylko ich. Dla kogoś innego byłby to pocałunek śmierci. Po nim spływa.

INTELIGENTNY NAWET

Adam Michnik to praktycznie drugi bohater biografii Jerzego Urbana. Ze swoim najlepszym przyjacielem, Andrzejem Berkowiczem, znają go od dziecka. Według jego słów od małego zapowiadał się na wichrzyciela. A kim był Berkowicz, marcowy emigrant? Uchodził „za sierotę. Ojciec – przed wojną sekretarz Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy – uciekł do ZSRS tuż przed narodzinami syna w 1932 r. Tam zesłano go do łagru. Wkrótce przyszła informacja o jego śmierci. Matka zginęła w Auschwitz. Andrzeja po wojnie wychowywała jej siostra. Pomagali w tym dawni przyjaciele ojca, miedzy innymi Ozjasz Szechter (ojciec Adama Michnika) i Edward Ochab, który w 1956 roku na krótko zostaje pierwszym sekretarzem KC PZPR)".

W istocie ojciec Berkowicza, Oskar, przeżył, wrócił do Polski po 23 latach spędzonych na Syberii i… zginął na warszawskim Nowym Świecie pod kołami ciężarówki. Trudno się dziwić synowi, że nie wierzył w wypadek. On sam w czerwcu 1968 r. otrzyma paszport w jedną stronę i wyjedzie do Szwecji. Dwukrotnie odwiedzi go tam jego polski przyjaciel – Urban. Będzie go nawet namawiał do powrotu, ale Berkowicz odmówi, choć na emigracji kariery nie zrobił.

W przeciwieństwie do Michnika znajomości z którym – czy wręcz zażyłości – nie musi już Urban ukrywać. Przeciwnie, zaczyna się nią afiszować.

Po tzw. komisji Rywina, przed którą obaj staną, Michnik będzie go chwalił „za opanowanie i poczucie humoru".

– Szkoda, że moje konferencje prasowe w latach 80. tak ci się nie podobały – skwitował podobno Urban pochwały naczelnego „Wyborczej". – Też mówiłem z sensem i było się z czego pośmiać.

No, do śmiechu to było wtedy tylko Urbanowi, o którym Michnik mówił wówczas dla BBC, że bardzo żałuje, iż zabrakło mu wyobraźni i po tekście „Seans nienawiści" nie pozwał go o szczucie do morderstwa: „Może bym dostał wyrok za obrazę ministra, ale ksiądz Jerzy [Popiełuszko – przyp. K.M.] może by żył?" – pytał retorycznie. Ale co tam, w rodzinie też często się kłócimy, a potem całujemy, nieprawdaż? W końcu to, że napisał Michnik „Z dziejów honoru w Polsce", przynależy do zupełnie innej epoki. A co tam napisał? Nic takiego, ot m.in. podziękował Urbanowi, że „swoimi publikacjami unaocznił nam, do jakiego paskudztwa może dojść inteligentny nawet człowiek".

A jak to było z sejmową komisją śledczą w sprawie Lwa Rywina? Jednym głosem domagały się jej – w co trudno dzisiaj uwierzyć – Platforma Obywatelska oraz Prawo i Sprawiedliwość. A „biedny" Rywin mówił tylko, a może aż: „To była rozmowa negocjacyjna i biznesowa. Miałem objąć Polsat, chciałem sprzedać Agorze moją firmę Hermitage Films. Więcej komentować nie będę". W końcu sąd skazał go na dwa lata więzienia, z czego odsiedział połowę. Ale Michnik, który nagrał korupcyjną propozycję Rywina, też nie został bohaterem, Urban również. A rządząca postkomuna już się nie podniesie, choć Włodzimierz Czarzasty nakładać będzie coraz to nowe sweterki.

Cała sprawa ujrzała światło dzienne bardzo późno, gdy już mleko dawno się rozlało. „We wrześniu 2002 roku – czytamy – »Wprost« w satyrycznej rubryce »Z życia koalicji/opozycji« opisuje propozycję Rywina w prześmiewczy sposób, ale z nazwiskami i nie myląc faktów. Reaguje na to Monika Olejnik. W swoim programie w TVN pyta o sprawę ministra sprawiedliwości. Ten udaje, że nie wie, o co chodzi, ale obiecuje, że przeczyta »Wprost«. Wzięta niegdyś publicystka Janina Paradowska z »Polityki« [ta od „Tusku, musisz!" – przyp. K.M.] podczas wywiadu z premierem zadaje pytanie o artykuł. Miller ucieka w ogólniki. Dziennikarka wysyła wywiad do autoryzacji, a następnego dnia odbiera telefon od Michnika. Szef »Wyborczej« przekonuje, że sprawa Rywina powinna zostać w tajemnicy, dopóki jego gazeta nie opublikuje swojego śledztwa w tej sprawie. Doświadczona publicystka ulega i wycofuje ten wątek z wywiadu". No bo skoro sam Adaś ją prosił…

CUDOWNY PTAK

W powszechnej opinii to Urban przyłożył rękę uzbrojoną w pióro do zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki. Ale nie tylko szczuł, wypisując brednie o „czarnych mszach" na Żoliborzu, do których (znów!) Michnik służy i ogonem dzwoni, nie tylko nazywał przyszłego błogosławionego i męczennika Savonarolą antykomunizmu, fanatykiem i magikiem, organizatorem sesji politycznej wścieklizny, lecz także uwiarygadnia esbeckie fałszywki na konferencjach prasowych, które urządza co tydzień jako rzecznik rządu.

W żałosny sposób będzie usprawiedliwiał inne swoje kłamstwa – na temat okoliczności śmierci Grzegorza Przemyka: „Kryjąc kłamstwa Kiszczaka, reagowałem na tezę ówczesnej opozycji, która rozpowiadała, że chłopaka zabito, bo był synem opozycyjnej poetki. To było kłamstwo". Kłamstwo kłamstwu nierówne. Przemyka zamordowano, a Urban gorliwie pomagał upowszechnić wersję chroniącą milicjantów, faktycznych sprawców mordu, a pod pręgierzem stawiającą pielęgniarzy i lekarkę pogotowia ratunkowego.

Oburzano się na kłamstwa Urbana, z drugiej jednak strony jego konferencje dla jednych miały walor informacyjny, bo choć ten rzecznik rządu owijał fakty swoimi komentarzami, to jednak je podawał, inni zaś oglądali telewizyjne skróty tych spędów żurnalistów jak spektakle mające walor i dramatyczny, i komediowy. Dziennikarze zachodni nie tylko to doceniali – wręcz przeceniali. Szwedzki „Arbeiderbladet" opisał Urbana jako „cudownego ptaka w ogrodzie zoologicznym realnego socjalizmu", „Washington Post" nazywał jedynym aparatczykiem z bloku wschodniego, który walczy (!) o swobodny przepływ informacji. I tylko Brytyjczyk Gary Mead w „The New Statesman" przytomnie zauważył, że „gdyby dziennikarze oprzytomnieli i zbojkotowali konferencje, nic by nie stracili. Cierpiałby jedynie Urban pozbawiony widowni".

Nagłaśniał swoje pomysły, a tych nigdy mu nie brakowało. Tak było np. z akcją przekazania śpiworów dla bezdomnych w Nowym Jorku, do czego oczywiście nie doszło – ale o sprawie pisano na całym świecie.

Chcąc uwiarygodnić propagandowy przekaz władzy, poprosił grupę psychologów, by wskazali na to, co należy w nim poprawić czy zmienić. Dowiedział się m.in., że „młodzież fatalnie reaguje

eprasa.pl c5017bbff7

na stan wojenny. Zamknięcie dyskotek było błędem". No jasne, młodzieży tylko dyskotek było trzeba. Ale jeśli ktoś myśli, że nagły boom muzyki rockowej nad Wisłą był zjawiskiem spontanicznym, to jest bardzo naiwny. W każdym razie z dnia na dzień pojawiły się koncerty Maanamu czy TSA – w Jaruzelskiej telewizji! Ale też wraz z upływem czasu coraz wyraźniej Urban zdawał sobie sprawę, „że ludzie nie wierzą oficjalnym komunikatom. Po dekadach cenzury i sterowania informacją wiarygodność rządu jest zerowa. Sam rzecznik uchodzi za tubę propagandową, nie za rzetelne źródło informacji. Cały kapitał wiarygodności, który zgromadził jako dziennikarz, przetrwonił w ciągu pięciu lat służby u Jaruzelskiego".

Nie wszystkie jednak odautorskie uwagi twórców Urbanowej biografii są podobnie zgodne z prawdą. Znamienny jest pod tym względem fragment odnoszący się do czasów sprawowania władzy w Polsce przez ekipę ówczesnego i obecnego Prezesa Rady Ministrów: „Rządy Tuska podobają się Urbanowi. Premier nie chce rozliczeń z przeszłością, zależy mu na integracji Polski z Unią Europejską. Większość Polaków jest zadowolona z polityki »ciepłej wody w kranie«. Do kraju płynie też szeroki strumień unijnych pieniędzy, budowane są autostrady i drogi, powstają nowe boiska i stadiony. Rozwija się gospodarka i eksport, maleje bezrobocie [sic! – przyp. K.M.]".

Natomiast rozdział poświęcony wymierzonej w „kochających inaczej" akcji „Hiacynt" kończy komentarz zaświadczający, że autorzy książki są po linii i na bazie: „Żaden z przedstawicieli rządu Wojciecha Jaruzelskiego – ani on sam – nie przeprosił nigdy za represje wobec osób homoseksualnych". Wolnomyśliciel Urban też nie przeprosił, on nawet o tej akcji nie słyszał. A przepraszać w ogóle nie lubił. Zasromał się jedynie, gdy jakiś jego redaktor w „Nie" pomylił jedną spółkę pani Bochniarz z drugą. Pismaka pogonił won i samokrytycznie przyznał, że ch.j z niego, nie redaktor.

TYLE LAT PIJEMY...

Dariusz Fikus, z którym znali się – rzec można – niemal od zawsze, miał nazwać go „przyrządem do drażnienia". Rzeczywiście, drażnił niemal wszystkich, Fikusa też. Sam pamiętam z „Rzepy", że gdy jako naczelny tej gazety przeanalizował prenumeraty pracowników i okazało się, że niemal każdy zamawiał „Nie", wydał natychmiastowy zakaz, uważając nie bez racji, że nie ma powodów, by jego firma dofinansowywała Urbanowe przedsięwzięcie. Wkrótce zresztą cały ten bonus wywodzący się z poprzedniego systemu przestał istnieć i prasę każdy redaktor kupował sobie, jaką chciał. I sam za nią płacił. A „Nie" czytelników miało całe rzesze, osiągając w najlepszym czasie 700 tys. egzemplarzy nakładu.

A jeśli chodzi o stosunki Urbana z Fikusem, to należy pamiętać o ich ojcach, przedwojennych redaktorach. To Feliks Fikus z „Kuriera Poznańskiego" zarzucił Janowi Urbachowi (zmienił później nazwisko na Urban) z łódzkiego „Głosu Porannego" agenturalne kontakty z sowiecką ambasadą. „Dowodem – czytamy – ma być zdjęcie redaktora »Głosu«, wychodzącego z poselstwa radzieckiego, w Warszawie z pakunkiem w ręku. Urbach wytacza Fikusowi proces o zniesławienie i wygrywa. Jak twierdzi, w pakunku miał nowości wydawnicze, które »Głos« drukował w dodatku literackim".

W „Polityce", w której skrzyżowały się drogi zawodowe ich synów, Dariusz Fikus był sekretarzem redakcji, a Jerzy Urban kierownikiem działu krajowego. Następnie ich drogi całkowicie się rozeszły, a gdy w stanie wojennym Urban pojedzie do Fikusów z informacją, by Darek się nie ukrywał, gdyż skreślony został z listy osób do internowania, Magdalena, żona Dariusza, zatrzaskuje mu drzwi przed nosem i obiecuje sobie, że nigdy już nie poda mu ręki. I nie rzuciła słów na wiatr.

Jeśli zaś chodzi o panów redaktorów, to dowiadujemy się, że „Jerzy Urban godzi się z Dariuszem Fikusem przed jego niespodziewaną śmiercią w 1996 roku. Były kolega z »Polityki« i redaktor naczelny »Rzeczpospolitej« jest częstym gościem Urbana w Konstancinie. Po jednej ze wspólnych libacji Fikus o mało nie tonie w basenie. Po oprzytomnieniu oznajmia Urbanowi:

– Popatrz, Jurek, tyle lat pijemy i nadal nie jesteśmy alkoholikami.

Ostatni raz Fikus straci przytomność w pokoju hotelowym na urlopie w Kazimierzu Dolnym". Ot, przyjemny rozdzialik.

Takich równie miłych rozdziałów znajdziemy w tej biografii Urbana więcej. Uproszczeniem i nieprawdą byłoby powiedzieć, że ją podyktował, ale nutę podawał.

Jego oceny i przepowiednie rzadko się sprawdzały. O Leopoldzie Tyrmandzie np., który ośmielił się w paryskiej „Kulturze" przejechać po „Polityce", wyśmiewając przy okazji grzywki jej szefa, napisał: „Jako pisarz sięgnął dna, ale ciągle się odeń odbijał. Jego książki miały kolosalną poczytność, jak każda zawiesina między grafomanią a literaturą, jeśli tylko nie ma innych ambicji jak zabawianie publiczności". Niezwykle wnikliwie. Wywróżył też, że pisarz, „nim umrze, będzie tu zapomniany". Nieco się pomylił.

Wypisywał brednie. „Zdaniem Urbana – czytamy – Marek Nowakowski lansowany jest na Zachodzie, choć jako literat jest miernotą, a Czesław Bielecki – dodaje – został ogłoszony wybitnym architektem tylko dlatego, że poszedł siedzieć". Zwróćmy uwagę na tę konstrukcję językową: „poszedł siedzieć". Nie „uwięziono", lecz „poszedł", no „pomaszerował, lewa, prawa, w siną dal"...

Jako postać literacka Jerzy Tyran stał się bohaterem beznadziejnej książki „Umierający i zmartwychwstali", podpisanej pseudonimem Aleksander Dalcz, a wydanej przez podziemny Azyl w 1985 r. Ciekawe, że o jej autorstwo podejrzewany był m.in. Marcin Wolski. Naprawdę napisał ją Andrzej Krzepkowski, działacz Solidarności z Ursusa.

Jako Bezetznego uwiecznił go Jerzy Pilch w niedocenionej swego czasu powieści „Marsz Polonia". Odgryzł się, że Pilch gościł u niego w Konstancinie w okresie abstynencji, a więc nie był sobą. Za to taki Grzegorz Ciechowski pluskał się w jego basenie.

Każdego jednak kupić nie można, nawet jak się zostało milionerem [majątek Urbana w 2004 r. szacowano na 120 mln zł, a on sam znalazł się na jednym z końcowych miejsc 100-osobowej listy najbogatszych Polaków – przyp. K.M.]. Gdy po przeczytaniu „Wojny polskiej pod flagą biało-czerwoną" przyniósł młodziut-

eprasa.pl c5017bbff7

kiej pisarce kosz kwiatów wraz z propozycją pisania do „Nie", ta odmówiła.

WIELKI JĘZOR

Powiedziałbym, że najcenniejsze w Urbanowej biografii jest to, że wreszcie nie powiela kolportowanych przez niego bzdur, jakoby w wolnej Polsce dorobił się na sprzedaży spirytusu. Owszem, próbował handlować alkoholem, ale ani piwo, ani wódka nie uczyniły z niego milionera. Stał się nim po części dzięki „Złotej Rybce", czyli wywodzącemu się z komunistycznych kręgów, konkretnie z OPZZ, wydawcy Romanowi Górskiemu, który wydał mu „Alfabet Urbana", płacąc do ręki 120 tys. dol. Na następnych książkach tego rodzaju, którymi były „Alfabet 2" i „Jajakobyły", też zarobił nie najgorzej.

Drugie konkretne pieniądze dostał od Rakowskiego z tzw. moskiewskiej pożyczki, puli – można powiedzieć – przywłaszczonej po upadku PZPR. Te forsę Urban miał oddać, a z czystej wdzięczności, bo przecież człowiek był szlachetny nad wyraz, finansował jego kaprys w postaci nieczytanego przez nikogo miesięcznika „Dziś", a nawet dał pieniądze na operację w Niemczech, gdy jego były pryncypał zachorzał.

Wreszcie, kiedy wpadł na pomysł wydawania swojego pisma, spadł mu z nieba Mariusz Świtalski i przez trzy miesiące współfinansował „Nie". A dlaczego przestał, choć tytuł osiągnął wielki sukces finansowy? Rzekomo ze względu na specyficzną, dwuznaczną aurę wokół tygodnika. „Chcecie, to wierzcie, chcecie, nie wierzcie" – jak to śpiewano w czasach, gdy Jurkowi Urbanowi w ZMP marzyła się kariera politycznego działacza.

Ale w polityce mu nie szło. W wyborach w roku 1989 sromotnie przegrał z Andrzejem Łapickim, choć jego redakcyjny kolega Passent anonsował ten pojedynek jako starcie urody [znany aktor miał wtedy 65 lat – przyp. K.M.] z rozumem [niby z 56-letnim mądrym Urbanem – przyp. K.M.]. Walory intelektu byłego rzecznika rządu doceniono tylko w Ułan Bator, bo jedynie w tamtejszej ambasadzie Urban wygrał [do głosów okręgu Warszawa-Śródmieście dołączano wyniki głosowań z placówek dyplomatycznych i polskich przedsiębiorstw pracujących za granicą – przyp. K.M.].

Andrzej Łapicki został posłem, a Urban zraził się do wyborów tak bardzo, że w 1993 r., gdy Sojusz Lewicy Demokratycznej Aleksandra Kwaśniewskiego zaproponował mu start w Bydgoszczy, gdzie partia miała wysokie notowania, odmówił, tłumacząc, że jego nazwisko mogłoby zaszkodzić SLD. A był członkiem SdRP od dnia, kiedy ta powstała na gruzach PZPR.

Postkomuchy wygrały wybory, a zdjęcie Urbana z wywalonym jęzorem i wielką butlą szampana pod pachą obiegło wszystkie media. Faktycznie, nie biorąc udziału w polityce polskiej, będzie dbał o to, by – dopóty, dopóki to możliwe – miała ona jego twarz.

Na przykład na początku 2013 r., po procesie wytoczonym autorom stanu wojennego (Jaruzelski był wyłączony ze względu na stan zdrowia), dał wyraz swemu oburzeniu, wyrok skazujący nazywając idiotyzmem, a jego uzasadnienie bzdurnym. Wyrok istotnie budził wątpliwości, ale może z innych powodów: Czesław Kiszczak skazany został na dwa lata w zawieszeniu.

W każdym razie w felietonie „Do broni!" pisał wtedy Urban: „W 2012 r. sąd warszawski wie i orzeka, że w 1981 r. nie groziła Polsce radziecka interwencja. Jutro orzeknie, że Łokietek jest winien II wojny, bo gdyby nie zjednoczył Polski, nie miałaby ona sporów o terytoria z Niemcami". Jego zdaniem stan wojenny był dla Polski zbawienny, a gen. Jaruzelski, wraz z Rakowskim, nim samym, no i niech będzie, że z Kiszczakiem także, robili wszystko, by naród przeżył ten ciężki czas sprokurowany przez straszną opozycję wspomaganą przez samego Ronalda Reagana. A że rząd dbał i o to, by samemu się wyżywić – co swego czasu mu się wymsknęło – to chyba naturalne? Ktoś z innej bajki, a może i tej samej, wzniósł przecież toast: „Zdrowie wasze w gardło nasze".

ZWYKŁA ŻENADA

Na finiszu życia zaistniał w Internecie, w gruncie rzeczy jako mem. W głupawych, obrazoburczych filmikach, zawsze antykościelnych, wchodzących w cztery litery najbardziej prymitywnym odbiorcom. We wrześniu 2019 r. na „Urban Party" w klubie na Polu Mokotowskim młodzi ludzie w większości przekonują się ze zdziwieniem, że ktoś taki jak Urban w ogóle istnieje. I jeszcze żyje.

Tygodnik sprzedaje się coraz gorzej, jak zresztą cała prasa. Ostatnie wywiady robione z nim przez „Gazetę Wyborczą" oburzają nawet co bardziej zasłużonych redaktorów z ulicy Czerskiej. Młodzi nie bardzo wiedzą, kim jest śmieszny staruszek z odstającymi uszami. A jeszcze, zdawałoby się nie tak dawno, podsuwał czytelnikom fałszywą lojalkę Jarosława Kaczyńskiego, pragnąc zdyskredytować znienawidzonego polityka (po wyborach w 2015 r. napisał: „Z całego serca życzę Kaczyńskiemu, jego partii i jej sojusznikom, żeby ich szlag trafił"). To znów dopominał się o prawo do miłości dla córki prawicowego wicemarszałka Sejmu Kerna, doprowadzając do tego, by skręcono jeden z bardziej zakłamanych filmów, jakim było „Uprowadzenie Agaty" Marka Piwowskiego. Sam Urban wystąpił triumfalnie na weselu „uprowadzonej" – naprawdę nie Agaty, lecz Moniki – jako gość honorowy. Pół roku później marszałkówna wniesie sprawę o rozwód, twierdząc, że została zmanipulowana.

A to nagłośni sprawę rzekomej hrabianki Anastazji P., chcąc „erotycznymi ekscesami" skompromitować polityków i z prawa, i z lewa (ale z prawa, oczywiście, bardziej), by zaraz firmować seksualne „zawody" prostytutek prześcigających się w ilości seksualnych partnerów. Wszystko to staje się coraz bardziej żenujące, ale taki też nastaje klimat nad Wisłą.

Ostatni wpis na swoim „Blogu wszystkich świętych", zamieszczanym w „Nie" i w Onecie, publikuje w grudniu 2021 r. Wcześniej, po swoich 80. urodzinach, napisze w nim: „Dostałem wiele prezentów. Zespół »Nie« zamówił trzy futerały ze skóry i safianu haftowanego srebrem, a w nich żydowskie instrumenty modlitewne. Katolik może iść do kościoła jak stoi, Żyd musi mieć myckę, tałes (duża szmata) i jakieś klocki na rzemykach. Umiałem z tego włożyć tylko myckę. I tak sobie myślałem, czy w redakcji »Nie« za dużo aby nie zarabiają, więc nie mają już na co wydać, jak na przypomnienie mi, że jestem parchem".

Wbrew obiegowej opinii uważam, że to ostatnie określenie nie odnosi się wcale ani do narodowości, ani do wyznania. Parch to charakter.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c5017bbff7

Modrzewiowy dwór w Rogowie

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Zapomniana drewniana Polska

Jacek Komuda

Z dawnej drewnianej zabudowy zachowały się do dziś głównie kościoły, cerkwie i wiejskie chałupy. Jednak setki lat temu architekci tworzyli z tarcic i bali arcydzieła sztuki ciesielskiej. Czas i ogień wymazały je z krajobrazu. Z drewna powstały, w proch się obróciły

Podróżując przez I Rzeczpospolitą w XVII w., bylibyśmy zdziwieni ogromną liczbą budowli z drewna. Zamki, dwory, kościoły, konwenty zakonne, miasteczka i osiedla wznoszone były z tego najtańszego, dostępnego wszędzie budulca, który stał się równocześnie przekleństwem Europy Wschodniej. We Francji, w Italii przetrwały do dziś kamienne średniowieczne domy, podczas gdy piękniejsze od nich polskie drewniane zamki i dwory obróciły się w pył. Z dawnych czasów zachowała się u nas ogromna liczba kościołów i cerkwi, jak ten z Haczowa pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny; najstarszy w Europie. Obronna cerkiew w Radrużu, kościoły pokoju na Śląsku. Kilkanaście dworków sprzed XIX w.: Lisickiego i Tetmajerów w Łopusznej, dwór Laskow-

eprasa.pl c5017bbff7

skich w Laskowej Dolnej, pochodzący z 1677 r., okazały dwór w Świdniku czy dworek Laszczyków w Kielcach. W skansenach mamy wiele domów i wiejskich chałup, zwykle z okresu międzywojennego lub z końca XIX w. Ale ani jednego zamku drewnianego, a tylko pozostałości kresowych fortalicjów, zameczków, dworów na kopcach. Prawie nie przetrwały lamusy, nie mamy też żadnego ocalałego klasztoru z drewna, bez którego wizerunek dawnej Polski jest niepełny.

Spróbujmy zatem, opierając się na pisanych źródłach historycznych, zobaczyć i odtworzyć najokazalszy z tych zniszczonych zabytków – drewniany zamek lub pałac. Gdyby któryś przetrwał, byłby dziś na pierwszym miejscu listy światowego dziedzictwa UNESCO.

Jak wyglądał drewniany zameczek? Architekci Kazimierz i Tadeusz Mokłowscy odtworzyli w XIX w. kształt tego obiektu FOT. „ŻYCIE POLSKIE W DAWNYCH WIEKACH" W. ŁOZIŃSKIEGO, 1912/PBC

DREWNIANY ZAMEK POLSKI

Fortece takie wznoszono od późnego średniowiecza jak Polska długa i szeroka, nie tylko na wschodnich kresach, lecz także w Wielkopolsce. Mikołaj Górka, jak podaje Władysław Łoziński, zbudował w roku 1426 w Kórniku okazały i bardzo ozdobny zamek, którego twórcą był cieśla. Dziś na jego miejscu jest wspaniały murowany pałac. Innym przykładem obronnej budowli z drewna był zamek w Ostrzu, siedziba możnego rodu Gasztodów, „bardzo obronny, piętrzący się pięciu potężnymi basztami, zbudowany już w r. 1538, cały był z sosnowego i dębowego drzewa". Tak samo drewniane, świetne i bogate były siedziba Krzysztofa Szydłowieckiego w Łukowie, pałac Zygmunta III w Ujazdowie i tegoż samego króla zameczek w Nieporęcie, wspominany przez Jeana de Laboureura dla wspaniałej ciesielskiej budowy. Podziw budził Jaworów, rezydencja króla Jana III, strojna wewnątrz we wszystko, co stanowiło ówczesny komfort mieszkalny, a był to dwór drewniany. „Nawet jeszcze w r. 1744 r. buduje książę Michał Czartoryski w Wołczynie pałac modrzewiowy o 36 pokojach" – pisze Łoziński.

Niestety, większość tych budowli zniszczyły pożary i wojny. „Dlatego też rzadko się trafi w Polsce taki dom – powiada Andrzej Frycz Modrzewski – któryby przez trzydzieści lat w całości trwał – mało nie wszystkie wygorywają, a zaś znowu je budują". Zamki drewniane wznoszono nieco mniejsze od murowanych – czasami były to po prostu potężne dwory otoczone fortyfikacjami. Zwykle zwano je „zameczkami", określanymi w aktach jako „fortalitium", jeśli były murowane, dodawano „muratum", jeśli duże, określano je jako „arx". Według danych akt na samych tylko ziemiach przemyskiej i sanockiej (dziś część Podkarpacia) było drewnianych zameczków 49. W miejscowościach, w których nie pozostał po nich żaden ślad – jak Bolestraszyce, Krzywcza, Komarno, Mikulińce, Nowosiółki, Nowotaniec, Nozdrzec, Oleszyce, Orsko, Sośnica, Tyrawa, Tarnawa, Zboiska i inne.

Jak wyglądał taki zameczek? Cóż, poszczególne obiekty różniły się od siebie znacznie – jedne przypominały średniowieczne grody, inne – renesansowe albo barokowe rezydencje. Architekci Kazimierz i Tadeusz Mokłowscy odtworzyli w XIX w. kształt tego obiektu, którego kopię zresztą zamieszczamy obok. Drewniany zameczek był czworoboczny, otoczony fosą i drewnianym murem, miał cztery baszty narożne z wieżami obitymi gontem i przypominającymi przez to dzwonnice zachowanych obronnych cerkwi. Oprócz tego w murze były brama wjazdowa i pojedyncza, szeroka, obronna wieża, odpowiednik donżonu. Jedno skrzydło fortyfikacji zabudowane było przez drewniane oficyny i główny dom – budynki stykały się ścianami i nakryte były połączonymi, namiotowymi dachami, jak na zbrojowni w Gdańsku. Na dziedzińcu znajdowały się studnia i kościółek lub cerkiewka. Z innych opisów dowiadujemy się, że były tam też świrnie do przechowywania zboża, spichlerze dla prochów i saletry, szopy na działa, kuźnie i łaźnie, zapewne także piekarnie, które stawiano osobno dla zabezpieczenia od pożaru.

Zamek otoczony był fosą i ostrokołem, czyli palisadą. Nie była to jednak taka palisada, którą zobaczyć możemy u naszych naddziałów ze słowiańskich grodów, ale typ późniejszy. Głównym jej elementem były powtarzające się konstrukcje z dwóch zaostrzonych pali wbitych w ziemie na szczycie wału powstałego z ziemi wykopanej z fosy. Zewnętrzny umieszczony był pionowo, a wewnętrzny pod kątem ok. 45 stopni – znajdował się z tyłu i nachylony był w stronę pierwszego, jakby miał go podpierać. W rzeczywistości jego zaostrzony koniec wysuwał się nieco ponad ostre końcówki bali wbitych pionowo, tworząc trudną do zdobycia, podwójną palisadę ostrzy. Przestrzeń pomiędzy balami wypełniano gliną, kłodami drewna i kamieniami. Na górze były jeszcze blanki, czyli pomosty strzeleckie chronione od czoła dodatkową przegrodą, a także dachy chroniące od gnicia. Ciekawe, że już wówczas wieże i blanki były oszalowane deskami – podobnie jak dzisiaj ściany starych drewnianych domów.

Ciekawym elementem budowy były na wschodzie Rzeczypospolitej tzw. horodnie. Otóż w niektórych zamkach mury wznoszono z kłód drewna łączonych na zrąb – w ten sposób powstawały z tego jakby ogromne skrzynie; jakbyśmy kilka dzisiejszych chałup ustawili jedna za drugą. Wnętrza horodni wypełniano gliną albo kamieniami, mogły też zostać puste. Wówczas należało wyrąbać w ścianach drzwi i strzelnice – zamieniając je na blokhauzy. Horodnie mogły odgrywać też rolę magazynu lub schronienia dla obrońców.

eprasa.pl c5017bbff7

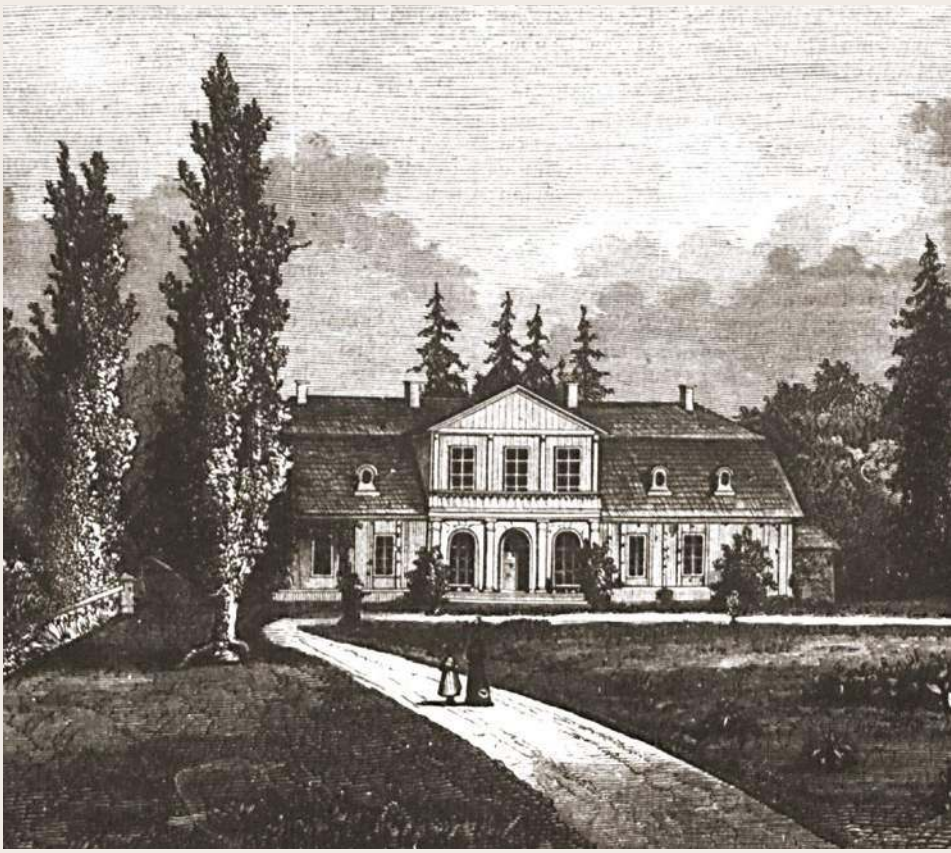

Zamki drewniane, zwłaszcza na Ukrainie, bywały przestronne. Z połowy XVII w. pochodzi opis rezydencji Marcina Kalinowskiego koło Humania. Otóż wznosiła się ona na wzgórzu otoczonym fosą, opasana ostrokołami. Natomiast cały obwód ufortyfikowany był drewnianymi, kwadratowymi wieżami – horodniami. Wewnątrz znajdował się majdan, a przy nim obszerne mieszkanie właściciela zbudowane w technice wieńcowej, z drewna opalonego w ogniu, gładzonego i polerowanego. Wewnątrz uwagę zwracały potężne piece i kominy. Co ciekawe, było tam też mieszkanie letnie – jakby osobny pałacyk, z kilku pokoi z oknami. Zamki takie były bogato zdobione. „Zamek Jaworowski z bali wcale zgrabnie zbudowany" – pisał w latach 70. XVII w. Ulryk von Verdum, który odwiedzał rezydencję hetmana Jana Sobieskiego w Jaworowie pod Lwowem. Dodajmy jeszcze jeden ciekawy szczegół budowy – otóż większość zameczków z tego okresu budowana była na tzw. podklecie, czyli na palisadzie wkopanych obok siebie dębowych pali, które tworzyły odpowiednik dzisiejszego fundamentu. Na nich spoczywały poziome podwaliny ścian bocznych i działowych budowli. W podkletach często wyrąbywano drzwi i okna – jak w horodniach, czyniąc z nich dodatkowe pomieszczenia.

Z czego budowano zamki? Z czego się dało. Z dębu, sosny, modrzewia, jodły. Ich wymiary były imponujące. Na przykład zamek w Żytomierzu wedle lustracji z roku 1622 miał 5 baszt i 39 horodni, a samo miasto otoczone było ostrogiem i wałem. Innym umocnionym punktem oporu był Ostr położony w widłach Ostrza i Desny, na górze i oblany wodą, znajdujący się pomiędzy Kijowem a Czernihowem. Czehryna, położonego prawie na granicy stepów, bronił drewniany zamek zbudowany na wysokiej, skalistej górze, otoczony częstokołem z dębowego drewna. Jego twórcą był Aleksander Wiśniowiecki. Budowla miała wymiary 150 na 200 metrów i otoczona była dębowym parkanem zaopatrzonym w cztery baszty.

Inną potężną twierdzą na Ukrainie był Bracław, w którym znajdował się duży zamek oparty o brzeg Bohu, na skalistej górze u ujścia rzeki Pucówki. W połowie XVI w. składał się z 6 wież i 26 horodni, a po zniszczeniu fortyfikacji przez chana Dewlet Gireja w 1551 r. przeniesiony został bliżej rzeki.

FORTALICJUM I DWÓR NA KOPCU

Do dzisiejszych czasów przetrwały tysiące dworów szlacheckich. Wszyscy znają je z filmów albo odwiedzin w muzeach – jak dworek w Żelazowej Woli (choć to tak naprawdę oficyna). Dziś każdy otaczają: park, stawy, misternie wystrzyżone żywopłoty, rzeźby, posągi. Całość ogradza płot lub mur. Jednak wszystko to powstało w wiekach XIX i XX. Za czasów Kmicica i najazdów tatarskich, jak pisze Łoziński: „Każdy dom szlachecki był małą forteczką. Był okopany, otaczał go ostrokół, okna były zakratowane, drzwi bardzo silne i gęsto kute. Oprócz okopu i ostrokołu strzegły domostwa także baszty. Warowne siedziby bardzo zamożnej szlachty miały po kilka". Tych baszt dziś nie zobaczymy, nawet jeśli sam dwór cudem przetrwał. Zostały rozebrane podobnie jak drewniano-ziemne fortyfikacje w XIX w. albo rozpadły się w proch. W ich miejscu zwykle obecnie znajdują się park, ogród albo oficyny dworskie. A przecież: „Każdy zapaśniejszy szlachcic, choćby jednowioskowy starał się mieć na domostwie swoim basztę. Taka baszta bywała zazwyczaj drewniana i służyła do obrony i straży – gdzie nie było baszty, tam chłopi na dachu kolejno odprawowali warty".

Nie przetrwały żadne umocnienia dworów kresowych. A były one imponujące. Zwykle budynek otaczał okop szeroki na 4 metry, na 1,5 metra głęboki, za nim wał o wysokości 3 metrów. Zazwyczaj na wale były ostrokół albo parkan – mur z drewnianych tarcic osadzonych w pionowych, wyżłobionych słupach. W Ożomli pod Lwowem dwór opasany był wysokim ostrokołem z dębowych pali, u góry zaciosanych, a przy ziemi dodatkowo ogrodzonych płotem. Za ostrogiem było jednak drugie podwórze – obwiedzione drewnianym murem z kolejną fosą i wałem. W Nowym Borku pod Rzeszowem dwór okopany był głębokim rowem. Na podwórze wychodziło się przez zwodzony most „z dębowych ław na dłoń grubych". W dodatku tak urządzony, że po podniesieniu chował się w ścianę obronnego dworu. Dziś nie ma po nim śladu.

Praktycznie nie znajdziemy już dzisiaj takiej formy drewnianego domu pańskiego jak dwór na kopcu, który wywodził się jeszcze z XV w., z czasów, gdy szlachta

eprasa.pl c5017bbff7

Dwór modrzewiowy w Witulinie
FOT. BIALSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

zamieszkiwała wieże rycerskie. Były to budowle wznoszone na podwyższeniach, a czasem także na wysepkach – np. na jeziorze. Dzisiaj pozostały po nich relikty. Jednym z nielicznych jest dwór w Łękach Kościelnych pod Kutnem zbudowany na oblanym wodą kopcu, na którym znajdowało się kiedyś obronne fortalicjum z przełomu wieków XV i XVI. Pozostałości podobnego kopca pod znacznie młodszym, murowanym dworem, niestety w ruinie, oglądać można w Oleszycach.

Drewniane dwory polskie czasem trudno sobie wyobrazić. Przykładem tego był ogromny dom szlachecki w Rudnikach w województwie częstochowskim pochodzący z 1666 r., niestety zbrodniczo wręcz zdewastowany i rozebrany w latach 60. ubiegłego stulecia. Miał on monumentalny, polski dach łamany, zachowywał proporcje jak 1 do 2, co znaczy, że połacie dachowe były ponad dwa razy wyższe od ścian. Dziś możemy podziwiać go tylko na starych fotografiach – polecam te z książki Macieja Rydla „Jam dwór Polski".

DREWNIANE KLASZTORY

Prawie każdy klasztor w Polsce był na początku zbudowany z drewna. Do dziś nie przetrwał żaden – jednak z innych przyczyn niż fortalicja i zameczki. W dawnych czasach opactwa po prostu płonęły jak zapałki. Prawie każdy konwent zakonny ma w swojej historii pożar, który zapoczątkował przebudowę budynków na kamienne lub ceglane. Wystarczy kilka przykładów z domów zakonnych z całej Polski. Klasztor oo. Franciszkanów Reformatów w Łąkach Bratiańskich, zwany „zachodnio-pruską Częstochową", początkowo mieścił się w Nowym Mieście Lubawskim, przy kościele św. Jerzego, dokąd sprowadził zakonników starosta Paweł Działyński w 1624 r. Kiedy jednak w 1628 r., w czasie wojny, został zniszczony przez lisowczyków i Szwedów, fundator przeniósł zakonników do Łąk Bratiańskich i zbudował im drewniany klasztor. Ten jednak spłonął przed 1638 r. Wówczas dopiero wzniósł ojcom reformatorom murowany kościół pw. Wniebowzięcia Matki Boskiej i murowane budynki konwentu.

Podobnie było w Ostrzeszowie. Bernardyni przybyli tutaj w 1629 r. na zaproszenie miejscowej szlachty. Przy pomocy licznych dobrodziejów zbudowali pierwszy drewniany klasztor, który jednak zniszczyli i spalili Szwedzi w czasie potopu. Dopiero później, od 1660 r., rozpoczęto wznoszenie istniejącego do dzisiaj murowanego zespołu klasztornego.

Jeszcze większą tragedią zakończył się pobyt w Lublinie sióstr wizytek, które przybyły z Krakowa w 1723 r. na zaproszenie Jana Szembeka, kanclerza wielkiego koronnego i jego żony Ewy; a także wojewody mazowieckiego Stanisława Chomętowskiego z żoną Dorotą. W tym samym roku rozpoczęto budowę drewnianych budynków klasztornych, a znacznie później – w 1731 r. – murowanego klasztoru. Na szczęście, bo drewniane budynki konwentu spłonęły już 18 lutego 1732 r. w ogromnym pożarze, w którym zginęło pięć sióstr i 17 osób.

Z kolei ojcowie franciszkanie z Biecza osadzeni byli najpierw w domu zakonnym przy drewnianym kościele św. Jakuba, któremu jednak zagrażały powodzie i wylewy rzeki Ropy. Dzięki pomocy starosty Jana Wielopolskiego otrzymali zabudowania dawnego zamku, które przebudowali na klasztor i kościół; w 1642 r. przenieśli się do nowej, murowanej siedziby, w której pozostają do dziś. Według legendy już następnego dnia kościół św. Jakuba zalała powódź, niszcząc drewnianą świątynię.

Czy dzisiaj gdzieś można znaleźć w Polsce choć jeden drewniany klasztor? Klimat tych dawnych poczuć można na pewno w przybytku oo. Albertynów na Śpiącej Górze w Tatrach i w pobliskim konwencie ss. Albertynek na Kalatówkach. Chociaż obydwa zostały zbudowane na początku XX w., to można tam zobaczyć, jak wyglądały dawne drewniane zabudowania zakonne, zwłaszcza kiedy odwiedzi się zagubioną w lesie pustelnię św. Brata Alberta, czyli Adama Chmielowskiego, przez całe życie pomagającego chorym i ubogim.

Ostatnimi przykładami drewnianych, nieistniejących już dzisiaj obiektów są ratusze miejskie. A pamiętajmy, że wiele miasteczek utraciło prawa w XIX w., podczas gdy w XVII w. nawet niektóre obecne wsie miały pełne prawa magdeburskie. Wówczas na rynku znajdował się mniej lub bardziej okazały ratusz. Do dziś zachowały się tylko rysunki kilku z nich. Na przykład tego w Goniądzu nad Biebrzą, którego szkic sporządził Gloger. Ogromny ratusz miał całą frontową ścianę ozdobioną podcieniami – dwoma galeriami, umieszczonymi jedna nad drugą. Ukryte w nich były schody na piętro, a budowlę nakrywał prosty, czterospadowy dach. Odtworzony przez Kazimierza Mokłowskiego stary, drewniany polski ratusz jest niesamowitym zabytkiem sztuki ciesielskiej. Ma ogromną wieżę z sygnaturką, podwójny manierystyczny dach nad budynkiem z podcieniami i galeriami na dwóch poziomach. Z boków do ścian przytykają kramnice, czyli drewniane schronienia dla kupców. Zwieńczenia dachów zdobione są sterczynami, podobnie jak słupy podcieni.

Przykładem tego, jak mogły wyglądać takie obiekty, jest zachowany do dziś, jeden z nielicznych, jeśli niejedyny, ratusz w Sulmierzycach w Wielkopolsce. Drewniany, pochodzący z 1743 r., dziś otynkowany. To jednak bardzo skromny przykład sztuki ciesielskiej pokazującej, jak wspaniale wyglądała zaginiona, drewniana dawna Polska.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c5017bbff7

Francja – ziemia misyjna

La Salette, miasto maryjnych objawień z 1846 r.
FOT. HERVE CHAMPOLLION/GAMMA-RAPHO/GETTY IMAGES

Agnieszka Golańska-Bault

Trzeba sobie jasno powiedzieć: Francja stała się dzisiaj ziemią misyjną, a bez wsparcia i obecności księży zagranicznych nawet ci już dzisiaj nieliczni praktykujący Francuzi zostaliby pozbawieni możliwości uczestniczenia we Mszy Świętej i dostępu do sakramentów, o jakiejkolwiek innej formie życia wspólnotowego nie wspominając

Gdy tego lata wakacyjne i zarazem pielgrzymie ścieżki zawiodły moją rodzinę do La Salette, w miejsce maryjnych objawień z 1846 r., zostaliśmy zaskoczeni nie tylko niezwykłą urodą miejsca i atmosferą prawdziwego skupienia i modlitwy, która ogarnia każdego przybywającego do tego wyjątkowego, położonego wysoko w Alpach sanktuarium, lecz także międzynarodowym jego charakterem. Wśród posługujących w sanktuarium z trudem bowiem dostrzec można osoby o europejskich rysach twarzy czy mówiące po francusku bez obcego akcentu. Dotyczy to zarówno sióstr zakonnych obsługujących pielgrzymów, które – jak się okazało – pochodzą głównie z Madagaskaru, jak i zapewniających pielgrzymom duchową opiekę księży.

W czasie wieczornego czuwania przed procesją ze świecami nieszpory po francusku odmawiało dziewięciu księży, w tym pięciu czarnoskórych, trzech Azjatów i jeden mężczyzna wydający się być Francuzem, który okazał się Włochem. Przełożonym tej międzynarodowej wspólnoty zakonnej w sanktuarium jest natomiast Polak, ks. Robert Głodkowski. I choć sanktuarium to jest podobno bardziej kochane przez zagranicznych pielgrzymów niż przez samych Francuzów, skąd może wynikać ta nadreprezentacja osób konsekrowanych spoza Francji, to obrazy z La Salette mówią wiele o kondycji fran-

eprasa.pl c5017bbff7

cuskiego Kościoła i o roli, którą odgrywają w nim dzisiaj przybysze z daleka.

ZAGRANICZNA POMOC

To samo zjawisko, choć jeszcze nie w tak spektakularnym wymiarze, obserwuje się dzisiaj w większości parafii we Francji. Także w tych bliskich naszemu sercu – w historycznym mieście Vienne, 30 km na południe od Lyonu, gdzie wraz z mężem obserwujemy pewną ewolucję: Msze Święte coraz częściej odprawiane są przez księży z Afryki czy z Polski, którzy zastępują lub wspierają starszych księży francuskich, a ławki w średniowiecznej katedrze coraz liczniej wypełniają – również młodsi od swoich współwyznawców z Francji kontynentalnej – imigranci z Afryki, Azji czy Francuzi z departamentów zamorskich.

Trzeba sobie jasno powiedzieć: Francja stała się dzisiaj ziemią misyjną, a bez wsparcia i obecności księży zagranicznych nawet ci już dzisiaj nieliczni praktykujący Francuzi zostaliby pozbawieni możliwości uczestniczenia we Mszy św. i dostępu do sakramentów, o jakiejkolwiek innej formie życia wspólnotowego nie wspominając. W wielu bowiem miejscach z powodu braku księży parafie są łączone i obejmują coraz większe terytoria, a Msze Św. odprawiane są w poszczególnych kościołach rotacyjnie. Według danych zawartych w książce „Migrants catholiques en France" (V. Aubourg, J. Barou et C. Campergue, 2023) we Francji posługuje w chwili obecnej 10 451 księży diecezjalnych i 3324 zakonnych, a ponad połowa z nich ma więcej niż 75 lat, przy czym pozostali w większości również nie są młodzi. Tylko 5 tys. kapłanów aktywnie pełni swoją posługę.

Aby zaradzić tej sytuacji, Kościół francuski zwraca się do diecezji w innych krajach o udostępnienie do posługi we Francji lokalnych kapłanów na pewien czas. W ramach umów „Fidei donum" do pracy we Francji wyjeżdżali jeszcze w latach 80. kapłani z Polski, Włoch czy Portugalii, dziś pochodzą oni głównie z Afryki i zwani są „księżmi z innych krajów" (fr. prêtres venus d'ailleurs). Autorzy wspomnianej powyżej książki, kompilując różne dane (etniczne statystyki nie są we Francji prowadzone), doszli do wniosku, że w ramach umów „Fidei donum" przebywa aktualnie we Francji 2 tys. księży zagranicznych, do których dodać należy ok. 400 studentów również pełniących posługę duszpasterską. 80 proc. z nich przyjeżdża do Francji z krajów afrykańskich. W tej liczbie jest też ponad 100 polskich księży. Oznacza to, że co trzeci aktywny kapłan we Francji jest dziś obcokrajowcem. Co więcej, każdego roku w ramach współpracy międzydiecezjalnej przybywa do Francji ok. 200 księży z innych krajów, podczas gdy we francuskich seminariach wyświęca się co roku nie więcej niż 100 seminarzystów. Ponadto już w samych seminariach ok. 25 proc. studentów to obcokrajowcy, z których część pragnie pozostać we Francji i ubiegać się o francuskie obywatelstwo.

MIGRACJA DUCHOWNYCH

Księża, którzy wypełniają swoje dzieło misyjne zgodnie z formułą „Fidei donum", teoretycznie mają wykonywać swoją misję przez ustalony czas (zwykle są to trzy lata, które mogą zostać przedłużone). Nie są jednak odosobnione przypadki i dotyczy to głównie księży afrykańskich, że odmawiają oni powrotu do swojej diecezji w kraju pochodzenia, nierzadko wchodząc z tego powodu w konflikt z własnym biskupem, który nie ma jednak odpowiednich narzędzi, aby sprowadzić swojego kapłana do macierzystej diecezji, a ten po jakimś czasie zasila szeregi kleru jednej z diecezji francuskich. Mamy tu do czynienia ze swego rodzaju zakamuflowaną emigracją duchownych, emigracją mającą bez wątpienia podłoże ekonomiczne. Tymczasem wbrew powszechnemu przekonaniu w Afryce również brakuje księży (według statystyk watykańskich, podczas gdy w Europie na jednego księdza przypada 2 tys. katolików, w Afryce jest ich aż 5 tys.). Niektórzy biskupi francuscy mają świadomość, że sprowadzanie młodych i prężnych kapłanów z biednego Południa do Francji to swoiste drenowanie afrykańskiego Kościoła z jej elity, a skala zjawiska prawdopodobnie wykracza poza potrzeby ściśle duszpasterskie i ma podłoże finansowe, „dar wiary" bowiem, którym jest ksiądz wysyłany do pracy we Francji przez lokalny kościół afrykański, to także finansowe korzyści dla diecezji i samego zainteresowanego. Bardzo dobitnie ujął to zmarły w ubiegłym roku słowacki kardynał Tomko, były prefekt Kongregacji ds. Ewangelizacji Narodów, mówiąc: „Jedna trzecia, a nawet połowa duchowieństwa niektórych diecezji w Afryce czy Azji posługuje za granicą ze względów finansowych […], podczas gdy w kraju ewangelizacja stoi w miejscu".

Imigracja zasila jednak nie tylko szeregi francuskiego duchowieństwa. Mimo że, zwłaszcza w kontekście Francji, mówiąc „imigrant", mamy zwykle na myśli przybysza z Bliskiego Wschodu czy północnej Afryki wyznającego islam, znacząca część przybyszów z Czarnej Afryki to chrześcijanie. Tutaj jeszcze trudniej o dokładne dane i statystyki, których wystrzega się państwo francuskie, ale uważny obserwator śledzący naocznie społeczny przekrój wiernych uczestniczących w niedzielnej Mszy św. we francuskich parafiach nie ma wątpliwości, że starzejąca się (i wymierająca) biała klasa średnia, stanowiąca do niedawna trzon katolicyzmu we Francji, ustępuje powoli miejsca młodszym i mniej zamożnym przybyszom z krajów egzotycznych. Widoczne jest to szczególnie w parafiach na przedmieściach wielkich miast, gdzie na nabożeństwach spotykają się całe rodziny, przybyłe, często całkiem niedawno, z Afryki, francuskich Antyli, Wietnamu, Indii czy Sri Lanki, a jeśli wierzyć kapłanom posługujących w tych wielokulturowych parafiach, to cechują je wielki dynamizm i religijny potencjał. Yann Raison du Cleuziou, socjolog katolicyzmu francuskiego, zażartował w wypowiedzi dla katolickiego tygodnika „La Vie", że „prezbiterium kościołów we Francji jest znacznie bardziej kolorowe niż większość zarządów firm…".

Wygląda bowiem na to, że to właśnie w katolickich i – szerzej – chrześcijańskich, wspólnotach parafialnych, wspólnotach i ruchach kościelnych w najdoskonalszy sposób realizuje się projekt integracji i międzykulturowego spotkania. Wiara cudzoziemców z Globalnego Południa jest pozbawiona kompleksów, żywiołowa i zaangażowana, co w jaskrawy sposób kontrastuje z dechrystianizowaną francuską rzeczywistością, a także z pozbawioną emocjonalności „intelektualną" religijnością „Galów", jak żartobliwie nazywają swoich francuskich braci w wierze. Nadają oni koloryt nabożeństwom, przywiązując ogromną wagę do piękna liturgii i zaangażowanego śpiewu, czczą świętych patronów i chętnie pielgrzymują do sanktuariów. Wymuszają na francuskich kapłanach powrót do tradycyjnych form

eprasa.pl c5017bbff7

pobożności, wciąż jeszcze praktykowanych w Polsce, ale kompletnie zapomnianych i odbieranych nieco podejrzliwie we Francji – wizyty duszpasterskie z błogosławieństwem mieszkań, święcenie pojazdów, egzorcyzmy, czuwanie przy zmarłych czy zwyczaj odprawiania w ich intencji Mszy Świętych.

Rzecz jasna, nie wszędzie i nie zawsze odbywa się to bez napięć i nieporozumień w samych wspólnotach, ale rodowici Francuzi, widząc ów żywy, „ludowy" Kościół i zarzucając mu nawet „nadmierny mistycyzm", nie mogą nie zadawać sobie pytania o kondycję swojej własnej, często pozbawionej entuzjazmu, radości i ducha pobożności wiary. Zdarza się, że brak zrozumienia zarówno ze strony francuskiego duchowieństwa, jak i współwyznawców z metropolii „wypycha" katolików z Południa do Kościołów protestanckich, tam bowiem łatwiej znajdują prawdziwą wspólnotę, przyjacielską atmosferę i charyzmatyczną praktykę pobożnościową, bliższą ich pierwotnemu doświadczeniu wiary.

MUZUŁMAŃSKA PRESJA

Dużo trudniejsze jednak niż obojętność czy brak uznania ze strony francuskich katolików jest ich bezpośrednie sąsiedztwo z islamem, żyją bowiem w tych samych dzielnicach, gdzie nie tylko nadaje on ton relacjom, lecz także narzuca reguły życia społecznego. W jednym z artykułów poświęconych sytuacji katolickich migrantów z przedmieść, opublikowanym na portalu internetowym tygodnika „La Vie", czytamy, jak trudno jest afrykańskim rodzicom obserwującym swoje dzieci naśladujące muzułmańskich rówieśników – silnych, męskich i solidarnych, niezachwianych w wyznawanej wierze – którzy mówią im, że „czarny nie może być chrześcijaninem. To religia białych i tylko białych".

Nie wszyscy młodzi ulegają jednak muzułmańskiej presji, a wręcz przeciwnie – stawiają jej wyzwanie, tak jak grupa 20 młodych ludzi pochodzących z Afryki, Antyli i Portugali, która niespełna trzy lata temu założyła stowarzyszenie FIDE. Spotkali się w mediach społecznościowych, zachęcając się wzajemnie do modlitwy, uczestnictwa we Mszy św. i czytania Pisma Świętego. Dziś FIDE zrzesza 200 osób w regionie paryskim, z którymi w kontakcie via media społecznościowe pozostaje codziennie 3 tys. osób w całej Francji.

Aż 91 proc. osób wychowanych w rodzinach muzułmańskich pozostaje przy wierze swoich rodziców, podczas gdy w przypadku środowisk chrześcijańskich odsetek ten nie przekracza 69 proc.

Założyciele nie kryją swoich intencji: ich działalność ma być odpowiedzią na izolację katolików z francuskich przedmieść. Organizacja jest nie tylko miejscem ich spotkania i budowania wspólnoty w codzienności, lecz także przestrzenią ewangelizacji oraz ważnych i często zażartych dyskusji apologetycznych z protestantami czy muzułmanami, jako że szczególnie ci ostatni skutecznie rekrutują współwyznawców wśród niepewnej swej tożsamości młodzieży. „Gdyby księża mogli usłyszeć wszystkie te pytania, które młodzi stawiają" – żali się pochodzący z Kamerunu Janvier Hongla, założyciel FIDE, w wypowiedzi dla tego samego tygodnika „La Vie". „Odsyłają nas one do naszej wiary – i to jest świetne. Problemem jest, gdy nie wiemy, kim jesteśmy, a mamy do czynienia z osobą, której duchowość jest silna" – dodaje.

Kościół katolicki zdaje się niestety nie mieć woli sprostania wyzwaniu, którego podejmują się ci młodzi. Aż 4 tys. rdzennych Francuzów przechodzi co roku na islam, podczas gdy chrzest przyjmuje w tym czasie tylko ok. 300 muzułmanów. Napotykają oni przy tym liczne przeszkody, stawiane im przez Kościół instytucjonalny obawiający się reakcji na te konwersje ze strony społeczności muzułmańskiej, a w konsekwencji zwracają się często o duchowe prowadzenie do wspólnot tradycjonalistycznych lub kościołów protestanckich.

Według najnowszych danych krajowego instytutu statystyki INSEE w latach 2019–2020 51 proc. populacji w wieku od 18 do 59 lat we Francji metropolitalnej uznawało siebie za bezwyznaniowców, przy czym odsetek ten wynosił odpowiednio 58 proc. w przypadku rdzennych Francuzów, 19 proc. w przypadku dorosłych imigrantów i 26 proc. w przypadku osób urodzonych we Francji w rodzinach imigranckich. Choć katolicyzm pozostaje wciąż pierwszą wyznawaną religią (29 proc. Francuzów czuje się katolikami), to islam jest w tej chwili religią 10 proc. mieszkańców Francji, a liczba ta dynamicznie rośnie. Tylko 8 proc. katolików regularnie uczestniczy w nabożeństwach, podczas gdy jest to zwyczajem ponad 20 proc. muzułmanów. Najważniejszy dla religijnego pejzażu Francji w przyszłości jest jednak proces przekazu wiary w rodzinach. Okazuje się, że aż 91 proc. osób wychowanych w rodzinach muzułmańskich pozostaje przy wierze swoich rodziców, podczas gdy w przypadku środowisk chrześcijańskich odsetek ten nie przekracza 69 proc.

Jaka zatem będzie przyszłość katolików obcokrajowców we Francji i czy bogactwo wiary, które ze sobą przynieśli, zostanie zagospodarowane i pomnożone przez francuski Kościół czy też z biegiem lat i pod presją okoliczności zwanych „duchem czasów" zostanie rozproszone, a koniec końców zmarnowane i zniszczone przez sekularyzację? Dziś się wydaje, że koegzystencja wielu katolickich wspólnot w łonie francuskiego Kościoła – choć ze względu na ich kulturowe, cywilizacyjne różnice nie zawsze jest łatwa – może być dla wszystkich dziejową szansą. Przybysze potrzebują miejsca, w którym poczują się prawdziwie przyjęci z całym ich człowieczeństwem i bagażem doświadczeń; Francja potrzebuje odnowy religijnej, ewangelicznego dynamizmu, świadectwa życia wiarą. Potrzebuje i młodych księży, i młodych wiernych.

Czy katolicka imigracja może być odpowiedzią na tę potrzebę? Z całą pewnością parafie i wszyscy ci, którzy angażują się w budowanie rzeczywistej wspólnoty między przyjezdnymi a miejscowymi chrześcijanami, pokazują, że możliwe jest zarówno przebaczenie pomiędzy ludźmi ze zwaśnionych i nieufnych wobec siebie grup etnicznych i społecznych, jak i wspólne życie i tworzenie zupełnie nowej jakości w międzyludzkich, skomplikowanych relacjach – o ile dzieli się ze sobą wartości, których źródłem i sensem jest Jezus Chrystus.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c5017bbff7

FOT. ADOBE STOCK

NIE MA PSA BEZ KURSU

Holenderski minister rolnictwa Piet Adema przedstawił propozycję zmiany prawa dotyczącą posiadania zwierząt domowych. Ponieważ w jego kraju ostatnio doszło do wielu pogryzień właścicieli przez ich psy, zaproponował, by każdy, kto chce nabyć czworonoga, musiał przechodzić specjalny kurs. Dzięki temu ludzie mieliby się nauczyć odczytywać sygnały, które wskazują, że pies jest niespokojny lub wystraszony. Ponadto ma powstać rejestr incydentów związanych z pogryzieniem przez psa.

KOŚCIÓŁ Z OKRESEM PRÓBNYM

Kościół anglikański zaczął udzielać błogosławieństw parom homoseksualnym. Duchowni podkreślają, że taka ceremonia nie jest sakramentem małżeństwa, „ale go przypomina" – odbywają się czytania biblijne, śpiewy. Okres próbny w sprawie udzielana takich błogosławieństwa zaplanowano do 2025 r. W tym czasie będzie konsultowany w diecezjach.

GUILIANI MUSI ZAPŁACIĆ

Były burmistrz Nowego Jorku (oraz były prawnik Donalda Trumpa) Rudy Giuliani musi zapłacić 148 mln dol. odszkodowań za zniesławienie dwóch pracownic komisji wyborczej w stanie Georgia – łącznie po 36 mln dol. Ruby Freeman i jej córce Shaye Moss za uszczerbek na ich reputacji i za doznane krzywdy emocjonalne oraz dodatkowe 75 mln dol. za straty moralne. Giuliani oskarżył je na podstawie zmanipulowanego nagrania z monitoringu, że wynosiły głosy podczas wyborów prezydenckich w 2020 r.

POZEW ZA ZBYT KRÓTKI EGZAMIN

W Korei Południowej podczas pisania egzaminu wstępnego na uczelnie jeden z nauczycieli zakończył test z języka koreańskiego 90 sekund przed czasem. Gdy się zorientowano, po przerwie pozwolono uczniom przez taki czas jeszcze popracować. Ci jednak mieli być tak zestresowani, że oddanie zabranych sekund im nie pomogło. Trzydziestu dziewięciu z nich złożyło pozew do sądu. Domagają się możliwości ponownego przystąpienia do testu za rok oraz pieniędzy od państwa na pokrycie roku dodatkowej nauki.

RADNY Z GRANATAMI NA SESJI

Na Ukrainie, we wsi Kiereck, jeden z radnych przyszedł na obrady rady wiejskiej z trzema granatami. I je zdetonował. Według wstępnych ukraińskiej policji jedna osoba zginęła, a co najmniej 26 zostało rannych. Według lokalnych mediów radny miał konflikt z przewodniczącym gminy. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Nadchodzi rok Trumpa

Były amerykański prezydent Donald Trump nie może pojawić się na karcie do głosowania w przyszłorocznych wyborach prezydenckich ze względu na udział w ataku jego zwolenników na Kapitol Stanów Zjednoczonych, do którego doszło 6 stycznia 2021 r. – zdecydował stanowy Sąd Najwyższy w Kolorado, powołując się na zapis 14. poprawki do amerykańskiej konstytucji, która od czasów wojny secesyjnej zabrania kandydowania tym osobom, które brały udział „w powstaniu lub buncie przeciwko Stanom Zjednoczonym" albo też „udzielały wrogom pomocy lub poparcia".

Sztab byłego prezydenta zapowiedział co prawda złożenie apelacji od wyroku do Sądu Najwyższego, ale Donald Trump nie mógł wyobrazić sobie na święta lepszego prezentu. Nie wiem, jak ktoś chce próbować przekonać jego zwolenników, że Trump kłamie, gdy mówi o lewicowym spisku i sfałszowanych wyborach, skoro sąd zabrania mu nagle udziału w kolejnych wyborach.

Nawet najwięksi przeciwnicy Trumpa w gronie Partii Republikańskiej krytykują wyrok sądu w Kolorado. Krytycy upolitycznionych sądów wskazują, że o tym, kto zostanie kolejnym przywódcą Ameryki, powinni zdecydować amerykańscy wyborcy, a nie sędziowie.

Zresztą na polityczno-prawnym zamieszaniu najwięcej zyskuje sam Donald Trump, który według sondaży ma obecnie spore szanse na pokonanie Bidena. Od urzędującego prezydenta odwracają się już nawet takie grupy wyborców jak Latynosi i Afroamerykanie, a media w USA podkreślają: wskaźniki poparcia dla Bidena są obecnie bezprecedensowo złe, a mogą być jeszcze gorsze...

eprasa.pl c5017bbff7

Пездуза
339K subscribers

Search

Пездуза
«Что подорожало первым: курица или яйцо?» Российские философы задались новым вопросом
206.5K 11:00

Пездуза
«В одном из них смерть кощея». Стала известна причина очередей за яйцами
201.0K 15:50

December 11

Пездуза
«Нельзя транжирить ресурсы». Россиян будут штрафовать за добавление яиц в новогодние салаты
171.8K 08:54

Пездуза

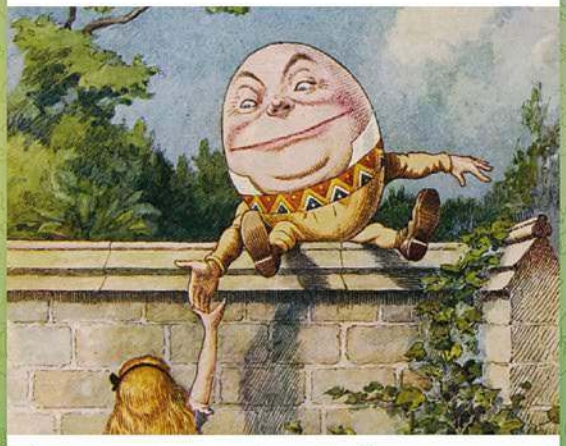

У стены, где сидит Шалтай-Болтай, собралась толпа скучающих по яичнице россиян
163.2K 13:19

Пездуза
@pezduzalive

339K Subscribers | 400 Photos | 23 Videos | 36 Links

Весь текст — сатирический вымысел, все совпадения случайны. У меня нет других каналов в телеге

Предложка: @Realpezduzabot

Реклама: @RealPezduza, @politmanagertg, @michael_wazowski

Связь: @RealPezduza

https://twitter.com/RealPezduza

DOWNLOAD TELEGRAM

About Blog Apps Platform

Z czego śmieją się Rosjanie

Maciej Pieczyński

Oficjalna kremlowska propaganda jest raczej poważna i nie używa humoru jako broni. Satyra polityczna koncentruje się głównie w Internecie. „Patriotyczne" żarty należą do rzadkości. Antyputinowskie i antywojenne to z kolei głównie domena politycznych emigrantów. Telewizyjni komicy unikają zaś ryzykownych tematów politycznych

Bez problemu w Internecie można znaleźć rosyjskojęzyczne konta satyryczne, wyśmiewające politykę Putina. Ostatnio wdzięcznym obiektem żartów stał się ogromny deficyt jajek, po które ustawiają się gigantyczne kolejki do sklepów. „Co podrożało pierwsze: kura czy jajko? – rosyjscy filozofowie szukają odpowiedzi na to nowe pytanie" – pisze Pezduzda, konto parodiujące opozycyjny portal Meduza i publikujące w Internecie krótkie zmyślone informacje. Trzy inne przykłady: „Rosjanie będą zobowiązani zabetonować swoje okna, jeśli wychodzą na zachód"; „W nowych podręcznikach do języka rosyjskiego słowo »swoboda« zostanie skrócone do pierwszych trzech liter [skrót od: specjalna operacja wojskowa – przyp. red.]"; „Transmisję spotkania Putina i Łukaszenki zablokowano w Rosji za propagandę LGBT [komentarz do

eprasa.pl c5017bbff7

nagrania, na którym obaj dyktatorzy serdecznie się ściskają na powitanie – przyp. red.]".

GŁOS MORDORU

Jednym z niewielu rosyjskich „patriotycznych" kont satyrycznych na Telegramie jest Głos Mordoru (Gołos Mordora). Na bieżąco wyśmiewa Ukrainę i Zachód. Gdy żona szefa wywiadu wojskowego, Mariana Budanowa, została otruta, kpił, nawiązując najpewniej również do incydentu z komendantem polskiej policji: „Zapewne jej samiec przytaszczył do domu jako pamiątkę amerykański pocisk ze zubożonym uranem. Przecież Amerykanie mu powiedzieli, że to bezpieczne". Samego Kyryłę Budanowa nazywa „głównym terrorystą Ukrainy", Wołodymyra Zełenskiego zaś „Führerem chutoru", akcentując z jednej strony rzekomo nazistowski charakter władz w Kijowie, z drugiej – prowincjonalny, prymitywny charakter samego państwa ukraińskiego. To zresztą typowe rosyjskie myślenie o południowozachodnich sąsiadach. Dość często Rosjanie – o ile w ogóle uznają istnienie odrębnego języka ukraińskiego – uważają, że jest to język wsi.

Głos Mordoru to w zasadzie prokremlowska propaganda w ironiczno-satyrycznej formie. Gdy były głównodowodzący wojsk USA w Europie gen. Hodges przyznał, że Waszyngton nigdy by nie wysłał swojej armii do ataku w takich warunkach, w jakich znajduje się Ukraina, popularny użytkownik Telegramu zakpił: „Oczywiście. Przecież Amerykanie to wyższa rasa, ich trzeba strzec. Ale już tępych tarasów i mykoł [nawiązanie do typowych ukraińskich imion męskich – przyp. red.] można rzucać na ubój tysiącami, Amerykanom nie żal. Tyle że ten fakt nie dociera do tępych tarasów i mykoł, chociaż im o tym już któryś raz mówią otwartym tekstem".

Komentarz opiera się na powszechnym wśród Rosjan przekonaniu, że wojnę przeciwko nim rozpętali Amerykanie, posługując się Ukraińcami jako mięsem armatnim. Toczą z Rosją wojnę „do ostatniego Ukraińca". „Kiedy poznamy dokładną liczbę poległych Ukraińców, będzie można tę liczbę podzielić przez sumę amerykańskiej pomocy i w ten sposób wyliczyć wartość jednego Ukraińca. Nie będzie zaporowa" – ironizował Głos Mordoru. Podobną opinię wyraził w reakcji na słowa Dmytra Kułeby, który z dumą obwieścił, że Siły Zbrojne Ukrainy stały się de facto armią NATO. „To tak, jakby prostytutka podczas seksu z klientem pomyślała, że de facto jest jego żoną" – komentował rosyjski „satyryk". Ten punkt widzenia wynika z równie powszechnego przeświadczenia, że osią konfliktu jest kwestia stref wpływów wielkich mocarstw, nie zaś czyjaś niepodległość.

Polaków Rosjanie straszą banderowcami, Ukraińców – polską szlachtą

Ironiczne określenie Amerykanów jako „wyższej rasy" to też typowe szyderstwo z Zachodu, który w oczach Rosjan z jednej strony fałszywie szermuje retoryką tolerancji i poucza innych, z drugiej strony sam ma na sumieniu grzechy imperializmu, rasizmu czy faszyzmu, traktowane często jak uniwersalne przypadłości całego świata zachodniego.

Niedawno w rosyjskim Internecie szeroko i prześmiewczo komentowany był spór na linii Londyn – Ateny. Premier Sunak odwołał spotkanie ze swoim greckim odpowiednikiem, ponieważ oburzyło go stanowisko tamtejszych władz domagających się zwrotu antycznych rzeźb. Zostały one wykradzione przez brytyjskiego ambasadora ze znajdujących się wówczas pod turecką okupacją Aten. Następnie trafiły w ręce brytyjskiego rządu i znalazły się w londyńskim muzeum. Dla Rosjan to kolejny dowód na zachodni imperializm. Na jednym z popularnych memów widać piramidy z podpisem: „Jedyna przyczyna, dla której w Egipcie pozostały piramidy, to to, że są zbyt ciężkie, aby je przetransportować do Muzeum Brytyjskiego".

Rosjan bawią również spory na linii Kijów – Warszawa. Na wieść o tym, że w odpowiedzi na blokadę granicy przez polskich przewoźników ich ukraińscy koledzy po fachu postanowili zablokować drogi w Przemyśle i Medyce, Głos Mordoru stwierdził: „Podoba mi się, kontynuujcie. Pytanie tylko, kiedy przyjedzie polski specnaz i jaśnie wielmożny pan pokaże ukraińskiemu bydłu, gdzie jego miejsce. Tak jak w przeszłości". Obiektem drwiny są nie tylko Ukraińcy, lecz także Polacy. Akcentowanie szlacheckiego charakteru polskiej tożsamości nie jest w ustach Rosjanina żadną nobilitacją. Przeciwnie – mówienie o „wielmożnych panach" to nawiązanie do czasów rzekomego kolonializmu i imperializmu dawnej Rzeczypospolitej, której ofiarami byli ukraińscy chłopi. Polaków Rosjanie straszą banderowcami, Ukraińców – polską szlachtą.

NA SATYRYCZNYM FRONCIE

Generalnie jednak w Rosji nie ukształtowała się tak rozwinięta patriotyczna satyra polityczna jak na Ukrainie. Akurat na tym froncie Moskwa przegrywa. Ukraińskie kabarety przed inwazją wyśmiewały zarówno Rosję, jak i swoich własnych polityków. Świetnym przykładem jest Kwartał 95, z którego wywodzi się sam Wołodymyr Zełenski. Po 24 lutego 2022 r. ukraińska scena kabaretowa skupiła się na bezwzględnym wyśmiewaniu agresora, stając się wręcz kolejnym rodzajem broni propagandowej. Tymczasem rosyjscy komicy, nauczeni doświadczeniem, że w ich kraju polityka to niebezpieczny temat do żartów, raczej unikali tego typu kwestii. Nie ukształtował się jednolity front satyryczny. Wynika to również ze specyfiki kulturowej. W średniowiecznym państwie moskiewskim oficjalnie prześladowano skomorochów – pochodzących z ludu wędrownych błaznów, którzy wyśmiewali wyższe warstwy społeczne i Cerkiew. Ponadto z ich usług korzystał Iwan Groźny, a Piotr Wielki urządzał „pijany sobór", czyli teatralizowaną biesiadę, która była parodią obrzędów cerkiewnych. Oficjalnie jednak obaj byli poważnymi tyranami i oddolnego śmiechu nie pochwalali. Później, gdy ukształtowała się profesjonalna satyra literacka, była ona z reguły wymierzona w istniejący system polityczny, naturalnym biegiem rzeczy stając się narzędziem opozycji. Oficjalna państwowa patriotyczna ideologia była raczej poważna. Nieprzypadkowo za żarty o Stalinie można było trafić do łagru. W latach 90. w rosyjskiej telewizji popularny był satyryczny program „Kukły", wyśmiewający polityków. W epoce Putina został zdjęty z anteny.

eprasa.pl c5017bbff7

Ze świecą szukać rosyjskich komików, sprawnie wyśmiewających Ukraińców i służących swoją satyrą imperialnym ideom swojego państwa. Ci bardziej znani i popularni, jeśli komentują wojnę, to w sposób Rosji nieprzychylny. Najbardziej charakterystycznym przykładem jest stand-uper Rusłan Bieły. Publicznie powiedział, że nie popiera „specoperacji", że jego ojciec i połowa krewnych pochodzi z Ukrainy. Zadał też kłam tezie kremlowskiej propagandy, jakoby to Kijów planował inwazję na Rosję. Organizacja Weterani Rosji zwróciła się do Prokuratury Generalnej i Komitetu Śledczego z wnioskiem o sprawdzenie, czy komik nie dopuścił się dyskredytacji armii rosyjskiej. Bieły trafił na listę „agentów zagranicznych". Komik występował wcześniej w telewizji TNT, ale zniknął z anteny. W końcu wyjechał też z kraju. Ruszył w trasę. Występował dla rosyjskojęzycznej publiczności w Kazachstanie i Izraelu, a ostatecznie ogłosił, że wraz z rodziną zamieszkał w Hiszpanii.

W jednym z bardziej znanych skeczy stand-uper wyśmiewał mobilizację. Wśród rosyjskich kierowców patriotów modne są naklejki na samochód z treścią: „Możemy powtórzyć". Z założenia to groźba pod adresem Zachodu i nawiązanie do zwycięstwa nad Niemcami w drugiej wojnie światowej. „Jak się okazuje, chodziło jednak o to, że mogą powtórzyć mobilizację" – komentuje Bieły. „Ale nie martwcie się, przecież to tylko częściowa mobilizacja. Tak mówią. Pewnie po to, żeby ludzie częściowo byli w czarnej dupie. A częściowo w Gruzji" – dodaje. Nawiązuje do najpopularniejszego kierunku ucieczki Rosjan, niechętnych ginąć na froncie. Inny opozycyjny stand-uper, Denis Czużoj, naśmiewał się z tego, że uciekający przekraczali granicę na deskorolkach [chodziło o to, że zgodnie z przepisami mogli wyjechać z kraju tylko na kółkach – przyp. red.], podczas gdy sto lat wcześniej rosyjscy biali emigranci, wyrzucani z Rosji przez bolszewików, opuszczali kraj w dużo lepszych warunkach – na parostatku [chodzi o słynny „statek filozofów" – przyp. red.]. Wracając do Biełego, w cytowanym skeczu zaznaczył, że wyjechał z kraju nie tylko dlatego, że potępia „specoperację", lecz także dlatego, że jako rezerwista niechybnie zostałby objęty mobilizacją. Dodał też, że jeśli ktoś występuje przeciwko wojnie, to może skończyć w więzieniu. A stamtąd też przecież można, z wysoką dozą prawdopodobieństwa, trafić do armii i na front. „Dla mnie prankiem wieka będzie, jeśli na specoperację zostanie zwerbowany [z kolonii karnej – przyp. red.] Nawalny – żartował Bieły. – Wiem nawet, jaka będzie jego specjalizacja w wojsku: operator dronów [nawiązanie do śledztw dziennikarskich, które Nawalny prowadził za pomocą dronów – przyp. red.]. Nie wiem, jak on będzie sobie radzić w działaniach bojowych, ale parę śledztw przeprowadzi. Dowiemy się na pewno, kto w okopie nielegalnie zbudował sobie dom".

Unikanie komentowania bieżącej polityki to specyfika tych rosyjskich stand-uperów, którzy nie uciekli z Rosji

BEZ POLITYCZNEJ POPRAWNOŚCI

W Rosji wciąż żyje inny znany komik – Andriej Atłas – który jednak żartuje na bardziej bezpieczne tematy. W jednym ze skeczy opowiadał, że musiał wynajmować pokój w Moskwie wspólnie z gejem. W przeciwnym razie musiałby płacić 25 tys. rubli miesięcznie więcej, bo innego współlokatora nie udało się znaleźć. „Chłopaki, na pewno mieliście w dzieciństwie taką zabawę, że pytaliście kolegów dla żartu, za ile by zamieszkali z pedałem – za milion, za dwa miliony? A cena mojej homofobii to 25 tys. rubli! Bałem się ojcu powiedzieć, że mieszkam z gejem. Ojciec jest człowiekiem starej daty. On ma jedną metodę kary. Kiedy w dzieciństwie przyłapał mnie z papierosem, kazał mi wypalić całą paczkę. Strach pomyśleć, co teraz postanowi ze mną zrobić" – opowiadał stand-uper, wywołując salwę śmiechu u publiczności.

Skecz był częścią programu „Stand Up Show" na TNT. Niedawno opublikowany na YouTube, ale nagrany jesienią 2020 r. Brak poprawności politycznej jest typowy dla stand-upu generalnie, nie tylko w Rosji. Ale już unikanie komentowania bieżącej polityki to akurat specyfika rosyjskich stand-uperów – tych, którzy nie uciekli z Rosji. Dobrym przykładem jest Paweł Wola. Jego repertuar to skecze apolityczne, w których wyśmiewa on zjawiska uniwersalne. W jednym z występów żartował ze wszechobecnej mody na słabość. Śmiał się z ludzi bojących się laktozy w mleku czy kupujących łóżka lub poduszki ortopedyczne z pamięcią kształtu. „Kiedyś to nie łóżko zapamiętywało kształt człowieka, tylko człowiek zapamiętywał niewygodny kształt łóżka. Mój dziadek całe życie spał dupą na podłodze, a zmarł, gdy mu kupiliśmy łóżko ortopedyczne" – opowiadał komik. Kpił też z tego, że dziś ludzie chodzą do podologa i że niedługo powstanie osobna lekarska specjalizacja od każdego palca u nogi z osobna. Oburzał się, że na placach zabaw brakuje kamieni, bo przez to dzieci nie mają jak rozstrzygać, kto ma rację.

Dziś w Rosji za żart można pójść siedzieć. Przekonał się o tym Sawielij Frołow. Dwudziestodwulatek w rozmowie z kolegą przez Internet żartował, że najchętniej poszedłby walczyć z Rosją w szeregach ukraińskich. Został skazany na sześć lat kolonii karnej.

Warto jednak zaznaczyć, że kilka dni po inwazji na Ukrainę ponad 250 rosyjskich komików podpisało otwarty list do Putina z apelem o zakończenie wojny. Niektórzy z nich jednak później zmienili poglądy. Azamat Musagalijew pojechał nawet do okupowanego Donbasu i publicznie nazwał rosyjskich żołnierzy „obrońcami ojczyzny". Generalnie krytyczny wobec Putina i słynący z antyrosyjskich żartów Daniił Popierieczny pozwolił sobie natomiast również na niewybredny żart z Ukraińców. Wyśmiał nazwę miasta Izium (ros. rodzynki). „Słyszę, że toczą się tam zażarte walki. Co to, mrówki walczą?!" – kpił. Wspomniany zaś Paweł Wola starannie unikał opowiedzenia się po którejś stronie, sugerując jednak, że bliżej mu do Putina. W jednym z wywiadów mówił niekonkretnie o „trudnych czasach", w których trzeba „wspierać się nawzajem". Gdy Zełenski został prezydentem, Wola, który znał go jeszcze z okresu pracy w kabarecie, wspominał, że to „superfacet, wesoły, świetny kapitan swojej drużyny". Po 24 lutego 2022 r. już się o swoim dawnym koledze nie wypowiadał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c5017bbff7

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Tak nas okrada Antyjanosik

Szef rządu, który akceptuje wysoką inflację, jest jak Antyjanosik, czyli zwykły zbój, który – w odróżnieniu od Janosika – okrada biednych i daje sobie – bogatemu. A wszyscy, którzy mu w tym pomagają – np. NBP i Rada Polityki Pieniężnej (RPP) – są wspólnikami zbója Antyjanosika.

Nasz Antyjanosik, czyli premier Morawiecki – grasujący po Polsce od 2020 r. i codziennie napadający na każdego Polaka – w ciągu trzech ostatnich lat okradł nas, Polaków, z ok. 400 mld zł.

Tyle pieniędzy ukradziono nam wskutek nałożonego na nas przez rząd Antyjanosika Morawieckiego ukrytego podatku – takie bowiem miano najlepiej pasuje do inflacji. Ukrytego podatku, którego nie sposób uniknąć, który płacimy co dnia – za każdym razem, gdy cokolwiek kupujemy. I w dodatku nigdy nie jest on wyszczególniony – jak podatek VAT – na paragonie zakupu. Za każdym razem próbuje się go przed nami ukryć, choć dobrze wiemy, że go płacimy – czujemy to wraz z pieniędzmi, które podczas zakupów coraz szybciej się nam ulatniają.

Kwotę 400 mld zł, na którą okradziono nas w ciągu trzech ostatnich lat, oszacował Ludwik Kotecki, jeden z nielicznych w RPP obrońców Polaków przed Antyjanosikiem. „Państwo zyskuje, ludzie biednieją" – przestrzega on, wskazując, że rządy zawsze zyskują na inflacji dzięki wyższym przychodom do kasy państwa; ba, historia zna przykłady rządów, które specjalnie ją wywoływały, by rozwiązać problem finansowania swych wydatków. I przydałoby się śledztwo, czy tak było (i nadal jest) tym razem w Polsce.

Pewne jest jedno: Polska wciąż zmaga się z wysoką inflacją, gdy wiele państw UE już sobie z nią poradziło. I nie pozwólmy sobie wmówić, że inflacja na poziomie niemal 7 proc. (czyli prawie trzykrotnie wyższa niż cel NBP) to inflacja niska, „mało dojmująca", do której można się przyzwyczaić, a nawet „z nią żyć".

Tym bardziej że każda inflacja najmocniej uderza w najbiedniejszych – i to ich Antyjanosik zawsze okrada najbardziej. I jeszcze przy tym bezwstydnie chwali się rekordowymi dochodami budżetu – tak jakby nie brały się one z pieniędzy wyciąganych za pomocą podatku inflacyjnego z kieszeni Polaków. A potem rozdaje je po politycznym uważaniu – najchętniej swoim wyborcom. Oraz sobie.

A teraz Polacy zamienili – niczym stryjek siekierkę na kijek – rząd jednego Antyjanosika – Morawieckiego – na rząd innego Antyjanosika – Tuska, który od 2024 r. planuje co roku zalewać Polskę dodatkowo ponad 50 mld zł (podwyżki dla budżetówki, babciowe, renty wdowie, urlop od ZUS dla przedsiębiorców itd.), w ogóle przy tym nie redukując wydatków Antyjanosika Morawieckiego – co znów tak pięknie nakręci inflację, że obyśmy w niej nie potonęli. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Znów na kolanach

Nie będę dla poklasku udawał, że podobało mi się, co zrobił Grzegorz Braun w dniu exposé premiera Donalda Tuska. Nie podzielam zachwytów nad tym, że rzekomo wielu osobom „otworzył oczy". Polityczny performance uderzający w jakąkolwiek ceremonię religijną nie powinien budzić niczyjego entuzjazmu. Jest to też zawsze miecz obosieczny.

Poza szkodami dla jego partii przyniosło to także szkody Polsce. Pan poseł zachował się jak klasyczny polityczny egoista: zagrał wyłącznie na siebie. Skutki są memiczne, emocjonalne, ale raczej chwilowe i niczego zasadniczego nie zmienią. Nie jest to żaden – jak to lubią nazywać niektórzy komentatorzy – „gamechanger".

Jeśli szukać korzyści z ekscesu posła Brauna, to jest nim naświetlenie potęgi kompleksów polskiej elity

Jednak trudno spokojnie patrzeć na to, co się wyprawia w następstwie wyczynu pana posła. Ponowne uroczyste zapalanie chanukii z udziałem głowy państwa, powszechne wzmożenie w politycznym establishmencie, zablokowanie zbiórek na działalność Grzegorza Brauna na jednym z portali, wycofanie przez politycznie poprawne Allegro koszulek z gaśnicą – choć nadal bez problemu można na tym portalu kupić koszulki ze Stalinem i z symbolami komunistycznymi. Wszystko zaś przebił pompatyczny tweet amerykańskiego ambasadora, pana Marka Brzezińskiego, który napisał: „To bardzo budujące zobaczyć, jak polska opinia publiczna i osoby na publicznych stanowiskach głośno opowiedziały się przeciwko niedawnym antysemickim wydarzeniom w Sejmie i we Wrocławiu. Potępiając te tchórzliwe czyny, polscy przywódcy dali mocny przykład do naśladowania i pokazali, jak zjednoczyć się przeciwko nienawiści. Naszym obowiązkiem – wszystkich tych, którzy pełnią funkcje publiczne, są osobami publicznymi, w tym dyplomaci, dziennikarze i liderzy społeczności, a także każdego z nas z osobna – jest zachowanie czujności. Nie możemy zapominać, jak niebezpieczna jest obojętność".

Ten zalew rodzimej nadgorliwości w przepraszaniu za jednego posła dopełniło pouczenie namiestnika mocarstwa zza wielkiej wody. Jeśli już szukać jakichś korzyści z ekscesu posła Brauna, to jest nim naświetlenie kolejny raz potęgi kompleksów polskiej elity. Jak śpiewał Jacek Kaczmarski: „A my, co rusz, to przed kimś kolejnym na kolanach". ©℗

eprasa.pl c5017bbff7

Nadsekretarz ludzkości

Jakub Wozinski

Łagodne oblicze i stonowany temperament sekretarza generalnego ONZ, António Guterresa, skrywają realizowane przez niego konsekwentnie dążenia do dokonania radykalnego przeobrażenia światowej gospodarki

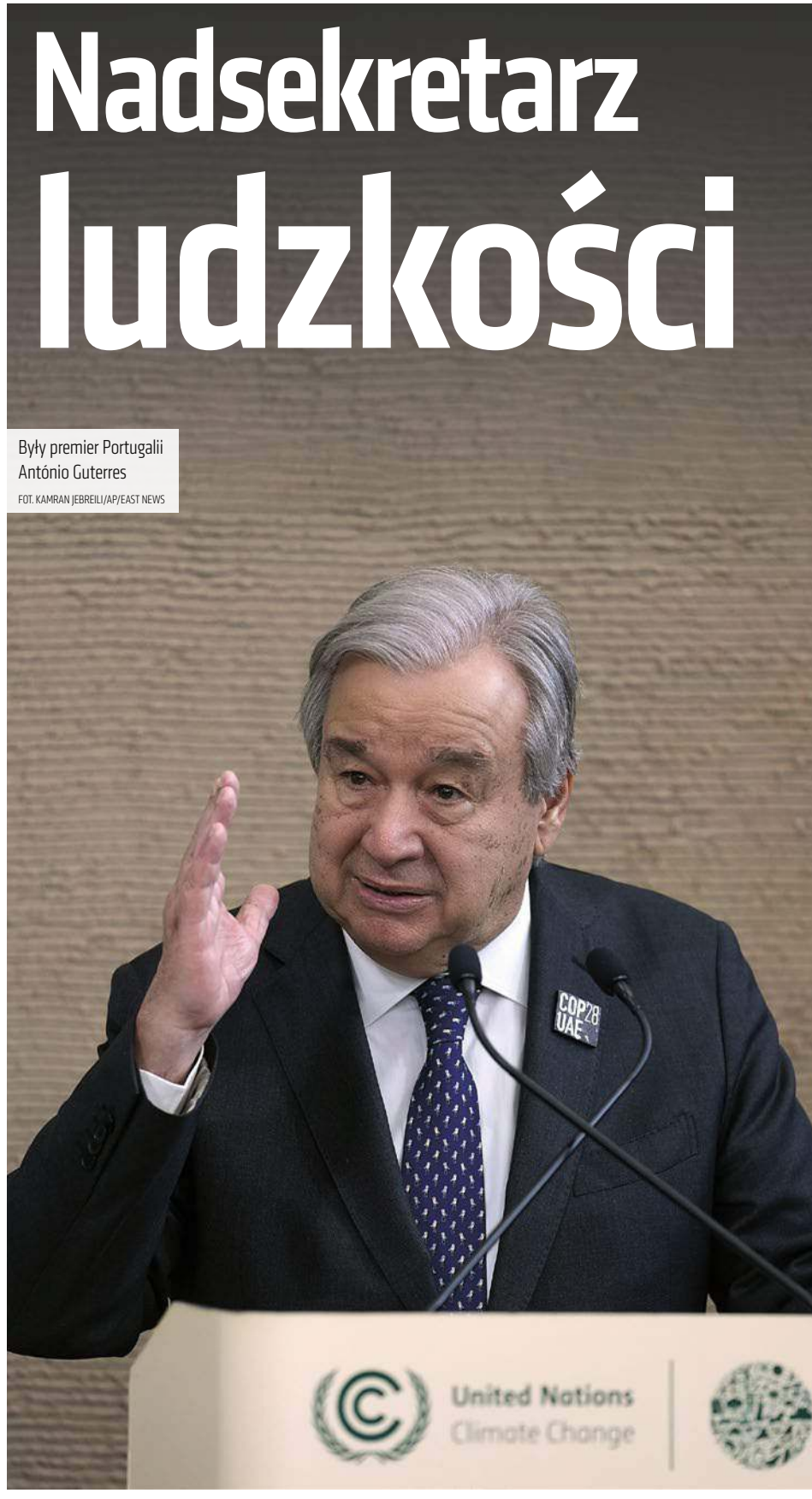

Były premier Portugalii António Guterres

FOT. KAMRAN JEBREILI/AP/EAST NEWS

Byłego premiera Portugalii w latach 1995–2002 trudno obecnie posądzać o bycie jednym z głównych rozgrywających światowej polityki. Funkcja sekretarza generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych powierzana była do tej pory głównie sprawnym urzędnikom o dobrej prezencji z mniejszych krajów, które nie miały decydującego wpływu na politykę międzynarodową. Z tego właśnie powodu, mimo że António Guterres sprawuje swoją funkcję od 2017 r., nie dał się on w ogóle poznać jako osoba odciskająca swoimi decyzjami jakiekolwiek szczególne piętno na losach świata. Można wręcz odnieść wrażenie, że bardziej wpływowi byli nawet przez ostatnie lata szefowie poszczególnych ONZ-owskich organów, jak choćby szef WHO Tedros Ghebreyesus.

CZERWONY SZTANDAR

Jeżeli António Guterres przykuwał szerszą uwagę mediów, to okazją do tego było chociażby nawiązanie bliskiej współpracy z młodzieżową aktywistką klimatyczną Sophią Kianni. Sekretarz wprowadził długonogą influencerkę klimatyczną na salony jako lepszą wersję Grety Thunberg, co dla niektórych mogło świadczyć o tym, że Portugalczyk nie ma już większych ambicji i skupia się na rzeczach zdecydowanie bardziej przyziemnych.

Jak więc pogodzić tezę o ograniczonym znaczeniu funkcji sekretarza generalnego ONZ z zaanonsowanymi na wstępie dążeniami do wykonania wielkiego skoku po władzę? Wszystko

eprasa.pl c5017bbff7

wskazuje na to, że Guterresowi przyszło w udziale stać na czele ONZ w czasach, gdy planowana jest wielka przebudowa nie tylko tej instytucji, lecz także całego międzynarodowego ładu. Hasła „wielkiego resetu" nie były przecież rzucane przez wielkich tego świata na wiatr. Zamiast więc podzielić los wcześniejszych sekretarzy, którzy zaledwie wypełnili powierzony im mandat, Portugalczyk ma szansę przewodzić wspólnocie międzynarodowej w zupełnie nowym formacie, który jego funkcji powierzy nadspodziewanie duże kompetencje.

Swego czasu środowiska postkomunistyczne w Polsce bardzo mocno zabiegały o to, aby sekretarzem ONZ został Aleksander Kwaśniewski. Ostatecznie nie znalazł się nawet na krótkiej liście kandydatów, lecz – jak pokazał późniejszy wybór Guterresa – społeczność międzynarodowa bardzo ceni sobie polityków mających doświadczenie w działalności pod czerwonym sztandarem. António Guterres był wcześniej sekretarzem portugalskiej Partii Socjalistycznej oraz Międzynarodówki Socjalistycznej. W młodości zapuścił nawet na cześć Salvadora Allendego wąsy.

Pierwsze doświadczenia w zakresie budowania nowego, wspaniałego porządku zdobywał jako działacz Partii Socjalistycznej, urządzającej kraj na nowo po obaleniu struktur Nowego Państwa utworzonego wcześniej przez António Salazara. Guterres był jednym z głównych negocjatorów w procesie akcesyjnym do Unii Europejskiej. Co ciekawe, zawsze deklarował się jako katolik, choć swój katolicyzm brał zawsze przy okazji wprowadzania coraz bardziej progresywnych zarządzeń w jeszcze większy nawias. Jako szef ONZ dał się już poznać jako gorący zwolennik aborcji, praw reprodukcyjnych oraz entuzjasta forsowanego przez papieża Franciszka projektu świątyni trzech religii w Abu Zabi. Tamtejszy Dom Abrahama Guterres uznał za „model dla współczucia i ludzkiej solidarności".

SPECJALISTA OD ZRÓWNOWAŻONEGO ROZWOJU

Jego zwycięska kampania poprzedzająca wybory z 1995 r. odbywała się pod hasłem „Serce i rozum". Jako szef rządu wprowadził wiele socjalnych udogodnień, które współgrały ściśle z praktykowanym przez niego obecnie apostolstwem zrównoważonego rozwoju. Gdy później przez 10 lat pełnił funkcję wysokiego sekretarza ONZ do spraw. uchodźców (UNHCR), dał się poznać jako osoba świetnie odnajdująca się w nowomowie globalnej walki z ubóstwem oraz nowej ekonomii.

Momentem zwrotnym w karierze obecnego szefa Organizacji Narodów Zjednoczonych okazało się pojawienie się koronawirusa. Tradycyjna globalistyczna platforma haseł klimatyzmu i progresywistycznie interpretowanych praw człowieka została wówczas uzupełniona o postulat przebudowy światowego ładu. Guterres niemal od razu stał się rzecznikiem obowiązkowych szczepień, określając dostarczenie kontrowersyjnych preparatów całej ludzkości „najwyższym moralnym obowiązkiem". ONZ mówiła w czasie pandemii niemal jednym głosem z Billem Gatesem, który zresztą od lat jest jednym ze sponsorów organizacji oraz współtwórcą GAVI, czyli Globalnego Stowarzyszenia na rzecz Szczepionek, w którym ONZ-owskie agendy odgrywają szczególną rolę.

Pierwsze doświadczenia w zakresie budowy nowego porządku zdobywał jako działacz Partii Socjalistycznej

Zgodnie z przekazem forsowanym przez globalistyczne elity pojawienie się koronawirusa miało rzekomo potwierdzić konieczność ustanowienia globalnych sił zarządzania kryzysowego. Przy pełnej aprobacie ze strony Zjednoczonej Prawicy ONZ niemal natychmiast zintensyfikowała prace nad nowym schematem administrowania ludzkością. W Polsce najwięcej uwagi przykuły na razie prace nad traktatem antypandemicznym Światowej Organizacji Zdrowia, na mocy którego państwa miałyby zostać pozbawione części suwerenności w razie wystąpienia kolejnego kryzysu zdrowotnego o światowym zasięgu. W gruncie rzeczy jednak obawy powinien budzić całokształt propozycji, które od dłuższego czasu znajdują się na wokandzie organizacji zarządzanej przez Guterresa.

OCALENIE LUDZKOŚCI I PLATFORMA AWARYJNA

Zgodnie z przedstawianymi sukcesywnie od miesięcy kolejnymi propozycjami automatyczne protokoły postępowania na wypadek kryzysowych sytuacji mogłyby zostać uruchomione nie tylko w obszarze służby zdrowia, lecz także w dziedzinie polityki klimatycznej, gospodarczej czy nawet w zakresie eksploracji kosmosu. Część polityków z całego świata, niekoniecznie z Polski, zdążyła już wyrazić zaniepokojenie planami zaprezentowanymi po raz pierwszy w marcu tego roku, z których niezbicie wynika, że odnowiona ONZ ma się stać czymś na wzór światowego zarządu o kompetencjach nadrzędnych wobec państw członkowskich.

Cała koncepcja ma wkroczyć na poziom implementacji przy okazji przyszłorocznego „Szczytu przyszłości", zaplanowanego na wrzesień. Zdaniem Guterresa wyzwania, przed którymi stoi ludzkość, mogą zostać rozwiązane jedynie poprzez wzmocnienie globalnego zarządzania, a hasło przewodnie szczytu brzmi: „Ocalić ludzkość". Pewne pojęcie o tym, co dokładnie ma na myśli, dają wypowiedzi wspomnianego już Gatesa, który w kontekście mających jego zdaniem nadejść nowych zagrożeń zdrowotnych proponuje utworzenie globalnej „straży pożarnej", reagującej błyskawicznie na wszelkie sytuacje kryzysowe. Owa „straż pożarna" mogłaby podjąć działania bez konieczności konsultacji ze wszystkimi państwami członkowskimi.

W Stanach Zjednoczonych część republikańskich środowisk zdążyła już okrzyknąć pomysły ONZ i Guterresa mianem gotowego przepisu na podporządkowanie świata woli Chin. Zgodnie z nimi sekretarzowi generalnemu miałaby zostać przyznana władza zwoływania tzw. Platformy Awaryjnej, mogącej mierzyć się nie tylko ze wspomnianym już potencjalnym kryzysem zdrowotnym, lecz także m.in. kryzysami finansowymi, kryzysami związanymi z globalnym ociepleniem czy też innymi sytuacjami nadzwyczajnymi. Na czas występowania „globalnego kryzysu" Antonio Guterres i jego następcy przejmowaliby faktyczne zarządzanie nad kluczowymi dziedzinami życia całej planety.

eprasa.pl c5017bbff7

Wszystkie opisywane tu propozycje mogą do pewnego stopnia budzić niedowierzanie, gdyż w swojej dotychczasowej historii ONZ nie wyrósł nigdy na ponadnarodową strukturę dyktującą światu swoje własne warunki, a przez większość czasu był organizacją służebną względem USA. Zasadna wydaje się jednak hipoteza, że Organizacja Narodów Zjednoczonych mogła do pewnego stopnia ulec wrogiemu przejęciu. Wiadomo dobrze, że od lat miała bardzo poważne problemy finansowe wynikające z nieterminowego opłacania składek (lub niepłacenia ich w ogóle) przez znaczną część krajów członkowskich. Kilka lat temu Guterres podjął nawet próbę sprzedaży przynależnej mu rezydencji na Manhattanie, byle tylko ratować wiecznie pusty budżet organizacji.

SPONSORZY REFORMY ONZ

Chronicznie niedofinansowany ONZ stał się tym samym wysoce podatny na wpływy wszystkich państw i środowisk, które w zamian za wsparcie pieniężne pragną uzyskać dla siebie określone korzyści. Praktyki okołopandemiczne Billa Gatesa to bodajże najbardziej jaskrawa egzemplifikacja tego, jak łatwo podporządkować sobie jeden z naczelnych organów ONZ i odnosić z tego tytułu ogromne profity.

Kto jeszcze wykorzystuje ONZ do swoich celów? Odpowiedzi należy szukać w wypowiedziach samego Antónia Guterresa, który w ostatnim czasie coraz agresywniej atakuje zasady ładu międzynarodowego sformułowanego pod dyktando Stanów Zjednoczonych. W sposób najbardziej jaskrawy rzuca się to w oczy, gdy krytykuje obecną architekturę świata finansów. W czerwcu w Paryżu Guterres poddał szczególnej krytyce system ustanowiony w Bretton Woods, który jego zdaniem nie sprostał zadaniu zapewnienia bezpieczeństwa krajom rozwijającym się. Na dodatek jego zdaniem świat stał się od tego czasu bardziej multipolarny.

Narracja o potrzebie przebudowy globalnego ładu jest promowana od lat przez wschodnie mocarstwa, które w ostatnich latach zdołały zdobyć dla siebie w ONZ wiele przyczółków. W rezultacie dziś organizacja zarządzana przez António Guterresa zajmuje coraz częściej antyzachodnie stanowisko w wielu kwestiach, co najlepiej pokazało niedawne jednoznaczne opowiedzenie się po stronie Palestyny. Szef ONZ rozwścieczył cały Izrael swoimi uwagami, które skrzętnie pomijają współodpowiedzialność Hamasu za obecny kryzys.

Prawdziwym marzeniem Guterresa jest uzyskanie statusu nadsekretarza całej ludzkości

ONZ pod rządami Guterresa zaczęła coraz bardziej przyjmować chińską wersję ładu międzynarodowego, stosunków gospodarczych oraz praw człowieka. Najlepszym tego dowodem był okres pandemii, w czasie której WHO i ONZ w pełni poparły idee lockdownów, mających więcej wspólnego z orientalną despotią niż z zarządzaniem kryzysowym w służbie zdrowia. Równie oczywiste są chińskie wpływy w ONZ-owskiej Radzie Praw Człowieka, która od dłuższego czasu milczy np. na temat zbrodni popełnianych na Ujgurach, podejmując jednocześnie systematyczną krytykę USA i Izraela.

Wszystko wskazuje więc na to, że jako wieloletni działacz międzynarodówki socjalistycznej António Guterres odnalazł wreszcie upragnioną platformę wprowadzania komunistycznego raju na ziemi przy pomocy zrównoważonego rozwoju na modłę chińską (znamienne jest także to, że twórca całej koncepcji – Jeffrey Sachs – stał się w ostatnim czasie zawziętym krytykiem USA). W ramach tego projektu ONZ ma pełnić rolę wielkiego sojusznika krajów rozwijających się, którym w oparciu o specjalne programy finansowania ma się dopomóc w pełnej dekarbonizacji. Uprawiając antyzachodni populizm, reformatorzy ONZ zamierzają dokonać wielkiej reorganizacji światowego ładu, a ich ważnym sojusznikiem pozostaje także radykalna, coraz bardziej nienawidząca wszelkich zachodnich wartości lewica.

O tym, że Guterres coraz bardziej niecierpliwi się w związku z ewentualnym uzyskaniem nowych kompetencji, świadczyć mogą jego liczne alarmistyczne wypowiedzi, wskazujące na rzekomo rychłą katastrofę klimatyczną. Na szczycie COP27 powiedział, że „ludzkość znajduje się na autostradzie do piekła", a niedawno skonstatował, że mamy tak naprawdę do czynienia nie tyle z globalnym ociepleniem, ile raczej z „globalnym wrzeniem". Od dłuższego czasu wieszczy również rychłe nadejście ogromnego kryzysu finansowego.

Doszukiwanie się katastrof i globalnych kryzysów jest szefowi ONZ bardzo na rękę, a w razie gdyby światowa opinia publiczna miała w tym względzie odrębne zdanie, w zanadrzu przygotowane jest już porozumienie Global Digital Compact (GDC). Jego oficjalnym celem ma być walka z hejtem i dezinformacją, co w praktyce oznacza daleko idące ograniczanie wolności wypowiedzi i krytyki poczynań władzy. Wspomniane porozumienie przewiduje kompleksowy rozwój gospodarki cyfrowej w celu jeszcze większej kontroli społeczeństwa, np. poprzez tworzenie inteligentnych miast z dużą liczbą czujników i monitoringiem oraz wprowadzenie kont bankowych powiązanych z portfelem tożsamości cyfrowej. Gdyby tego rodzaju pomysły zostały wprowadzone w życie, mielibyśmy do czynienia już nie tyle z lewicowo-liberalną cenzurą, znaną nam dobrze z mediów społecznościowych, ile z kompleksowym i w pełni totalitarnym modelem kontroli na wzór chiński.

Prawdziwym marzeniem Guterresa jest więc uzyskanie statusu nadsekretarza całej ludzkości, a im bardziej rosną szansę na przeprowadzenie wielkiej reformy ONZ, tym bardziej Portugalczyk radykalizuje swój przekaz. W sierpniu domagał się powierzenia mu większego wpływu na politykę podatkową na świecie, a niedawno wezwał do nałożenia nowych podatków od nadmiarowych zysków, z których dochody miałyby zostać przeznaczone na walkę z globalnym ociepleniem.

Na nieszczęście dla całej ludzkości posadę zreformowanego urzędu sekretarza generalnego ONZ sprawować może osoba, która ma bardzo niebezpieczne pomysły na urządzenie gospodarki. Promowany przez Guterresa program zielonej transformacji jest radykalny nawet jak na standardy klimatystyczne i wypada tylko mieć nadzieję, że nie będzie mu nigdy dane uzyskać tak wielkiej władzy, o jakiej marzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c5017bbff7

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NISSAN TOWNSTAR VAN

Święta, święta i po świętach, a tu strefy czystego transportu, strefy płatnego parkowania, zakorkowane ulice etc. Jednym z prostych sposobów na uniknięcie korków i darmowe parkowania jest zakup elektryka.

Do testów wzięliśmy tym razem auto, które ma z założenia „zelektryzować przyszłość" wielu firm. Nissan Townstar Van rzeczywiście ma kilka poważnych zalet: bezemisyjny napęd, dzięki czemu może wjeżdżać praktycznie do każdego zakątka dużego miasta, zasięg maksymalny wynoszący ok. 300 km w cyklu mieszanym i dużo ładniejszy wygląd od swego poprzednika Nissana e-NV200.

Testowany model zaskakująco dobrze wygląda również w środku. Kabina przypomina bowiem bardziej auta osobowe niż wyłącznie użytkowe i do bólu funkcjonalne dostawczaki. W wersji Tekna auto wyposażone jest w umieszczony za kierownicą 10-calowy ekran, na którym wyświetlane treści można modyfikować za pomocą wielofunkcyjnej kierownicy. Ośmiocalowy dotykowy ekran na desce rozdzielczej też daje radę, choć z nieznanych przyczyn Nissan upiera się w promowaniu systemu wyświetlania map, który powinien już trafić do muzeum techniki. Bardzo dobrze sprawdza się za to system kamer 360 stopni, dzięki któremu prowadzenie auta z typową dla zabudowanych furgonów zerową widocznością do tyłu nie sprawia żadnych problemów. Nissan Townstar Van uzbrojony jest też w wiele systemów zwiększających bezpieczeństwo jazdy, takich jak np. system inteligentnego hamowania z funkcją wykrywania pieszych, system ostrzegania o niezamierzonej zmianie pasa ruchu czy o samochodach znajdujących się w martwym polu lusterek.

Auto ma pod maską silnik o mocy 122 KM i momencie obrotowym wynoszącym 245 Nm, który zasilany jest z akumulatora o pojemności 44 kWh. Elektryczny van nissana jest przy tym zaskakująco dynamiczny (zwłaszcza gdy wyłączy się tryb ECO).

Przy włączonym trybie ECO testowany model oszczędnie zachowuje się zaś zarówno w mieście, jak i na drogach krajowych, gdzie przy rozsądnych prędkościach „spala" ok. 11–12 kWh/100 km. Ostrożnie należy korzystać z dróg ekspresowych, a zwłaszcza z autostrad. Przy 120 km/h apetyt na prąd rośnie bowiem do 25 kWh/100 km, a gdy przyciśnie się gaz do osiągnięcia maksymalnej prędkości 135 km/h, zużycie energii rośnie do ponad 30 kWh/100 km. Szacowany zasięg przy połowie maksymalnego załadunku i średniej prędkości 70 km/h wynosi przy temperaturach ok. 5 st. C w cyklu mieszanym ok. 225 km dla wersji krótkiej albo ok. 220 km dla wersji długiej.

Townstar Van w krótkiej odmianie może zmieścić do 3,3 m sześc. ładunku, a wersji wydłużonej pojemność rośnie do 4,2 m sześc.

Za elektryczny Nissan Townstar Van o standardowym rozstawie osi trzeba zapłacić co najmniej 155,9 tys. zł. W testowanej najwyższej wersji wyposażenia Tekna cena rośnie do 188,9 tys. zł lub 192,9 tys. zł przy długim rozstawie osi. ©℗

ROBOT ECOVACS DEEBOT N10 PLUS

Wysoka skuteczność odkurzania, stacja automatycznego czyszczenia, nowoczesne wzornictwo oraz łatwa w obsłudze aplikacja – to największe zalety robota odkurzająco-mopującego ze średniej półki cenowej chińskiej firmy Ecovacs.

Nowy rok, nowe postanowienia. Aby tym razem nie mieć wymówek i zyskać więcej czasu na siłownię/odchudzanie/czytanie książek etc., trzeba pozbyć się przykrych obowiązków. Na szczęście roboty odkurzające przestały być produktem luksusowym i nawet te ze średniej półki całkiem przyzwoicie radzą sobie z codziennym sprzątaniem.

Ecovacs Deebot N10 Plus to jeden z przykładów potwierdzających tę tezę. Ma wysoką moc ssania, która wynosi 4300 Pa. Jego zaletą jest też pływająca szczotka, która zwiększa skuteczność odkurzania dywanów (dobrze sprawdza się zwłaszcza tam, gdzie mieszkają psy i koty). Inteligentne planowanie ścieżki sprzątania działa nieźle. Podobnie jak laserowy system nawigacji LiDAR oraz czujniki, które sprawiają, że robot bez trudu pokonuje progi, wykrywa schody i stosunkowo rzadko zgłasza, że gdzieś utknął lub w coś się zaplątał (niestety, uwielbia zjadać kable i wieszać się na suszarce do prania), przez co pilnie potrzebuje pomocy człowieka. Ogólnie, jeśli chodzi o odkurzanie, radzi sobie świetnie.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Akumulator o pojemności 5200 mAh pozwala robotowi bez trudu posprzątać całe mieszkanie lub jedno piętro domu jednorodzinnego. Kolejną zaletą testowanego modelu jest stacja automatycznego opróżniania ze szczelnym pojemnikiem o pojemności 2,5 l oraz z filtrem, który według producenta wychwytuje 95 proc. kurzu i alergenów o wielkości 0,3 µm. Trzeba jednak pamiętać, że stacja w Deebot N10 Plus opróżnia kosz, ale mopa już nie myje (funkcja ta dostępna jest w droższych modelach).

Teoretycznie Ecovacs Deebot N10 Plus potrafi też myć podłogi. W tej kategorii radzi sobie jednak średnio i widocznie gorzej niż jego sporo drożsi bracia. Trzeba przyznać, że podczas mopowania sprawnie wykrywa dywany i omija je, aby ich nie zamoczyć. Efekty jego pracy można jednak porównać bardziej do szybkiego przejechania podłogi wilgotną szmatką w celu jej odświeżenia niż do skutecznego mycia podłóg z opcją wibrowania w celu usunięcia zaschniętych plam. Tam, gdzie podłoga naprawdę wymaga mycia, trzeba więc skorzystać z aplikacji i wysłać go w dane miejsce kilkukrotnie, aż w końcu swoją misję zakończy powodzeniem.

Cena: 1699 zł. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

eprasa.pl c5017bbff7

Z prof. dr. hab. inż. Władysławem Mielczarskim, ekspertem z dziedziny energetyki
rozmawia Tomasz Cukiernik

OZE destabilizują

TOMASZ CUKIERNIK: Co sądzi pan o wymuszanej przez Unię Europejską tzw. transformacji energetycznej?

PROF. DR HAB. INŻ. WŁADYSŁAW MIELCZARSKI: Ona ma niestety bardzo negatywne skutki gospodarcze i społeczne. Powoduje, że kraje Unii Europejskiej stają się coraz bardziej niekonkurencyjne. W szczególności wobec państw azjatyckich, gdzie nie ma tego typu polityki. Również w stosunku do Stanów Zjednoczonych, gdzie taka polityka jest co prawda stosowana, ale tylko wtedy, kiedy przynosi korzyści gospodarce amerykańskiej. W Unii Europejskiej transformacja energetyczna jest narzucana krajom członkowskim poprzez system prawny – dyrektywy i rozporządzenia. Wpływa bardzo negatywnie na gospodarkę i ogranicza jej rozwój, a społeczeństwa są zmuszane ponosić olbrzymie koszty.

Drugi problem jest taki, że transformacja energetyczna, taka, jaką zakłada Unia Europejska, tzw. zeroemisyjność, nie jest możliwa do realizacji. Wydajemy bardzo duże środki, poświęcamy bardzo dużo wysiłku na coś, co w rezultacie i tak nie jest możliwe do realizacji.

eprasa.pl c5017bbff7

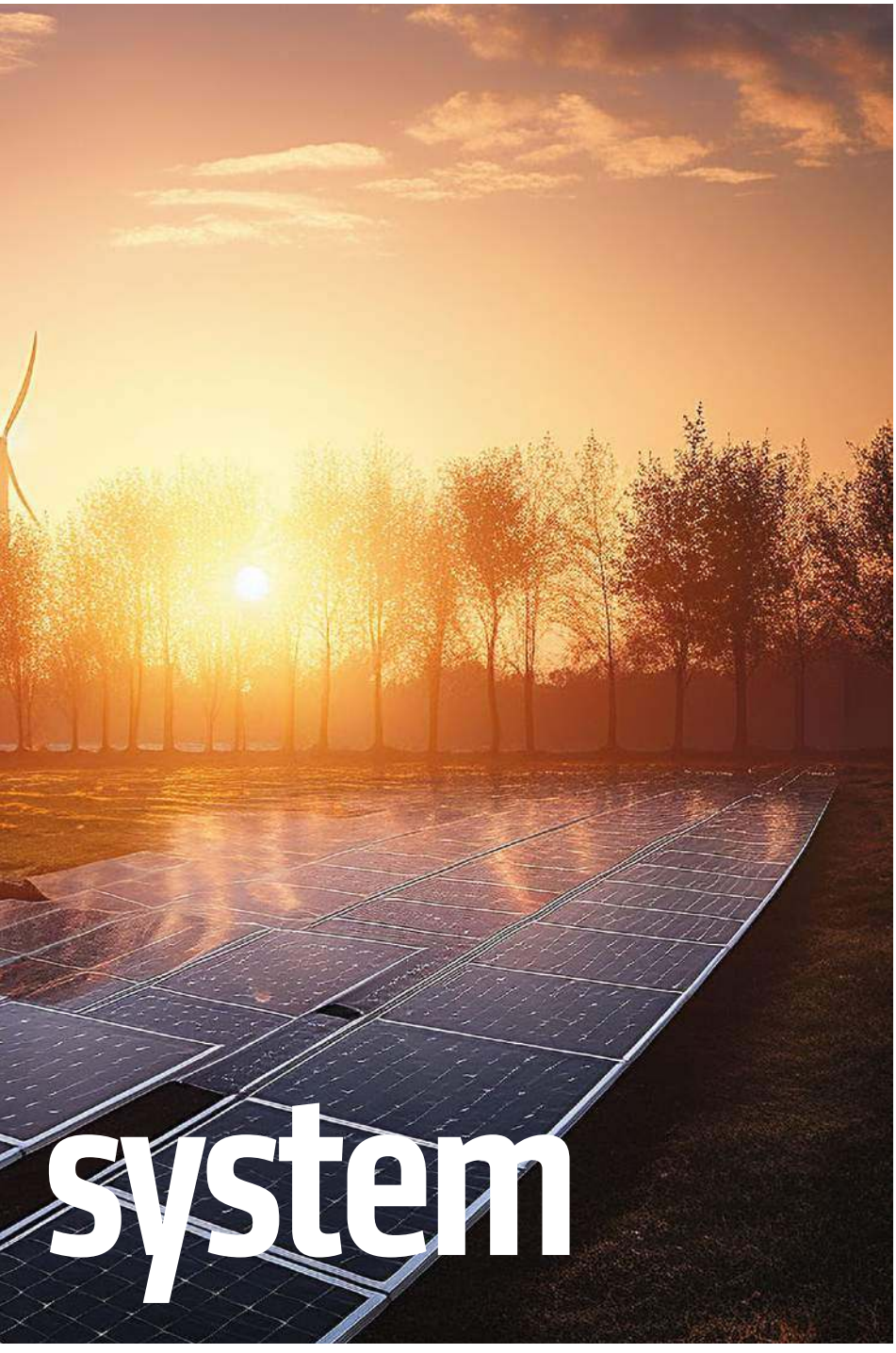

FOT. ADOBE STOCK

Dlaczego nie jest możliwe do realizacji?

Kiedy dziś (początek grudnia 2023 r.) patrzę na informacje o tzw. energetycznym miksie podawane na bieżąco przez Polskie Sieci Elektroenergetyczne na ich portalu, to 95 proc. energii elektrycznej jest produkowane z węgla (i gazu). Od 20 lat prowadzimy politykę dekarbonizacji, ale głównym paliwem, dzięki któremu mamy energię elektryczną, nadal jest węgiel. To pokazuje nieskuteczność tych wszystkich działań, które są podejmowane.

Jak ta transformacja wpływa na Polskę?

Transformacja prowadzona jest pod hasłem zmniejszenia emisji CO_2. To się nazywa zielona transformacja energetyczna, dekarbonizacja czy dążenie do neutralności i do zeroemisyjności itd. Działania te mają na celu zmniejszenie emisji dwutlenku węgla w różnych działach gospodarki. Na czele jest energetyka, ale dotyczy to również budownictwa czy transportu.

W energetyce ta zielona transformacja jest najdalej zaawansowana. Jest ona realizowana na dwa sposoby. Pierwszy – nakładanie podatków na tradycyjne technologie, jak technologia węglowa czy gazowa produkcja energii elektrycznej i ciepła. Podatek ETS, jak nazywa się obowiązek zakupu pozwoleń na emisje, muszą płacić wszystkie podmioty emitujące CO_2 w energetyce Unii Europejskiej. Celem tego podatku jest uczynienie tradycyjnej energii bardziej kosztowną i spowodowanie, żeby odnawialne źródła energii stały się konkurencyjne, chociaż kiedy policzy się wszystkie subsydia dla OZE, to i tak są one kosztowniejsze od technologii tradycyjnych.

Subsydia dla źródeł odnawialnych mają różną postać. Subsydia bezpośrednie OZE polegają na dopłatach do kosztów zakupu instalacji. W subsydiach pośrednich obowiązek bilansowania niestabilnej produkcji OZE jest przenoszony na elektrownie konwencjonalne, a koszty tego bilansowania pokrywają wszyscy odbiorcy energii w tzw. opłacie mocowej, która widnieje na każdym rachunku. Usługę bilansowania źródeł odnawialnych dostarcza operator systemu przesyłowego poprzez system rynku mocy i obciąża tymi kosztami wszystkich odbiorców. Kolejnym subsydium dla OZE są „wakacje kredytowe", nieraz 15-letnie, przy rozliczeniach tzw. salda dodatniego, czyli nadwyżki przychodów z rynku. Kolejnym elementem pośrednich subsydiów jest koszt rozwoju sieci, który również jest pokrywany przez wszystkich odbiorców energii.

Polska posiada dobrze rozwiniętą sieć elektroenergetyczną na potrzeby wszystkich odbiorców. Dlatego rozwój sieci nie jest potrzebny odbiorcom, tylko źródłom odnawialnym, szczególnie prosumentom, którzy są w rzeczywistości uprzywilejowanymi producentami. To właśnie te nowe instalacje OZE chcą budowy sieci, aby móc wprowadzić więcej swojej energii do systemu.

Jest jeszcze ciekawy aspekt społeczny rozwoju OZE i subsydiów dla tych

eprasa.pl c5017bbff7

technologii. Otóż w dużej części koszty rozwoju OZE, w tym koszty budowy sieci, są socjalizowane, czyli rozkładane na wszystkich, ale profity otrzymuje tylko grupa uprzywilejowanych osób, takich jak właściciele farm wiatrowych, fotowoltaicznych czy prosumenci. Dla przykładu: jeżeli prosument chce sobie kupić panel, to dostaje dopłatę. Płacą za to wszyscy odbiorcy, również ci, którzy nie mają tych paneli. Kiedy potrzebne jest bilansowanie, czyli równoważenie niestabilnej produkcji OZE, to wykonują to tradycyjne elektrownie na polecenie operatora sieci, który kosztami obciąża wszystkich odbiorców. Kosztami rozwoju sieci operatorzy obciążają również odbiorców poprzez opłaty sieciowe, mimo że odbiorcy nie potrzebują rozwoju sieci, tylko producenci OZE. Prosumenci, dla których jest rozbudowywana sieć, ponoszą tylko małą część opłat sieciowych, a większość tej opłaty nakładana jest na odbiorców mieszkających w budownictwie wielorodzinnym, którzy nie są prosumentami i rozwoju tej sieci nie potrzebują. Można powiedzieć, że „blokowisko dopłaca do zamożnych właścicieli willi", którzy zainstalują sobie panele PV.

Transformacja energetyczna jest w praktyce realizacją neoliberalnej polityki społecznej. Następuje wyraźny przepływ zasobów od osób biedniejszych do grup zamożniejszych, których transformacja dodatkowo uprzywilejowuje. To się dzieje zarówno wśród warstw społeczeństwa, jak i wśród krajów.

W Polsce mamy program budowy wiatraków morskich, zakładający w pierwszym etapie mocy 5900 MW. To szalenie droga, ponad 100-miliardowa inwestycja. Za to zapłacą wszyscy odbiorcy w Polsce. Te pieniądze nie zostaną w Polsce, tylko przepłyną do krajów, które produkują wiatraki, które potrafią je instalować, czyli do Niemiec, Holandii czy Danii. Czy Polska na tym zarobi? Podobno ma być składowisko łopat w Łebie. Nie trzeba być wielkim ekspertem, żeby wiedzieć, że na składowisku za wiele się nie zarobi. Ma jeszcze powstać spawalnia wież w Szczecinie, o ile znajdzie się w Polsce dostateczną liczbę spawaczy. Szacuje się, że 95 proc. środków, które Polska przeznaczy na energetykę wiatrową morską, zostanie wytransferowane do innych krajów, tych bardziej zamożnych i zaawansowanych technologicznie. Chociaż ma to też „pozytywny aspekt", ponieważ wiele zachodnioeuropejskich firm „wiatrakowych" ma poważne problemy finansowe, a więc polska pomoc jest bardzo potrzebna. Zmniejszenie odległości wiatraków od zabudowań, które jest planowane w nowej ustawie, z pewnością zwiększy polskie zamówienia na instalacje wiatrakowe składane w Europie Zachodniej.

Spotkałem się z takim twierdzeniem, że instalacje OZE powodują destabilizację polskiej elektroenergetyki. Jeśli tak, to w jaki sposób?

W 2022 r. OZE wyprodukowały 22 proc. całej energii elektrycznej. To nie za dużo. Ale równocześnie np. 8 października 2023 r. była taka sytuacja, że zapotrzebowanie na energię w systemie wynosiło 14 tys. MW, a energia planowana do wytworzenia – 21 tys. MW. O połowę więcej, ponieważ wiał wiatr i świeciło słońce. Było wiadomo, że energia z OZE będzie próbowała „wepchnąć" się do systemu, mimo że system nie jest w stanie przyjąć tak dużej energii. Na szczęście 8 października 2023 r. operatorowi sieci przesyłowych udało się wyeksportować 3 tys. MW. Dodatkowo część farm została wyłączona. Podobnie było 26 kwietnia 2023 r. Ponieważ liczba instalacji OZE rośnie, coraz częściej będziemy mieli do czynienia z wyłączaniem wiatraków i farm paneli, aby nie zdestabilizować systemu.

100 mld zł

TYLE POCHŁONIE PROGRAM BUDOWY WIATRAKÓW MORSKICH W POLSCE

Nie oznacza to, że właściciele farm wiatrakowych czy paneli PV poniosą jakieś straty. Właściciele OZE otrzymują rekompensaty w przypadku wyłączenia farmy. Proszę sobie wyobrazić na świecie „biznes", który otrzymuje zapłatę za produkcję, niezależnie czy produkuje cokolwiek czy niczego nie produkuje.

Czasem jest odwrotna sytuacja i brakuje produkcji z OZE. Na przykład od 18 listopada 2023 r., kiedy słońca nie ma zbyt dużo i wiatr słabo wieje, ponad 93 proc. zapotrzebowania na energię jest pokrywane przez elektrownie węglowe i gazowe. Musimy też importować znaczne ilości energii, nawet rzędu 4 tys. MW, czyli ok. 20 proc. całego zapotrzebowania. Konieczne jest utrzymywanie zdolności produkcyjnych w elektrowniach konwencjonalnych, ponieważ OZE często nie pracują, a energia elektryczna musi być dostarczana do społeczeństwa i gospodarki 24 godziny na dobę i siedem dni w tygodniu.

Destabilizacja systemu elektroenergetycznego polega na tym, że kiedy wieje wiatr i świeci słońce, to olbrzymia liczba instalacji OZE pracuje, próbując wprowadzić wyprodukowaną energię do systemu, a system nie jest w stanie przyjąć tak dużej ilości energii. Następuje konieczność wyłączania tych farm, żeby nie zdestabilizować systemu. A kiedy OZE nie produkują energii, operator sieci musi włączać utrzymywane przez cały rok w dyspozycji elektrownie konwencjonalne. Tworzy się błędne koło. Budujemy coraz więcej farm wiatrowych i fotowoltaicznych, ale jest ich tak dużo… że musimy je wyłączać.

Ponadto destabilizacja polega na tym, że jak nie ma odpowiednich warunków atmosferycznych, to OZE muszą być zastąpione jednostkami węglowymi, a w procesie dekarbonizacji likwidujemy nie tylko kopalnie węgla, lecz także węglowe jednostki energetyczne. Pewnego dnia – być może już w przyszłym roku bądź w następnym, ale na pewno tak się stanie, bo tak pokazują prognozy Ministerstwa Klimatu – nie będzie energii ze słońca ani wiatru, a my już nie będziemy mieli wystarczającej ilości jednostek węglowych, żeby to skompensować. Wtedy nastąpi awaria systemu elektroenergetycznego, tzw. blackout.

Ale czy nie jest też tak, że jak pracują wszystkie instalacje OZE, to ogranicza się pracę jednostek konwencjonalnych?

To jest kolejne zjawisko. Sytuacja jest taka, że odnawialne źródła nie mają obowiązku bilansowania, czyli przystosowania się do zapotrzebowania na energię. Mają priorytet pracy. OZE pracują, kiedy chcą, i generują energię, kiedy chcą. Działają według zasady „wygeneruj i zapomnij". Podałem sytuacje, w których wygenerowana energia z OZE nie może być przyjęta przez system elektroener-

eprasa.pl c5017bbff7

getyczny. Są też takie sytuacje, że energia z OZE jest przyjmowana do systemu, ale żeby zrobić miejsce dla źródeł odnawialnych, zmniejsza się produkcję energii przez elektrownie konwencjonalne. Elektrownie konwencjonalne produkują ok. 19 tys. MW mocy, ale kiedy jest za dużo OZE, muszą zmniejszać generację nawet do 6 tys. MW, do tzw. minimum sieciowego. Niżej nie mogą zejść, bo sieć byłaby niestabilna.

Jednak elektrownie konwencjonalne były projektowane, żeby pracowały 7–8 tys. godzin w roku. Z powodu OZE zamiast pracować te 8 tys. godzin, elektrownie takie pracują niecałe 4 tys. godzin rocznie. To oznacza, że nie mogą pokryć wszystkich kosztów z przychodów ze sprzedaży energii. Problem ten jest znany i nazywa się missing money. Jednak elektrownie konwencjonalnie muszą działać, bo są zawsze dyspozycyjne i zapewniają bezpieczeństwo energetyczne. Dlatego w Polsce wprowadzono system nazwany Rynkiem Mocy. Operator dopłaca dyspozycyjnym elektrowniom, tak żeby utrzymać je przy życiu. To kosztuje 5 mld zł rocznie. Te dopłaty to są pośrednie subsydia dla OZE, których koszty ponoszą wszyscy odbiorcy.

Skąd są te dopłaty?

Dopłaty nie są z budżetu państwa, tylko bezpośrednio z rachunków odbiorców. Każdy odbiorca energii elektrycznej na swojej fakturze ma taką pozycję jak opłata mocowa, która jest przeznaczona na dopłaty na bilansowanie OZE. Jednak nie wiadomo, jak długo będziemy mogli subsydiować OZE poprzez system Rynku Mocy, ponieważ mamy pozwolenie Unii Europejskiej na działanie Rynku Mocy tylko do 2025 r. Mówi się o przedłużeniu działania tego systemu o dwa lata. To krótko i niewiele można zrobić, bo budowa elektrowni gazowej trwa cztery–pięć lat, węglowej pięć–sześć lat, a elektrowni jądrowej nawet ponad 15 lat.

Słyszałem taką opinię, że to, iż zmusza się elektrownie węglowe do ciągłego zmniejszania i zwiększania produkcji energii, powoduje, że emitują one więcej CO_2 na jednostkę wyprodukowanej energii, niż gdyby pracowały stabilnie. Czy to prawda?

Oczywiście. Jeśli są słońce i wiatr, to OZE produkują chwilowo nawet 40 proc. zapotrzebowania. Ale każdego dnia – niezależnie od tego, czy to jest zima czy lato – produkcja energii z wiatru czy z fotowoltaiki musi być zastąpiona produkcją energii z węgla. Kiedy świeci słońce lub wieje wiatr, produkcja energii z elektrowni konwencjonalnych jest ograniczana, aby zrobić miejsce dla energii z OZE, a kiedy nie świeci słońce i nie wieje wiatr, to elektrownie węglowe muszą dostarczyć brakującą energię niezależnie od pory dnia, roku czy warunków atmosferycznych, bo tylko takie elektrownie zapewniają bezpieczeństwo energetyczne i ciągłość dostaw energii.

Czyli to się dzieje dwa razy dziennie...

I to bardzo negatywnie działa na instalacje techniczne. Proszę sobie wyobrazić jazdę samochodem – wyhamowanie i przyśpieszenie na maksimum, wyhamowanie i ponowne przyśpieszenie. Jak długo taki samochód wytrzyma? A tak właśnie pracują elektrownie konwencjonalne, aby stabilizować produkcję z OZE. Szybciej się zużywają i są znacznie kosztowniejsze, bo więcej się zużywa węgla. Jeśli się wyłącza elektrownię, to ona musi ostygnąć, a kiedy się ją włącza ponownie, to temperatura w kotłach energetycznych musi podnieść się nawet do 1000 st. C, bo para w nowoczesnych kotłach ma temperaturę nawet 600 st. C. Takie działanie, że cały blok – kocioł i turbina – stygnie, a potem się rozgrzewa, stygnie i znów się rozgrzewa, powoduje ich szybkie niszczenie. Elektrownie zostały zaprojektowane w ten sposób i pracowały dopóty, dopóki nie było źródeł odnawialnych, że bez przerwy pracowały minimum tydzień albo dłużej, aby wykorzystać swoją sprawność. Elektrownia pracowała równo przez 10 dni, potem była odstawiana na dwa–trzy dni i był robiony przegląd. Wracała do pracy i znowu pracowała równo przez kolejne 10–14 dni lub nawet więcej. A dzisiaj zmusza się te elektrownie do szybkich zmian obciążenia każdego dnia, a nawet wyłącza, aby dostosować się do bilansowania źródeł odnawialnych. Trudno też jest dokładnie zaplanować pracę elektrowni konwencjonalnych, ponieważ prognozy wiatru czy operacji słońca nie są dokładne. Czasem w prognozach z dnia na dzień występują błędy dochodzące do 50 proc.

Spotkałem się też z taką tezą, że skutkiem istnienia instalacji OZE jest ogrzewanie polskich rzek przez elektrownie węglowe.

W Polsce mamy dwa systemy chłodzenia elektrowni. Większość elektrowni pracuje w układzie zamkniętym – mają takie charakterystyczne „grube" chłodnie kominowe. Te systemy są bardzo sprawne. Odparowanie z chłodni to jest 2 proc. całej wody chłodniczej, a woda, która wyparuje, i tak spadnie w formie deszczu. Dla dostarczenia wody do systemów zamkniętych wystarczy niewielka rzeka, jak przy największej elektrowni w Europie, czyli w Bełchatowie. Tam jest spiętrzenie na małej rzeczce Widawka i to wystarczy. Mamy natomiast dwie elektrownie, które sprawiają trochę kłopotów. Są to elektrownie w Połańcu i Kozienicach, pracujące w układzie otwartym. Są one chłodzone wodą z Wisły. Tam rzeczywiście jest oddziaływanie pracy elektrowni na temperaturę wody w rzece. Planowana elektrownia jądrowa w Choczewie ma zostać zbudowana nad brzegiem Bałtyku i być chłodzona wodą morską w układzie otwartym. To bardzo negatywnie wpłynie na środowisko.

Jak pana zdaniem powinna optymalnie wyglądać przyszłość polskiej energetyki?

Powinno się wykorzystywać to, co się ma. Powinno się wykorzystywać złoża węglowe dopóty, dopóki one istnieją. Trzeba również wykorzystać odnawialne źródła energii, ale w zakresie takim, w jakim jest to możliwe bez pogarszania bezpieczeństwa energetycznego. A entuzjastów nowych technologii trzeba poprosić o pokorę wobec praw fizyki. Bo my jako inżynierowie możemy zrobić tylko to, co jest zgodne z prawami fizyki. Politycy swoimi uchwałami sejmowymi czy unijnymi dyrektywami nie zmienią praw fizyki. A to, co robią, może skończyć się destabilizacją systemu elektroenergetycznego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. dr hab. inż. Władysław Mielczarski *– pracownik Instytutu Elektroenergetyki Politechniki Łódzkiej. Ma ponad 40-letnią praktykę w elektroenergetyce. Brał udział w projektowaniu oraz we wdrażaniu rynków energii elektrycznej w Australii, Kanadzie i w Polsce.*

eprasa.pl c5017bbff7

Moda w oparach marketingu

Joanna Bojańczyk

Gwiazdy należą teraz już nie tylko do przemysłu filmowego, zawłaszczył je także biznes mody i urody. To on decyduje, co gwieździe wolno, a czego nie wolno. Znana twarz sprzeda wszystko, co będzie firmować własną piękną twarzą

Po zaminowanym poletku branży fashion poruszam się od dawna, ale jakoś udało mi się szczęśliwie prześliznąć obok świata celebrytów. Ocierałam się o nich, ale bliższy kontakt został mi oszczędzony. Nie było okazji, sama się nie rwałam.

Jednak parę razy się zdarzyło; zostałam dopuszczona do wysokiego majestatu aktorek celebrytek. W celu wywiadu. Przeważnie z okazji premiery filmu, w którym gwiazda miała wystąpić, a sprawę załatwiał, umawiał, organizował producent filmu. W tej branży nic nie dzieje się spontanicznie. Procedury wywiadów są ściśle ustalone. Jak wyglądają, zapewne mogliby dużo ciekawiej opowiedzieć dziennikarze zajmujący się filmem.

Jeśli ktoś myśli, że dziennikarz przeprowadza wywiad w przytulnej kawiarni, pokoju hotelowym, może nawet w domu gwiazdy (to już kompletne science fiction), to jest – jak się obecnie mówi – w „mylnym błędzie".

Moje doświadczenia: dziennikarze wyznaczeni do wywiadu zbierają się godzinę wcześniej w sali konferencyjnej np. eleganckiego hotelu (gdzie dana osobistość zajmuje apartament prezydencki) na tzw. przygotowanie. Przekąski, drinki, owoce. Luźne rozmowy. Przybywa attaché prasowa, żeby uprzejmym, pełnym uśmiechu, lecz nieznoszącym sprzeciwu tonem poinformować towarzystwo o warunkach mającej się odbyć rozmowy. Czas ściśle ograniczony, zazwyczaj mniej niż godzina. Dokładne instrukcje, o co wolno pytać, a o co nie wolno. Druga lista jest zazwyczaj dłuższa i znajdują się na niej nie tylko pytania zbyt osobiste, co byłoby zrozumiale, lecz także wszelkie kwestie dotyczące czegoś innego niż promowany przez gwiazdę film. Cel wywiadu jest jeden: promocja filmu. W ten sposób gwiazda staje się własnością wytwórni filmowej, którą można dysponować na własnych warunkach. Marketing rules.

GWIAZDA SPRZEDA WSZYSTKO

To, o czym piszę, wciąż się dzieje, ale od pewnego czasu pojawiła się nowa okoliczność. Ma ona związek z toczącą się na rynku walką producentów branży luksusowej i ich agresywnym marketingiem. Gwiazdy należą teraz już nie tylko do przemysłu filmowego, one uczestniczą także w biznesie mody i tam mają role do

Kim Kardashian oklejona taśmą z logo Balenciagi na pokazie mody w Paryżu w 2022 r. FOT. PDA SILVA-PERUSSEAU/BESTIMAGE/ONS

odegrania. Fashion i beauty biznes mają duże budżety, ale ostre pazury. Gwiazda sprzeda nie tylko film, gwiazda sprzeda wszystko, co będzie firmować własną piękną twarzą.

Dziennikarz, który chciałby uzyskać wywiad z Cate Blanchett czy Charlize Theron, powinien udać się nie do niej samej, nie do jej agenta, nie do attaché prasowej (przeważnie są to kobiety), ale do marki kosmetyków. Dior, Lancome, Chanel. Tam zdecydują, czy w ich interesie leżą wywiad lub sesja zdjęciowa z ich klientką. W końcu muzy, podpisując kontrakt z marką, biorą miliony za to, żeby kto inny decydował o tym, co im wolno, a co nie. Dzisiaj nie ma szansy zajrzeć do Internetu czy włączyć telewizor, nie nadziewając się na gwiazdę filmu czy muzyki pop.

W roku 2013 Cate Blanchett zainkasowała 10 mln dol. za kontrakt z Armanim. Charlize Theron Dior, Kim Kardashian i jej (obecnie już były) mąż Kanye West pracują dla Balmain, Kate Winslet reklamuje zegarki Longines. Brytyjska aktorka Keira Knightley przez 10 lat była ambasadorką perfum Coco Mademoiselle Chanel. Jest tylko jedną z kilku ambasadorek perfum, zegarków i biżuterii tej francuskiej marki.

Wszystko musi do siebie pasować: wizerunek gwiazdy, całej marki i jej aktualna polityka

Tylko w ostatnich latach superstar sfery „people", skandalizująca i wulgarna Kim Kardashian, została ambasadorką Balenciagi, marki w prostej linii dziedziczącej najbardziej elitarną europejską elegancję. Dziewczyna Bonda Léa Seydoux użyczyła twarzy dla Louisa Vuittona, królowa list przebojów Angèle promowała Chanel, Zendaya i mistrz Formuły 1 Lewis Hamilton zachwalali Valentino, a gwiazdeczka k-popu Lisa markę Celine. Połowa kampanii reklamowych ubrań, okularów, najmodniejszych toreb używa znanych nazwisk show-biznesu.

Cóż w tym złego? Właściwie nic, nawet sytuacja jest z gatunku win-win, czyli wszyscy zadowoleni. Gwiazda ma problem garderoby z głowy. Nie musi się starać, szukać strojów na okazje, ubiera ją marka, którą reklamuje. To nic, że styl nie całkiem jej pasuje – kontrakt podpisany, trzeba się podporządkować. Widać, jak Julia Roberts cierpi w szpilkach – no cóż: nie chce, ale musi.

WULGARNA, ALE POPŁACA

Pozyskać osobę, która będzie odpowiadać wizerunkowi marki, nie jest łatwo. Wszystko musi do siebie pasować: wizerunek gwiazdy, całej marki oraz jej aktualna polityka. Do młodzieżowych ciuchów nie zatrudni się 60-letniego reżysera ambitnych filmów, do adresatów luksusowych zegarków nie nada się raper. David Beckham, choć można by sądzić, że cały świat go kocha, nie sprzeda perfum Diora. Szuka się też osoby wyrazistej, znanej, której nazwisko pojawia się przy okazjach niekoniecznie związanych z modą. Gdy Louis Vuitton szukał kogoś z międzynarodowej elity politycznej, showbiznesowej czy towarzyskiej, na udzielenie wizerunku zgodzili się Michaił Gorbaczow, Francis Ford Coppola i jego córka Sophia Coppola. Była to jedna z najbardziej wyrazistych reklam pierwszej dekady nowego millennium.

Czasem firmy decydują się na pociągnięcia niekonwencjonalne: ekskluzywna biżuteria Bulgari podpisała kontrakt z Zendayą. W ten sposób ważna marka drogiej biżuterii próbuje pozyskać pokolenie Z, szczególnie w krajach nowych rynków. Ci młodzi najpierw kupią zawieszkę z serduszkiem, ale zostaną już z marką, kiedy ich budżet się powiększy.

Domy mody nie lubią komentować, dlaczego wybrały właśnie tę, a nie inną gwiazdę kina, muzyki czy sportu i w jakiej mierze przyczyniła się ona do wzrostu obrotów. Liczby lubią dyskrecję. Wyścig o najpiękniejszą, najmodniejszą, najbardziej skuteczną odbywa się po cichu.

Dobrze obsadzona „ambasadorka" potrafi zdziałać cuda. Delikatna i nobliwa Nicole Kidman zaangażowana w roku 2003, w momencie, gdy blask Piątki Chanel nieco przygasł, zwiększyła obroty o 30 proc. W roku 2016 Rihanna podpisała kontrakt z Pumą. Dziennik „Wall Street Journal" napisał, że obroty niemieckiego producenta artykułów sportowych zwiększyły się o 11,5 proc.

Perfumy, nawet z gatunku luksusowych, to wydatek nie tak rujnujący jak

eprasa.pl c5017bbff7

kaszmirowy płaszcz, przynajmniej od czasu do czasu. Ale czy gwiazda może naprawdę „sprzedać" drogą sukienkę czy torebkę? Aby na to odpowiedzieć, trzeba się zastanowić, czy właściciel Balenciagi (marki należącej do koncernu Kering) zatrudniałby kogoś tak tandetnego i wulgarnego jak Kim Kardashian, gdyby nie działało to na sprzedaż? Mało prawdopodobne. Na Instagramie panna Kim ma przecież 340 mln fanów, z których zapewne niejeden (niejedna) może sobie pozwolić na ekstrawagancję w rodzaju ciucha z metką słynnego krawca. Co za potencjał!

Nową jakość do strategii reklamowych wniosły platformy streamingowe. Filmy i seriale oglądają w tym samym czasie miliony widzów na całym świecie. Cóż za szansa na globalną sprzedaż dla producentów dóbr konsumpcyjnych! Dżinsy, kurtki, buty, bielizna!

W Azji ubranie, które nosi piosenkarka k-popu (koreańskiego popu), natychmiast ściąga do sklepów tłumy. A już prawdziwą bombą są seriale. „Euforia" zadziałała jak narkotyk w grupie wiekowej 15–25 lat. Prawie wszyscy aktorzy tego serialu o nastolatkach podpisali kontrakty reklamowe z markami. Zendaya i Sydney Sweeney z Miu Miu, Hunter Schafer z Pradą, Angus Cloud z Polo Ralphem Laurenem. Największym wygranym był Jacob Elordi, który chwycił od razu trzy kontrakty: z Calvinem Kleinem, Hugo Bossem i Tag Heuerem. Reklamodawcy podpisujący umowy liczą na to samo co Bulgari, wybierając do swych kampanii Zenadyę: że klienci zwabieni do ich marki pozostaną z nią na dłużej, nie tylko na czas trwania serialu.

Parę dekad wstecz, gdy nikomu nie śniło się o „markowych" ubraniach, torebkach za 10 tys. dol. i butach sportowych stylizowanych na brudne i zniszczone, symbolem luksusu były perfumy. Do nabycia w nielicznych eleganckich perfumeriach, nie na jakimś lotnisku czy w marketach. „Francuskie perfumy" to był symbol elegancji: Guerlain, Chanel, Hermes, Givechy, magiczne nazwiska. Dzisiaj z tych marek został może tylko Hermes i Chanel. Reszta poszła w masówkę, nie mówiąc o zapachach podpisanych nazwiskiem przechodniej gwiazdeczki. Tych najwięcej sprzedaje się w Stanach Zjednoczonych. Masówka

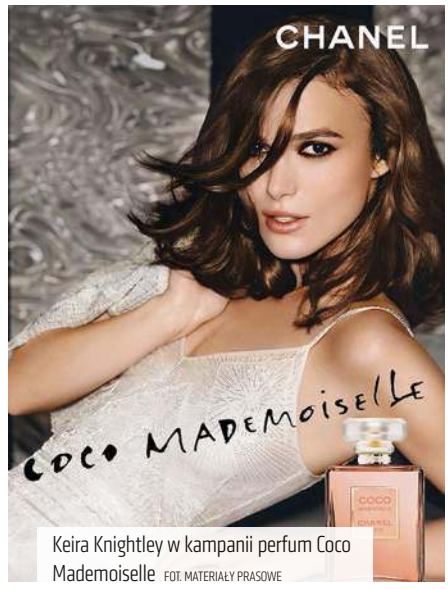

Keira Knightley w kampanii perfum Coco Mademoiselle FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kate Winslet twarzą kampanii zegarków Longines FOT. MATERIAŁY PRASOWE

stanowi ok. 70 proc. amerykańskiego rynku. Jak masowy jest produkt, tak masowy jest klient. Ten, kto chce się wyróżnić, sięgnie po produkt niszowy, ale to już odrębna historia.

Zapach, substancja ulotna, jest trudny do wyrażenia werbalnie, jego istotę lepiej ujmuje skojarzenie czy emocja. Dlatego zapachy zawsze lubiły wcielić się w twarz pięknej dziewczyny, najlepiej aktorki. W latach 50. Joan Crawford kojarzyła się z orientalnym zapachem perfum Youth Dew marki Estée Lauder; śliczna Audrey Hepburn używała kwiatowego zapachu Interdit (po francusku: zabronione). Do historii weszło wyznanie Marylin Monroe, że sypia tylko ubrana w Numer 5 Chanel. Mit podtrzymywały i unieśmiertelniły kolejne „twarze Chanel": Catherine Deneuve, Carole Bouquet, Nicole Kidman, Marion Cotillard…

PAN PINAULT I ARTYŚCI

Dla całej branży luksusu – zarówno domów mody, jak i magnatów przemysłu kosmetycznego – najważniejszym dniem w roku jest MetGala, doroczny bal organizowany przez magazyn „Vogue" w Metropolitan Muzeum w Nowym Jorku. Tam nie należy się spodziewać elegancji, przynajmniej takiej w wydaniu europejskim. Liczy się ekstrawagancja.

I pewnie dlatego impakt marketingowy tej imprezy jest bez precedensu. Całość i fragmenty przelatują przez Internet, a liczne agencje sondażowe, obliczają liczbę odsłon, lajków, komentarzy, po czym wyznaczają zwycięzców – pięć najpopularniejszych marek. W roku 2022 na czele był Versace, być może dzięki Blake Lively i Gigi Hadid ubranym w suknie tej marki. W tym roku tematem prowadzącym był Karl Lagerfeld, a więc na podium znalazła się Chanel. Można nawet powiedzieć, że w tym roku wygłupów było mniej niż prawdziwych kreacji.

Nie wiemy, jaki będzie temat w roku 2024, można tylko pokusić się o przypuszczenie, że będzie to któraś z marek konglomeratu Kering, którego szefem jest François-Henri Pinault: Gucci, Saint Laurent, Alexander McQueen, Bottega Veneta, Balenciaga, Chloe.

Dlaczego właśnie Kering? Bo panu Pinault, lepiej niż komukolwiek innemu, udaje się maksymalnie wykorzystać potencjał reklamowy gwiazd. Właśnie prezes nabył większościowy pakiet CAA, Creative Artists Agency, agencji skupiającej najgorętsze nazwiska. Są tam Tom Hanks, Brad Pitt, Beyoncé, Margot Robbie, Ariana Grande, Madonna, Dua Lipa... A także Cindy Crawford, Claudia Schiffer, sportowcy, gwiazdy telewizji. Jest tu nawet Salma Hayek, żona pana Pinaulta. W ten sposób prezes Keringa ma do wyboru całą śmietankę gwiazd i może wybierać, używając magicznej formułki: jeśli będziesz się dla mnie reklamować w modzie, to załatwię ci rolę w filmie. Ale jeśli zrobisz coś, co szkodzi jednej z moich marek, to zareaguję.

Czekamy zatem na film obsadzony przez wszechwładnego magnata luksusu ze scenariuszem napisanym tak, żeby przy okazji ciuchy Gucci czy Balenciagi też się trochę podpromowały.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c5017bbff7

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Lasy Ordynacji Zamoyskiej

Lasy Janowskie stanowią dzisiaj zwarty kompleks, jeden z nielicznych obszarów, który ze względu na oddalenie od miast zwiedzać można w ciszy i spokoju, bez tłumu turystów i cyklistów, który w niedzielę nawiedza np. Kampinos. Bez hałasu quadów i terenowych samochodów rozjeżdżających trakty. Długie, miękkie, nieutwardzone drogi świetnie nadają się do jazdy konno. Oto obszar, gdzie spokojnie można wypuścić wierzchowca w skok, nie obawiając się, że droga się skończy, zanim koń dobrze się rozpędzi. Ogromny las, zwykle sosnowy albo mieszany, położony pomiędzy Frampolem, Janowem Lubelskim (niegdyś Ordynackim), Zaklikowem, Rzeczycą Długą i Biłgorajem, stanowi pozostałość po pradawnych puszczach odgradzających Królestwo Polskie od Rusi Czerwonej. Aż do końca XVI w. był to obszar prawie bezludny, z rzadka wykorzystywany gospodarczo i niezasiedlony. Głównie ze względu na słabe gleby, bagna i rozlewiska.

FOT. LIGER PIOTR

RYS. QBA

Sytuacja zmieniła się, kiedy część tych terenów weszła w skład powołanej w 1589 r. Ordynacji Zamoyskiej. Jak podaje Stanisław Grzybowski, podstawą tych ogromnych, niepodzielnych dóbr były odziedziczone przez kanclerza Jana Zamoyskiego wsie w okolicach Starego Zamościa i Tarnogrodu, do których doszły nadania królewskie i majątki szlacheckie przejmowane drogą kupna. W 1593 r. kanclerz nabył włość szczebrzeską, trzy lata później turobińską i gorajską. Do tego doszły starostwa: zamechskie i krzeszowskie; na początku XVII w. ordynacja obejmowała już sześć miast z nowo założonym Zamościem i 149 wsi. Na terenie obecnych Lasów Janowskich pierwszymi majętnościami zakupionymi przez Zamoyskiego były Lipa oraz Łążek (obecnie Łążek Ordynacki) nabyty w 1595 r.

Jak podaje Aleksander Tarnowski, kanclerz koronny dbał o trwałość lasów i prowadził bardzo racjonalną gospodarkę ich zasobami. Przede wszystkim nie prowadzono tutaj rabunkowego wypału drzew na potaż, smołę i węgiel drzewny, który ogałacał z drzewostanu całe góry i równiny. Drewno pozyskiwano przede wszystkim na potrzeby budowlane, równocześnie właściciel zezwalał na tworzenie nowych wsi w głębi kompleksów leśnych. Bardzo dobrze rozwijały się bartnictwo i łowiectwo. Z 1604 r. mamy przykład mianowania specjalnego urzędnika dbającego o całość puszczy zwanego „sędzią bartnym".

W miarę upływu czasu w Lasach Janowskich, zwanych tak od założonego w 1640 r. Janowa (z kolei nazwanego tak od nazwiska małoletniego wówczas ordynata Jana Sobiepana Zamoyskiego), pojawiła się cała administracja – pierwowzór dzisiejszych struktur Lasów Państwowych. Całością gospodarki zarządzał naczelnik wydziału lasów w dobrach ordynackich, któremu podlegali nadleśniczowie, leśniczowie, szlakowi, nadgajowi i gajowi. Puszcza dzieliła się na 15 ujazdów; a już na początku XIX w. przeprowadzano pomiary lasów i mapy dóbr. W 1808 r. lasy ordynacji zostały podzielone na cztery klucze, w tym klucz janowski.

Lasy Janowskie zwane bywały czasami Lipskimi, od wsi Lipa, która istniała od XV w., jednak często bywała opuszczana. Podobnie było w 1596 r., kiedy nabył ją Jan Zamoyski – nowy właściciel musiał zasiedlać ją na nowo. W 1648 r. lasy stały się schronieniem dla okolicznej ludności, gdy nadciągnęły wojska kozackie i tatarskie Chmielnickiego, rozpoczynając nieudane oblężenie Zamościa, a przy okazji paląc Janów Lubelski. Od tej pory na miasteczko spadały same klęski – zniszczone przez buntowników później zostało dotknięte zarazą. Zapewne dlatego w 1652 r. Jan Sobiepan Zamoyski pozwolił na osiedlenie się tutaj Żydom, a jeszcze później sprowadził Tatarów – jeńców wziętych do niewoli w czasie wojen na Ukrainie.

W historii Polski Lasy Janowskie kilkakrotnie bywały terenem walk – w czasie powstania styczniowego wielu mieszkańców Janowa zesłano na Syberię, skonfiskowano też budynki miejscowego zakonu dominikanów, a sam zakon skasowano. W czasie drugiej wojny światowej stały się miejscem zaciekłych walk – najpierw we wrześniu 1939 r. wycofywała się tędy Armia Kraków, a w trakcie bestialskiego bombardowania został zniszczony Janów Lubelski. Później leśne tereny stały się schronieniem dla partyzantów z Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich i zwalczających ich band komunistycznych. Niemcy dwukrotnie przeprowadzali krwawe operacje przeciwko partyzantom, jednak pomimo klęski pod Osuchami oddziałom AK udało się wyjść z okrążenia z ciężkimi stratami. Dziś o tych walkach przypominają pomniki, jak ten pod Porytowym Wzgórzem. ©℗

eprasa.pl c5017bbff7

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Koniec świata

31 grudnia 999 r. był dla Rzymian dniem pełnym strachu i trwogi. Zgodnie z wówczas panującą legendą miał być to ostatni dzień panowania na świecie. Koniec świata miał nastąpić za sprawą uwięzionego w lochach Watykanu potwora, który z końcem tego roku miał opuścić lochy i ziejąc ogniem, spalić cały świat. Kiedy jednak dzień dobiegł końca, a w życiu Rzymian nic się nie zmieniło, oszołomieni wielkim szczęściem wybiegli na ulice i z radością zaczęli składać sobie życzenia i okazywać wielką radość. Sam wówczas panujący papież Sylwester II udzielił błogosławieństwa „urbi et orbi", czyli miastu i światu.

Odtąd każdego roku 31 grudnia świat celebruje nadejście nowego roku i koniec starego, a noc sylwestrowa nazwana na cześć ówczesnego papieża jest jedną z najbardziej radosnych i szalonych nocy w całym roku. W Polsce tradycja szampańskich zabaw stała się popularna w XIX w. Na początku jedynie wyższe warstwy społeczne celebrowały sylwestrową noc, a dopiero nieco później zaczęli bawić się także mniej zamożni Polacy.

Co jadano w sylwestrową noc? Otóż jedzenie powinno być wykwintne, a także pożywne, tak aby dało solidny podkład pod zakrapianą imprezę do samego rana. Oprócz różnorodnego mięsiwa, pieczystych kawałków dziczyzny, wspaniałych ryb w galarecie, śledzi w oleju czy majonezie nie brakowało również nieco podkręcających apetyt przekąsek, ale przede wszystkim kawioru. Nie brakowało też oczywiście dużej ilości wykwintnego alkoholu, a przede wszystkim szampana.

Dziś celebrujemy sylwestrową noc różnorodnie. My uważamy, że pomimo wszystko w sylwestrową noc należy ubrać się ładnie, a wręcz elegancko, przygotować przynajmniej jedno wykwintne danie, a o północy złożyć sobie i bliskim życzenia. Jak mówi tradycja: „Jaki Nowy Rok, taki cały rok". Postarajmy się zatem zacząć bardziej wykwintnie niż na co dzień. U nas w domu zawsze w sylwestra jadało się śledzie i w tym roku również je przygotujemy, tym razem w formie tatara. Życząc Państwu wszystkiego najlepszego w nadchodzącym roku, podajemy nasz ulubiony przepis na tatar ze śledzia.

• kilka płatów, ok. 4, śledzi à la matiasy (siekamy je bardzo drobniutko) • natka pietruszki (kilka gałązek drobno posiekanej) • 1 cebula czerwona • 1 kwaśne jabłko • 2–3 ogórki konserwowe • 1 łyżka musztardy francuskiej • 1 łyżka octu jabłkowego • 4 łyżki oliwy

Śledzie przekładamy do misy. Doprawiamy solą i pieprzem.

Robimy sos na bazie majonezu, dodajemy kwaśną śmietanę, sól, pieprz, sok z cytryny, wszystko razem mieszamy.

Polecamy podać tatar na ciemnym razowym chlebie lub bezpośrednio na talerzu i polać sosem oraz posypać natką pietruszki lub szczypiorem. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Drobiazgi życia

Od dawna nie czytam beletrystyki; „tylko prawda jest ciekawa" – jak powiedział Stanisław Mackiewicz. A więc dzienniki, listy, biografie – przy czym z prawdą w biografiach różnie bywa, zależy od biografisty, więc lepiej uważać. Podobnie z dziennikami: także pisywano je pod kątem przyszłego czytelnika, więc otrzymywały odpowiednią dozę politury.

Ilu pisarzy zdawało sobie sprawę z tego, że ich upstrzone kleksami, dopiskami na marginesach, niewyraźnie pisane epistoły dostaną się w łapy publiczności? Tego raczej się nie dowiemy, chociaż śmiem przypuszczać, że np. Jarosław Iwaszkiewicz brał pod uwagę taką możliwość i nawet na nią liczył. Nie przeliczył się: mam na półce chyba z 10 tomów różnych listów Jarosława. Kiedy przytargałam do domu 800-stronicowy tom korespondencji Marii Dąbrowskiej ze Stanisławem Stempowskim, mąż tylko jęknął: – Przecież już to masz! – Tak mam, ale tom pierwszy i drugi, a to jest trzeci, świeżo z drukarni. Lata 1945–1951. Okres znamienny i jeśli ktoś chciałby się dowiedzieć, co naprawdę myśleli autorzy tych listów o otaczającej ich rzeczywistości, to znajdzie to tutaj. Czas największych podłości stalinizmu, represji, strachu, podboju kolejnych fragmentów rzeczywistości przez moskiewskiego uzurpatora i jego krajową delegaturę. Tak, o tym tu także jest, ale te listy są w dużej mierze wymianą wiadomości o drobiazgach życia, które wypełniają codzienność. Dolegliwości zdrowotne, podróże, sprawy wydawnicze, kłopoty rodzinne, opieszałość urzędów. Jest o książkach, o muzyce, jest sporo szczerych uwag o znajomych.

To żadne odkrycie, że czytamy książki, szukając w nich siebie. Ja także. Ale są z pewnością czytelnicy bardziej ode mnie zaawansowani, którzy gotowi są stanąć na wysokości zadania, które stawia przed nimi korespondencja Józefa Czapskiego i Ludwika Heringa. Dwa tomy, które stoją obok mnie na półce, obejmują lata 1939–1982. Przyznaję, że nie pokonałam tego dzieła ze starannością, na którą ono zasługuje. W rozmowach dwóch wielkich koneserów sztuki niewiele o drobiazgach życia, obaj zanurzeni są w sprawach teorii sztuki. Trudno się to czyta, a jeśli ktoś liczyłby na intymne detale związku Heringa i Czapskiego, to dozna zawodu. Ich eleganckie dusze do takich zwierzeń nie dopuszczają.

Jeśli miałabym wymienić moje ulubione listy, to byłby to tom korespondencji Andrzeja Bobkowskiego z Jerzym Giedroyciem z lat 1946–1961. Biały kruk, wydany przez Czytelnika, nie wiedzieć czemu niewznawiany. Wszystko tu jest, cały wielki i piękny Bobkowski, z jego inteligencją, czułością, trzeźwością, talentem i pasją życia. Zbyt krótkiego, niestety. Przy ostatnich listach Andrzeja i Barbary Bobkowskich ryczałam jak bóbr. ©℗

eprasa.pl c5017bbff7

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Zaczęło się w Polsce

Wydawałoby się, że już po straszeniu pandemią. Właściwie tylko jacyś niedorżnięci ultrasi wciąż jeszcze wysadzają covidowe pociągi, choć wojna już skończona. I wcale nie dlatego, że wirus sobie poszedł – mamy wielki wysyp grypopodobnych infekcji, nawet ja, autor niniejszego, zachorowałem.

Moim zdaniem mamy ten sam (albo i wyższy) poziom zachorowań, co w czasie sławetnej wiosny 2020, tylko dzisiaj – w przeciwieństwie do wtedy – nikt nikomu patyka do nosa nie pcha, nie uzależnia od wyniku testu możliwości pójścia do szkoły, wejścia do szpitala (sic!), podjęcia leczenia czy zamknięcia firmy. Taka to tylko różnica.

W związku z tym zainfekowani są wśród nas, leczą się w szpitalach na swoje udary, handlują w firmach, chodzą do szkół. I co? I nic. Wystarczy tylko się na siłę nie dowiadywać, jaki to wirus nas powalił, tak jak dotąd ta ciekawość światu była obca i po pandemii okazało się, że na szczęście. Zwłaszcza że jak po teście (mocno wątpliwym zresztą) dowiesz się, żeś chory, to otrzymasz taką samą terapię, jakbyś nie wiedział, co ci jest, albo wiedział, że masz grypę, a nie COVID.

Oprócz testów wpędzały nas w pandemię także liczby. Żonglerka statystyką pozytywnych testów przekładała się na alarmistyczne dane o zachorowaniach, choć to wcale nie to samo. Można było mieć negatywny wynik testu i zakażać, można było mieć pozytywny wynik i nie być nawet chorym (stąd cudo bezobjawowego chorego). Ale to nie wspominki dzisiaj.

Temat bowiem wraca, tak jak wspomniałem – budzą się ultrasi. Pierwszą decyzją nowej pani minister zdrowia był zakup 200 tys. szczepionek. To dowodzi, że w tamtejszym ministerstwie mamy do czynienia z porozumieniem ponad strzykawkami, bez względu na odcienie polityczne. Domawiamy, a Pfizer nas pozwał na 6 mld zł za zamówione i nieodebrane szczepionki z poprzednich serii.

Mam wpis Alicji Defratyki z 15 grudnia tego roku: „W ciągu ostatniej doby z powodu #COVID19 zmarło 40 osób. Dzień wcześniej zmarło 25 osób (na świecie 204). Dwa dni temu zmarły 34 osoby (na świecie 399). Oznacza to, że aż ok. 10 proc. wszystkich światowych zgonów z powodu #COVID19 jest w Polsce!". Tak więc widzimy tu cały poprzedni cyrk ze statystykami, przeniesiony w dzisiejsze czasy. Co dziesiąty zmarły na COVID to Polak. Takie cuda! To nic, że przodujemy tylko dlatego, że w świecie przestano testować i ludzie umierają jak zwykle na różne choroby. Tak to i drzewiej bywało, co – przeniesione w dzisiejsze czasy – pokazuje medialność pandemii jako jej główną cechę. Bijmy więc na alarm – nowy COVID zaczął się od Polski. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Alfabet niepoprawny

Jestem złośliwy. Pamiętam, jaką przyjemność sprawiała mi obserwacja polityków, którzy kierowani polityczną poprawnością lub zimną kalkulacją do strategii wyborczej zaprzęgli hasła kulturowego marksizmu. Potem jednak przyszedł czas, gdy trzeba ponosić konsekwencje. Żabę trzeba było przełknąć.

Klasycznym przykładem przełykania żaby (którą się wcześniej wyhodowało) był dla mnie taniec Janusza Palikota. Ten cynik, biznesmen twardo kalkulujący polityczne i ekonomiczne zyski na publicznym, uroczystym balu musiał zatańczyć z Krzysztofem Bęgowskim, który w politycznym wcieleniu, jako członek formacji Twój Ruch, występował pod nazwiskiem Anna Grodzka. Widok trzymającego w objęciach rosłego mężczyznę, na szpilkach i w peruce, Palikota – i jego dziwnego grymasu mającego wyglądać na uśmiech – był czymś niepowtarzalnym.

Dziś w podobnej sytuacji znaleźli się przedstawiciele Platformy Obywatelskiej i PSL, którzy cedzą przez zęby formułkę „ministra" edukacji i nauki czy „ministra" ds. równości. I choć ten potworek językowy trudno przechodzi im przez gardło, to mają, co chcieli. Ta nowa forma, produkt krytycznej teorii płci, w przypadku funkcji szefa resortu edukacji jest czymś wyjątkowo symbolicznym. Tusk i jego polityczne zaplecze zupełnie świadomie przejęli obszary, gdzie władza przekłada się na pieniądze, aktywa i polityczne wpływy, natomiast resort odpowiedzialny za kształtowanie wyobraźni, wrażliwości i postaw młodego pokolenia oddali w ręce ideologicznych radykałów. Skoro władze resortu edukacji eksperymentują w kwestii polszczyzny, dokonując gwałtu na języku, to nie miejmy złudzeń – nie cofną się przed rewolucją w obszarze nauczania historii, seksualności i wychowania.

Ponieważ obok Barbary Nowackiej dla innej radykalnej feministki stworzono specjalnie ministerstwo do spraw równości, jako mężczyzna zwracam się z postulatem do „ministry" Katarzyny Kotuli, aby skończyła z dyskryminacją, której doświadcza wielu mężczyzn, w tym ja. Żądam równości wobec przedstawicieli zawodów i stanów, które mają niewłaściwe, bo tylko żeńsko brzmiące zakończenia. Pani Barbarze Nowackiej, Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi, Markowi Sawickiemu, premierowi Tuskowi i innym dedykuję poniższy alfabet:

A – analfabeta, B – barista, C – celebryta, D – dokumentalista, E – ekonomista, F – flecista, G – geodeta, H – harmonista, I – (oczywiście) idiota, J – (uwaga!) językoznawca, K – kontrabasista, L – logopeda, Ł – łowca, M – modernista, N – nihilista, O – organista, P – poliglota, R – rowerzysta, S – socjopata, T – terapeuta, U – unita, W – woźnica, Z – zabójca, Ż – żurnalista.

Czekam na propozycje nowych form. Do roboty! ©℗

eprasa.pl c5017bbff7

ĆWIERKOT

Neo, neo

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

W chwili, gdy piszę te słowa, trwają w stolicy zaciekłe walki. Stop. Siły konserwatywne starają się konstytucją odeprzeć atak spadających na nie uchwał. Stop. Jednak konstytucja to już nie jest ta stara, dobra konstytucja, ona podobno musiała zostać połamana, żeby potem, kiedyś tam, doszła do siebie. Stop. Pytanie: Czy nie będą jej aby łamać co cztery lata i składać na nowo i czy my nie będziemy musieli okresowo słuchać trzeszczenia kości oraz wrzasków? Stop.

W gazecie.pl w rozmowie z redaktorem Sroczyńskim politolog Kuraszkiewicz rzekł: „Niemcy chcą więcej władzy w Unii i na pewno coś sobie chapną przy okazji ewentualnej zmiany traktatów. I trzeba będzie im to dać, bo w sytuacji kolejnych lat wojny z Rosją bardziej scentralizowana Unia leży w naszym narodowym interesie". Stop. Na mięciuteńko, w celu oswajania zwierzątek, przemycono tutaj następujące kwestie: przygotujcie się na zmiany traktatów, Niemcy będą mieli większą władzę niż wy, czytaj: będą mieli władzę nad wami, ale to dla waszego dobra, bo na USA i NATO nie ma co liczyć, Niemcy was obronią. Stop. Prawda, że zgrabnie o naszej utracie suwerenności? Stop.

Zdaje się, że walczący z neo-KRS i neosędziami minister sprawiedliwości Adam Bodnar stworzył właśnie nowe neo, neo-KRP, czyli Krajową Radę Prokuratorów. Stop. Nowy minister poinformował, że powołał do Rady nowych prokuratorów, co miało być dla części starych sygnałem do pakowania kartonów, ale... Stop. Starzy napisali ministrowi, że pisać to on sobie może, a jakże, niemniej oni to są kadencyjni, więc ich odwołać nie może, co sformułowali nadzwyczaj zgrabnie, a mianowicie, że pisanie Bodnara „nie rodzi skutków prawnych". Stop. I znowu zaciekłe walki. Stop.

Skończył się warszawskiego salonu zachwyt nad dyrektorką Teatru Dramatycznego Moniką Strzępką. Stop. Pani feministka znana była z tego, że wkroczyła do teatru z wielką rzeźbą waginy, mówiąc, że to pani wilgotna. Stop. Mnie wydawało się oczywiste, że coś nie tak jest z kopułą teatru i nie tylko teatru, ale nikt nie chciał remontować, bo zachwyt. Stop. Wojewoda ówczesny Radziwiłł chciał, żeby jednak pani Monika realizowała się gdzieś indziej, ale sąd, serio sąd, stanął po stronie wielbicielki rzeźby. Stop. Niestety, wkrótce okazało się, że artyści nie bardzo chcą z panią Moniką pracować i oskarżają ją m.in. o mobbing. Stop. Afera okazała się tak duża, że trzeba było odwołać premierę spektaklu, a władze Warszawy rozpoczęły procedurę pozbycia się Strzępki ze stanowiska. Stop. Cóż, w wielu branżach wagina nie może być jednak podstawowym atutem i kompetencją. Stop. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

SPODE ŁBA

Gorzko, gorzko!

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Interesującym wyznaniem podzielił się z czytelnikami „Gazety Wyborczej" były rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych w rządzie Mateusza Morawieckiego, Łukasz Jasina. W udzielonym ostatnio wywiadzie nie tylko rozwodził się on szeroko nad swoją orientacją seksualną, lecz także podzielił się spostrzeżeniami na temat innych polityków rządzącej do niedawna partii konserwatywnej. Łukasz Jasina po raz kolejny pochwalił się, że jest gejem. „Ja tego nigdy nie ukrywałem, otoczenie, rodzina, znajomi wiedzą [...]. Mam głęboko gdzieś, co kto o mnie myśli w związku z tym" – oświadczył, niezbyt dyplomatycznie, były rzecznik polskiego MSZ. W dalszej części wywiadu urzędnik bardzo ciepło wypowiedział się o środowisku, w którym przyszło mu przepracować dwa lata. „Nie dostrzegam, żeby mnie prześladowano z powodu bycia gejem. Nie spotykał mnie też ze strony ludzi PiS żaden ostracyzm środowiskowy" – czytamy.

W dalszej części wywiadu Łukasz Jasina w samych superlatywach wypowiadał się o swoim przełożonym – ministrze Zbigniewie Rau. „Mnie pan minister zapewnił, że żadnym homofobem nie jest". Krytyczny wobec „ideologii LGBT" wpis ministra w mediach społecznościowych miał być rzekomo dziełem „nadgorliwego pracownika kampanii wyborczej". Łukasz Jasina dodał, że on sam „nie jest jedynym gejem w rządzie PiS", powstrzymał się jednak przed rozwinięciem tego tematu.

Zaskakująca jest rola, którą zaczyna odgrywać seksualność w wypowiedziach kolejnych urzędników rządu Zjednoczonej Prawicy. Goszczący niedawno w mediach były wiceminister spraw zagranicznych Piotr Wawrzyk z godnym lepszej sprawy uporem podkreślał, że jest osobą heteroseksualną. Słuchając entuzjastycznych zapewnień ministra Wawrzyka o tym, że „lubi panie", oczekiwać można, że na następne występy przychodzić będzie, na podobieństwo Kuby Wojewódzkiego, w towarzystwie roznegliżowanych kusząco dziewcząt – wodzianek.

Polskie życie polityczne ulega ostatnio procesom gwałtownej tabloidyzacji. Wysocy urzędnicy rozwodzą się w wywiadach nad swoim życiem seksualnym, w Sejmie zaś odbywają się iście kabaretowe występy szukających rozgłosu polityków. Ostatni z nich miał formę happeningu z nietypowym gadżetem – gaśnicą. Telewizyjna popularność transmisji sejmowych przypominać zaczyna fenomen polskiego wydania programu „Big Brother". Największym rozgłosem cieszyli się w nim ci uczestnicy programu, którzy jako pierwsi poszli przed kamerami „na całość". Jeśli polscy politycy zdecydują się podążać tą drogą, to czekają nas w parlamencie naprawdę gorące chwile. ©℗

eprasa.pl c5017bbff7

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Baba wyzwolona

Głównie dzięki Miłoszowi, który tłumaczył na angielski jej wiersze, napisał o niej książkę „Jakiegoż to gościa mieliśmy", znakomita poetka Anna Świrszczyńska została ikoną nawet feministek amerykańskich. Nazywając ją „dumną Telimeną wyzwoloną", Miłosz dowiódł jednak, że nie znał jej biografii – była krakowską mieszczką, a nawet panią Dulską i swój najlepszy tomik zatytułowała słusznie „Jestem babą".

Jej małżeństwo, które zawarła w wieku 44 lat ze znacznie młodszym, 29-letnim aktorem Janem Adamskim, nie było wcale, jak uważał Miłosz, aktem odwagi. Nikt inny po prostu się nie trafiał, a na upragnione dziecko była już ostatnia chwila. W zamian za nie przygarniała Adamskiego pod swój dach razem z jego starym, sklerotycznym, bezrękim ojcem, wymagającym stałej opieki. Zamieszkali z nią w jej dwupokojowym mieszkanku w krakowskim Domu Literatów przy Krupniczej.

Mimo udanej córki małżeństwo się jednak nie układało – Adamski, dusza towarzystwa, był ciągle bez grosza, unikał domowych obowiązków i ciężar utrzymania licznej rodziny (dziecka, męża, teścia i jej rodziców) spoczywał wyłącznie na Świrszczyńskiej, nazywającej siebie „Anną Utyranną"

Chałturzyła, komuszyła, produkowała zapewniający stypendia i honoraria socrealistyczny chłam, głównie o awansie wiejskich kobiet (sztuka „Latająca dziewczyna" o lotniczce i ruchu robotniczym; dramat „Odezwa na murze"; słuchowisko o Ludwiku Waryńskim, Komunie Paryskiej, wiersze o Nowej Hucie itp.). Gdy ich córka miała lat 12, Adamski zakochał się w sąsiadce z domu przy Krupniczej – utalentowanej, pięknej, młodszej od Świrszczyńskiej o 25 lat, chorej na serce Halinie Poświatowskiej. Wiedziała, że ma mało czasu, i egoistyczna, bezwzględna, bez skrupułów rozbijała rodzinę na pewno nie idealną, ale z dorastającą córką, bardzo z ojcem związaną, i vice versa. Namawiała „Przepiórę", jak nazywała Adamskiego, na rozwód i małżeństwo z nią w kościele Mariackim, o czym marzyła.

Świrszczyńska jednak zamiast, jak przystało na feministkę, pozbyć się niewiernego, rozwodu zdecydowanie odmówiła, urządzała awantury na całą Krupniczą, szantażowała męża samobójstwem, pisała do niego histeryczne listy, każąc mu modlić się za nią, zabroniła mu kontaktów z córką, umieściła ją w szkole u zakonnic (poprzez adwokatów wywalczył prawo widywania się z nią).

Przerażony odpowiedzialnością za samobójstwo żony czy też do końca niezdecydowany na małżeństwo z wymagającą opieki Poświatowską Adamski wycofał pozew, uciekł do Rzeszowa. Grał w tamtejszym teatrze. Poświatowska tylko go odwiedzała. Dopiero po jej śmierci rozwiódł się ze Świrszczyńską, która ciężko to przeżyła, poczuła się „zhańbiona w swej kobiecości", nic niewarta.

Żeby to odreagować, rzuciła się w wir kończących się szybko romansów z młodszymi od siebie mężczyznami. A gdy miała już lat 61, związała się ze swoim rówieśnikiem, Józefem, żonatym i dzieciatym, choć sama potępiała za to wcześniej Poświatowską. Józef bardzo ją rzekomo kochał, a nawet ubóstwiał. Obsypywał ją komplementami, które znakomita dotąd poetka rejestrowała skrupulatnie, niczym księgowa, tracąc swój dotychczasowy słuch i smak, nie widząc ich komiczności. Na przykład, że nazywał ją pukajką, ptaszkiem, który śpiewał piu-piu, porównywał jej usta do winnego poematu, oczy do szmaragdów, piersi do perełek, nazywał siebie jej rabem, całował jej stopy. Odbudowało to jej zdeptane poczucie własnej wartości i to wtedy napisała swój najlepszy tomik „Jestem baba", erotyki 60-letniej, siwej kobiety. Okupione jednak były wielkim upokorzeniem – Józef kochał ją bowiem tylko, gdy byli sami. Wśród ludzi wymagał, aby zwracali się do siebie per pan i pani. „Był sztywny, jakby kij połknął, wstydził się powiedzieć mi choćby jedno miłe słowo". Bał się, żeby żona się o nich nie dowiedziała.

Zbyt długo to znosiła, w końcu jednak miała dość. „Nie potrzebuję ukradkowych spotkań i kochanka – pisała – ale męża, przyjaciela, abym mogła pokazać go światu, który będzie ze mną w starości, chorobie i umieraniu, bo dzieci odchodzą".

Jest pełną sprzeczności babą, tęskni do męża, do Jasia, wspomina już tylko to, co było dobre, marzy, aby jeszcze raz wyjść za mąż, stworzyć dom, rodzinę, nowe domowe ognisko, ale to się już jej nie uda. Nieoczekiwanie jej dziennik „Jeszcze kocham. Zapiski intymne", reklamowany jako manifest kobiety wyzwolonej, jest w istocie tęsknotą za trwałym związkiem, małżeństwem, rodziną, którą utraciła. ©℗

Dziennik „Jeszcze kocham. Zapiski intymne", reklamowany jako manifest kobiety wyzwolonej, jest w istocie tęsknotą za trwałym związkiem

eprasa.pl c5017bbff7

FAJERWERKI

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Pojechałem po race. Jest taka łąka na skraju naszej wioski, gdzie stoi stara szopa. Przez większą część roku wygląda na porzuconą, ale przed sylwestrem oraz przed Dniem Niepodległości ożywa – zostaje oświetlona wojskowym reflektorem, ktoś wiesza na niej lampki oraz ustawia przy drodze namalowany szprejem prosty znak: FAJERWERKI. Tam właśnie pojechałem na zakupy.

***

Kawałek płotu rozebrano – tędy się wjeżdża. Dookoła szopy, wprost na łące, zaparkowane kilkanaście pick-upów. Wewnątrz tłum kupujących, a na drewnianych regałach skrzynie i kartony fajerwerków. Dwie kasy, przy których siedzą dzieci – w sumie siedmioro – a „na sklepie" kręcą się rodzice. Obsługa bardzo fachowa!

Najmłodszy chłopiec (lat 5) bardzo sprawnie liczył gotówkę i podawał siostrze (lat 9), która wydawała resztę. Skąd wiem, ile dzieci miały lat? Ha! Rodzice kupili im koszulki lokalnej drużyny futbolowej z odpowiednimi numerami. Pięciolatek miał numer 5, jego siostra numer 9 i tak dalej. Rodzice informowali klientów tak:

– Proszę iść do „dziewiątki" i ona pana skasuje.

Sprawna obsługa, a do tego fachowa – wiedzieli wszystko o każdym rodzaju fajerwerków, a mieli ich w tej szopie wiele typów.

– Pan to będzie odpalał na rancho? Nie radzę, bo podpali suchą trawę. Niech Pan weźmie raczej to…

– Widzę, że Pan ma aparat słuchowy… To może albo niech Pan wyjmie na czas odpalania, albo poszuka czegoś innego, bo te race głośno piszczą i będzie Pana bolało w uszach.

– A… Gringo – matka/właścicielka podeszła do mnie sama z siebie. – Mieszkasz na odludziu, lubisz siedzieć na porchu i się gapić w pejzaż, prawda?

– Prawda.

– I masz tam teraz dookoła pełno suchej trawy, prawda?

– Prawda.

– To tego nie kupuj – wskazała palcem na race, które właśnie włożyłem pod pachę.

– Bo?

– Bo se spalisz rancho.

– A to?

– Urwie ci tyłek. Robi dużo huku i strzela we wszystkie strony. Tam u ciebie nie będziesz miał dokąd zwiewać. Tę skrzynkę odpalają chłopcy na parkingach, gdy chcą nastraszyć dziewczyny. Prawie nigdy nie podpalą żadnego auta, ale prawie zawsze ktoś ma potem wypaloną dziurę w kurtce lub w miejscu, gdzie wcześniej było oko.

– A to?

– Dużo smrodu i płoszy krowy. Mają ci się cielić na wiosnę, to teraz tego nie bierz, bo poronią. Te race sobie kupisz na 4 lipca. Wtedy najwyżej cielaki dostaną sraczki ze strachu.

***

Jej pomoc była bardzo fachowa, znajomość tematu wysoka, a porady dostosowane do okolicy, w której żyjemy. Żeby tak samo potrafili sprzedawcy lodówek, byłbym szczęśliwy. No ale lodówki, telewizory, odkurzacze i samochody sprzedaje byle kto, czyli tak samo jak w Polsce. Nie zdarzyło mi się spotkać pasjonata wiertarek na stoisku z wiertarkami. Natomiast tu, na prerii, spotykam pasjonatów w sklepach z bronią, z gorzałą oraz u rzeźnika handlującego dziczyzną – ten facet potrafi tak zachwalać byle comber, że musisz kupić, a wcześniej się wzruszysz. Z kolei ci dwaj pozostali, czyli panowie Broń i Gorzała, zachwalają swój towar tak, że masz ochotę wykupić wszystko, co mają na sklepie. Czysta przyjemność.

***

– A to?

– Tego nie znasz, Gringo? To świstawki. Syczy, strzela, gwiżdże, ale nie daje ogni na niebie. To się wrzuca komuś pod samochód, jak chcesz gościa nastraszyć. Mam wersję do odpalenia w barze, ale twoi kumple Ed i Jeff już to znają.

– To co mam wziąć?

– Chcesz podpalić sąsiada, to weź to. Postaw na ziemi trochę krzywo, poleci bardzo daleko. Jest na przecenie, bo coś pochrzanili i nie gaśnie, zanim spadnie.

– Nie chcę podpalać sąsiada… Ale… Intrygujące. Czy są tu chętni do podpalania sąsiadów?

– Mamy pełen przekrój klienteli – odparła wymijająco. – To jedyny sklep w okolicy i otwarty tylko dwa tygodnie w roku.

– Nie słyszałem o podpaleniach sąsiadów. Nasi raczej wolą mordę obić niż jechać z ogniem.

– No dobra, powiem ci. Nie chodzi o sąsiadów, tylko o ubezpieczenie. Strzelasz pod wiatr, leci daleko, a potem ogień idzie w twoją stronę, ty uciekasz, wszyscy widzą, jak cię ogień gonił, więc wiadomo, że to nie ty byłeś podpalaczem. Warunek: zanim zgłosisz szkodę, musisz posprzątać ten niedopalony kawałek racy, od którego zaczął się ogień.

– A… ha. No dobra, a co mam sobie kupić na sylwestra?

– Kup te cztery pudła. Do tego motek lontu. Mąż ci pokaże, jak to połączyć, i zrobisz sobie pokaz na 20 minut patrzenia. Podpalasz, siadasz na porchu, a potem jubel na niebie trwa i trwa.

– Ile to kosztuje?

– Dwie lekcje hiszpańskiego dla moich dzieci, w dowolnym terminie po Nowym Roku.

– Pani żartuje?

– Nie.

– A skąd w ogóle Pani wie, że znam hiszpański?

– Wszyscy wiedzą.

– Ale co to za sens, żeby robić tylko dwie lekcje? Niczego ich nie zdążę nauczyć.

– Zdążysz. Mają umieć przeklinać. Płynnie, bez akcentu, kilka mocnych zdań.

– Po co to Pani?

– W celach obronnych. Tu czasami pojawiają się różne typy z Meksyku, a dzieci same w domu. Strzelać już umieją, nawet numer 5, to teraz chcemy z mężem, żeby się umieli prawidłowo odszczeknąć.

Podaliśmy sobie ręce. Zawarliśmy kontrakt. Cztery pudła fajerwerków plus motek lontu zostały zapakowane do mojego auta. (Paczki niosło dwóch podrostków i obaj mieli koszulki z numerem 11. Nie byli bliźniakami. Nie byli nawet z jednego miotu, po prostu z jednego rocznika).

Pojechałem do domu na sylwestra. I wrócę tu w nowym roku na dwie lekcje hiszpańskiego dla siedmiorga dzieci w futbolowych koszulkach. Będę ich uczył języka, którego nie uczą w szkole. ©℗

eprasa.pl c5017bbff7

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

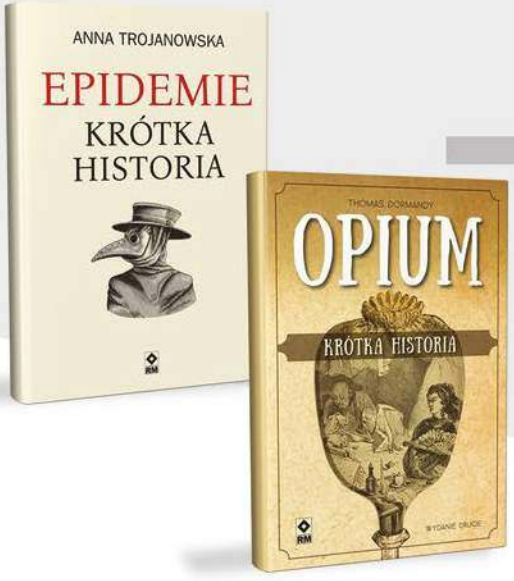

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

ANNA TROJANOWSKA: „EPIDEMIE. KRÓTKA HISTORIA", THOMAS DORMANDY: „OPIUM. KRÓTKA HISTORIA"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~889~~ ZŁ

403,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 486 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c5017bbff7

WYDAWNICTWO m

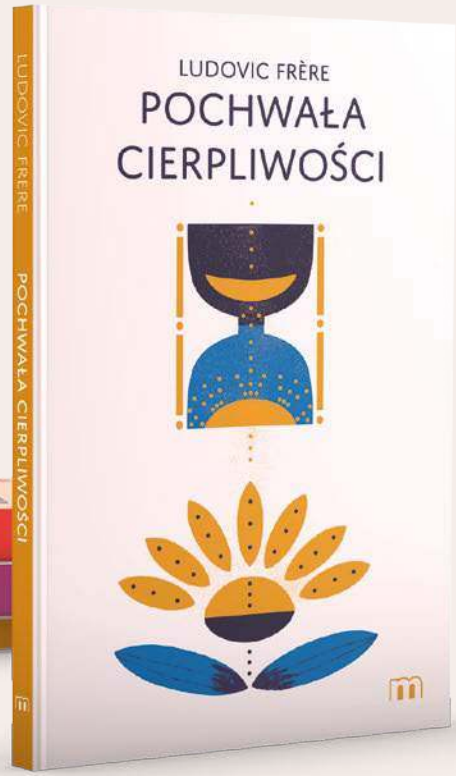

GOŚĆ NIEDZIELNY · Echo Katolickie · STACJA7.PL

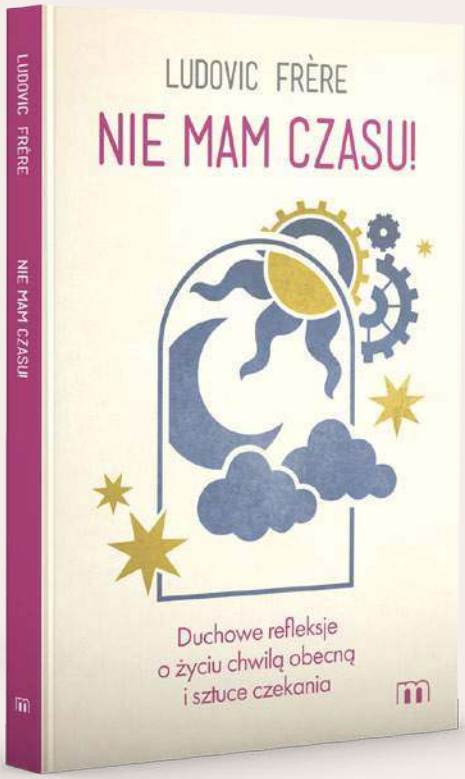

Mistyka nie jest dla wybranych. Sprawdź, jak zostać świętym w swojej codzienności.

MISTYKA W AUTOBUSIE

Pobierz naszą aplikację

Wypróbuj naszą aplikację do modlitwy

eprasa.pl c5017bbff7